Krowa nie może czekać na lepsze czasy

EUGENIUSZ IWANICKI

CZYTAJ STRONA 6

Rys. Dariusz Romanowicz

- Waczył o sprawiedliwość i karę dla winnych, więc jego też ukarano — str. 2
- Sprawy tego, co ukradł telewizor ciąg dalszy — str. 13
- Zawiłe życie Marty — str. 4

Nr indekesu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 16 (1620) ROK XXXII 16 KWIETNIA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

Decyzję wydano z naruszeniem prawa, ale nie tak bardzo rażącym, żeby zaraz ją zmieniać.

Między nami naczelnikami

PAWEŁ TOMASZEWSKI

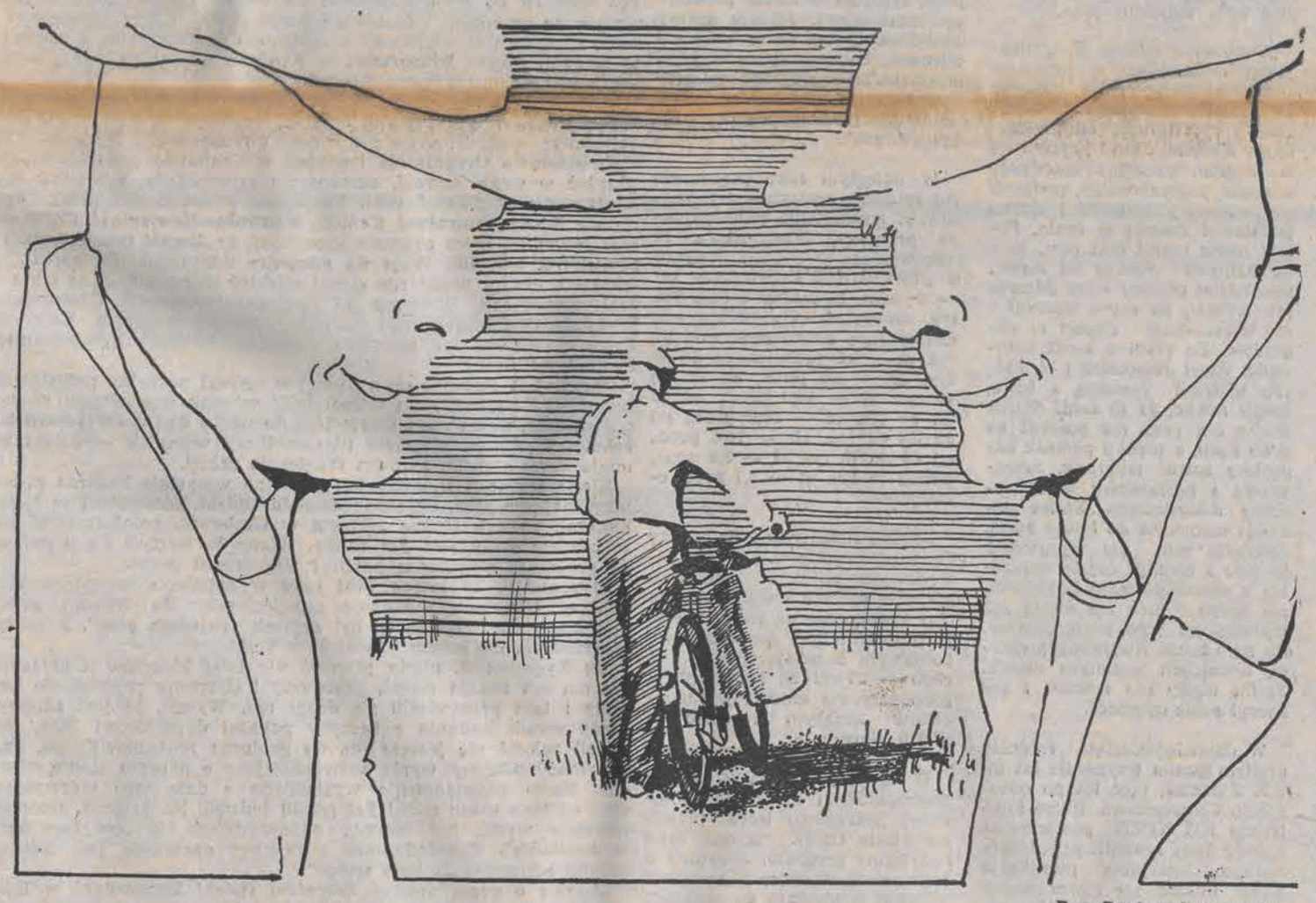

Rys. Dariusz Romanowicz

Gdzie znajduje się wieś Wilanów?

Wieś Wilanów znajduje się w okolicach Łodzi i do 31 grudnia 1987 roku wchodziła w skład gminy Stryków, a od 1 stycznia 1988 roku jest w granicach miasta.

Kto mieszka w Wilanowie, w domu pod numerem 12?

W Wilanowie pod numerem 12 mieszka rolnik **Mieczysław Słoma** z żoną, córką, zięciem i wnukiem. Oprócz domu rolnik Słoma jest również właścicielem 4,30 hektara ziemi III i IV klasy, na której uprawia głównie: pszenicę, pszenżyto, mieszanki paszowe, ziemniaki i buraki; obory, w której trzyma między innymi do kilkudziesięciu sztuk trzody chlewnej; tudzież innych zabudowań gospodarczych.

Kim jest najbliższy sąsiad Mieczysława Słomy?

Jego szwagrem. Nazywa się **Franciszek Patora** i do niedawna także prowadził gospodarstwo rolne. Zostawszy kaleką, oddał je jednak w zamian za rentę. Tym sposobem, zgodnie z decyzją naczelnika miasta i gminy w Strykowie, całą jego ziemia — 2,44 hektara — wzbogaciła Państwowy Fundusz Ziemi. Decyzja uprawomocniła się **14 grudnia 1987 roku.**

Czy ktoś chciał odkupić z PFZ wspomniane 2,44 hektara?

Tak, Mieczysław Słoma, który jeszcze przed uprawomocnieniem się decyzji dopytywał o to w Urzędzie Miasta i Gminy w **Strykowie.** Powoływał się przy tym na fakt, iż oba gospodarstwa ściśle do siebie przylegają i stanowiły kiedyś jedną całość, należącą do teściów Mieczysława Słomy.

Czy ją odkupił?

Nie, ponieważ poinformowano go, że w **Wilanowie obowiązuje zakaz sprzedaży ziemi z PZF.** Może natomiast ubiegać się o dzierżawę, co też oficjalnie uczynił **28 grudnia 1987 roku.**

Z jakim skutkiem?

Do pewnego stopnia pozytywnym. To znaczy, 21 stycznia 1988 roku **naczelnik miasta i gminy Stryków zawarł z nim umowę o dzierżawienie na pięć lat.** Umowa nosiła wsteczną datę 31 grudnia 1987 i dotyczyła jedynie 1,02 hektara.

Dlaczego?

Ponieważ 30 arów wydzierżawiono już mieszkance Łodzi, **Ewie Radzikowskiej-Wieczorek,** zaś 0,87 hektara sprzedano **Józefowi Gwizdakowi.**

Jak mogło do tego dojść?

Normalnie: 14 grudnia 1987 roku naczelnik miasta i gminy **Aleksandrów Łódzki** przesłał do Banku Spółdzielczego w Strykowie wykaz gruntów PFZ przeznaczonych

7

Jerzy Kropiwnicki: Stać mnie na to, by stworzyć i pokierować strukturą jawną!

Krótki zarys sporów w (nielegalnej) „Solidarności"

MAREK KOPROWSKI

W piątek, 31 marca 1989 r. odbyło się spotkanie z **Jerzym Kropiwnickim,** członkiem nie zalegalizowanej jeszcze Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu Łódzkiego Pani zagajająca oświadczyła, że od poniedziałku, po 5 latach nieobecności dr Jerzy Kropiwnicki wraca na uczelnię jako pracownik naukowy.

Jerzy Kropiwnicki: — Mam kartę obiegową, nominacji z podpisem rektora jeszcze nie mam. Będę pewny, jeśli ją otrzymam, ponieważ kartę obiegową miałem już w 1984 r. i nic z tego nie wyszło. I dziś jakieś postacie snują się i przeszkadzają — aż do granic śmieszności. Chodzi o użeranie się o drobiazgi niewarte uwagi. Łatwiej mi będzie wybaczyć tym, którzy kiedyś zrobili mi krzywdę niż tym, którzy robią to teraz. Powrót do pracy zawdzięczam nauczycielom akademickim UŁ, którzy sprawę potraktowali jako sprawę honoru własnego i instytucji. Środowisko UŁ bardziej broni honoru niż środowisko jakiejkolwiek uczelni w tym mieście. Dziękuję również studentom, zwłaszcza tym z NZS. Moje nazwisko znalazło się wśród postulatów NZS. Wysoko sobie cenię takie poczucie obowiązku nielegalnej jeszcze Komisji Uczelnianej NZS.

Po tym wstępie dr Jerzy Kropiwnicki zaproponował formułę spotkania jako rozmowę ze zgromadzonymi. Po prostu będzie odpowiadał na pytania. Ponieważ jednak odpowiedź na pierwsze pytanie zajęła blisko półtorej godziny (całe spotkanie trwało cztery godziny), nie sposób przytoczyć jej w całości. Przedstawiam więc ważniejsze jej fragmenty, zachowując oryginalne formy wypowiedzi (nie wygładzone), by dać świadectwo emocjom i — jeśli to w ogóle możliwe — przekazać nastrój spotkania. Pytanie brzmiało:

— Jest brak informacji na uczelni na temat prac i osiągnięć grupy roboczej.

J. K.: — Grupa robocza powstała jesienią 1986 r. Wcześniej, w 1984 r. była tzw. druga amnestia i wtedy wyszła większość więźniów politycznych, np. Palka, Słowik, Bałuka, Moczulski, Szeremietiew, ja, KOR-owcy i inni. Stan zastany był dość dziwny. Amnestię potraktowano jako pierwszy krok we właściwym kierunku. Arcybiskup Dąbrowski był jak najlepszych przewidywań. Bardzo szybko okazało się to złudzeniem. Władza potraktowała to jako krok ostatni. Niedługo potem zamordowano księdza Jerzego Popiełuszkę. Przedtem jednak miała miejsce II Pielgrzymka Świata Pracy do Częstochowy (IX 1984) z udziałem wypuszczonych z więzienia. Miało tam dojść do uformowania ciała społecznego, które „skonsumowałoby" ocieplenie klimatu politycznego. Na czele stanąć miał doc. Geremek. Miało to być wyjście z czarnego, poprzez szarość, w pełne światło. Andrzej Celiński proponował stopniowe wynurzanie się na powierzchnię poprzez „oswajanie" władzy. Coraz więcej osób z kręgu opozycji i „Solidarności" miało zabierać głos w różnych sprawach. Miało dojść do zaistnienia instytucji niezależnych i opozycyjnych w życiu publicznym.

Trudno było wtedy oczekiwać, że władza zgodzi się na „Solidarność". Odczuwała ona alergię na to słowo, a w „Trybunie Ludu" postulowano wykreślenie go ze słownika języka polskiego. Władza nie chciała dopuścić do powstania organizacji populistycznej, nie chciała oddać zakładów pracy niezależnym związkom, itd. Związek wykreował pewne postacie symboliczne, które dla władzy były negatywne: Gwiazda, Jurczyk, Rozpłochowski, Rulewski. Formowanie sfery jawnej naszego życia musiało się odbywać przy pełnej świadomości, że władza nie zaakceptuje „S", nie zaakceptuje podziemnych struktur, nie zaakceptuje „S" tak długo, jak długo finanse będą płynąć z Zachodu, jak długo będą te postacie wymieniane. Nie było wśród nich nazwisk ani Słowika, ani Palki, ani mojego.

Władza mogła zgodzić się na dojrzałą opozycję. Jednak wtedy próg celi i pałka policyjna wyznaczały strony w społeczeństwie. Było albo białe, albo czarne, nie było strefy pośredniej między władzą a społeczeństwem. Boleli nad tym znawcy życia politycznego. W wywia-

5

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32 59 11

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36 80 99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy Wydawnictw ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1659-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1026. D-10.

Przegląd prasy

Na fotografiach i portretach Józef Stalin sprawiał wrażenie olbrzyma. W rzeczywistości zaś miał tylko 162 centymetry wzrostu i był o 4 centymetry niższy od Włodzimierza Lenina. Na trybunie Mauzoleum musiano mu podstawiać specjalną ławeczkę. W 1905 roku po raz pierwszy zobaczyła towarzysza Kobę (Stalin miał wtedy 26 lat) młoda Faradzem Knunjanc, siostra wybitnego marksisty Bohdana Knunjanca. Przyjechała z Petersburga do Baku po literaturę marksistowską. Oto jej relacja:

„Malutki, cherlawy i jakiś ułomny, przypominał złodziejaszka oczekującego kary. Miał na sobie niebieską koszulę, przyciasną cudzą marynarkę i turecki fez na głowie. Przywitał mnie z nie ukrywaną podejrzliwością. Dopiero po szczegółowym wypytywaniu, podobnym raczej do przesłuchania, wręczył mi plik książeczek i broszur. Część z nich dostałam już gdzie indziej, dlatego też spośród tych, które mi zaproponował, wzięłam tylko trzy. Koba odprowadził mnie do drzwi, przez cały czas przyglądając mi się podejrzliwie i wrogo".

Faradzem Knunjanc doszła do wniosku, że to nieżyczliwy i zły człowiek. Żaden socjaldemokrata nie wywarł na niej tak przygnębiającego wrażenia. Pisze o tym w najnowszym „DIALOGU" (nr 1) Anton Antonow-Owsiejenko. Przytacza on również wrażenia innych znanych ludzi.

We wrześniu 1934 r. Stalin zaprosił do swojej daczy w Zubałowie Henri Barbusse'a. Pisarz francuski był mniej spostrzegawczy. Wyjechał zachwycony i napisał potem:

„Ten, którego profil widnieje na czerwonych plakatach obok Karola Marksa i Lenina — to człowiek troszczący się o wszystko i wszystkich, człowiek, który stworzył to, co jest i tworzy to, co będzie. On uratował. On ratuje... I kimkolwiek byłoyście, to najszczęśliwsze, co jest w waszym losie, znajduje się w rękach człowieka... który czuwa i pracuje za wszystkich... człowieka z umysłem uczonego, z twarzą robotnika, w mundurze prostego żołnierza".

Były premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill wiedział, że pod maską Ojca Narodów kryje się okrutny i bezlitosny dyktator. Ale i on czuł pewien respekt. W 1959 roku wspominał:

„Stalin wywarł na nas ogromne wrażenie. Nikt nie mógł oprzeć się jego wpływowi. Kiedy podczas konferencji w Jałcie wchodził do sali, wszyscy jak na rozkaz wstawali i — zadziwiająca rzecz — stali na baczność".

Pewnego razu Winston Churchill i prezydent USA Franklin Delano Roosevelt siedzieli oczekując na przyjście Stalina. Premier angielski twardo postanowił nie wstawać, ale gdy tylko zjawił się Stalin, jakaś nadprzyrodzona siła podniosła go z fotela.

Charyzmatowi Stalina uległ nawet Herbert George Wells. Autor popularnych powieści fantastyczno-naukowych i społeczno-obyczajowych zauważył wprawdzie, że Stalin ani razu nie spojrzał mu w oczy, ale to był drobiazg, o którym nie warto wspominać. Po spotkaniu z dyktatorem Wells napisał znamienne zdania:

„Nigdy jeszcze nie spotkałem człowieka równie prostolinijnego, sprawiedliwego i uczciwego; swój oszałamiający i bezsporny wzlot zawdzięcza właśnie tym cechom, a nie czemuś ciemnemu i złowieszczemu. Do chwili poznania go sądziłem, że być może zajmuje to stanowisko, gdyż budzi w ludziach lęk, szybko jednak przekonałem się, że nikt się go nie boi i wszyscy mu ufają".

Stalin był wielkim graczem. Wyprowadził w pole Winstona Churchilla i Franklina Roosevelta. Owinął sobie wokół palca tak znanych pisarzy jak: Henri Barbusse, Emil Ludwig, Romain Rolland, Herbert Wells, Bernard Shaw, Lion Feuchtwanger... Gdy przyjechał do Moskwy ostatni z wymienionych — pisze w „ŻYCIU LITERACKIM" (nr 11) Leonid Lichodiejew — jacyś dowcipnisie ułożyli następujący epigram:

„Stoit Feuchtwanger u dwieriej/ S wnimatielniejszym widom/ Smotritie, cztoby jewriej/ Nie okazałsa żydom".

Wcześniej bowiem odwiedził ZSRR pisarz francuski Andre Gide i napisał krytyczną książkę. Nie widział żadnej różnicy między Józefem Stalinem i Adolfem Hitlerem. Natomiast pisarz niemiecki nie okazał się Gide'em i gwałtownie skrytykował swego francuskiego kolegę.

Józef Stalin osobiście opiekował się Teatrem Wielkim i Moskiewskim Artystycznym Teatrem Akademickim (MChAT). Szczególnie lubił pompatyczne i wystawne przedstawienia operowe. Na podstawie wnikliwych obserwacji śpiewaczka Galina Wiszniewska nakreśliła interesujący portret tyrana:

„Mówił bardzo powoli, cicho i mało. Z tego też względu wszystkie jego słowa, spojrzenia, gesty nabierały jakiegoś szczególnego znaczenia i wieloznacznego sensu, którego w istocie w ogóle nie miały, artyści jednak przez długi czas po spektaklu dyskutowali o nich, łamali sobie głowy, co też kryje się za tymi «niedopowiedzeniami». A on po prostu słabo władał rosyjskim. Prawdopodobnie jako aktor już dawno opanował cały arsenał środków wyrazu, bezbłędnie oddziałujących na najbliższe otoczenie, i stosował te środki zależnie od okoliczności".

Anton Antonow-Owsiejenko ukazuje Józefa Stalina jako syntetycznego aktora, który potrafił grać komika, prostaka, rezonera, tragika. Był też dramaturgiem, reżyserem, cenzorem, recenzentem i mecenasem. Nigdy chyba nie zdobył się na szczerość. Całe życie tylko grał i perfidnie oszukiwał ludzi. Bezwzględnie traktował nawet członków własnej rodziny.

O rodzinie Stalina pisze w „TYGODNIKU DEMOKRATYCZNYM" (nr 14) Roj Miedwiediew. W kolejnym odcinku przedstawia m.in. okoliczności śmierci Nadieżdy Siergiejewny Alliłujewej, która nie mogąc znieść chamstwa męża popełniła samobójstwo. Potem opowiadano, że zrozpaczony Stalin szedł pieszo za trumną od Kremla aż do Cmentarza Nowodiewiczego. Ale rzeczywistość była zupełnie inna.

„Trumnę z ciałem N. Alliłujewej wystawiono w pomieszczeniu obecnego GUM, gdzie w 30. latach urzędowały liczne służby i instytucje administracyjne Kremla. Stalin pojawił się na samym początku cywilnego obrzędu pogrzebowego, podszedł do otwartej trumny i nawet pocałował zmarłą w czoło. Potem nagle zrobił taki gest, jakby odtrącał trumnę od siebie, powiedział głośno: «Ona odeszła jak wróg!», po czym wyszedł i nie uczestniczył więcej w pogrzebie. Za trumną szedł natomiast Awel Jenukidze i ci, którzy widzieli procesję z boku, mogli sądzić, że to szedł Stalin. Stalin ani razu nie poszedł na grób żony, a piękny pomnik nagrobny został wybrany, zamówiony i postawiony przez rodzinę Alliłujewych. Stalin pozostał wdowcem do końca życia. Zdarzały mu się wprawdzie krótkie i niezbyt częste «związki» z poszczególnymi kobietami, ale żadna z nich nie miała już wpływu na jego postępowanie, ani tryb życia. Nieślubnych dzieci, noszących nazwiska matek, Stalin nigdy nie widział i nie życzył sobie oglądać".

W dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin tyrana trzynaście lat po XX Zjeździe, pięć lat po odsunięciu Chruszczowa, Biuro Polityczne KC KPZR postanowiło ogłosić fakt rehabilitacji Józefa Stalina. Specjalna publikacja miała ukazać się równocześnie w kilku gazetach krajów socjalistycznych. Przeciwko temu zdecydowanie wystąpili Władysław Gomułka, Janos Kadar i Luigi Longo. Przyjechali do Moskwy i poinformowali Breżniewa, że publicznie ogłoszą swoje stanowisko. W ostatniej chwili artykuł zdjęto. Zapomniano tylko uprzedzić Mongołów i materiał wydrukowała 22 grudnia 1969 r. gazeta „Unen". Mówi o tym zdarzeniu na łamach „KRAJU RAD" (nr 13) Roj Miedwiediew.

WSPOMNIENIA HEMATOLOGA

Wśród popleczników Stalina w naszym kraju było wielu Żydów przybyłych ze Związku Radzieckiego. Ciekawą przygodę w związku z tym miał prof. Julian Aleksandrowicz, który w latach wojny należał do leśnego oddziału Armii Krajowej. W lutym 1946 r. został zdemobilizowany z weryfikowanym stopniem majora, a później wezwany do biura Wojska Polskiego przy ulicy Koletek w Krakowie.

„Przyjął mnie szczupły porucznik mówiący bardziej po rosyjsku niż polsku, o wyraźnie semickim wyglądzie. Zaczął na mnie krzyczeć, odgrażać, pytać o przynależność do Armii Krajowej. Patrzyłem na niego zdumiony, nie wiedząc o co chodzi. Spokojnie zapytałem go — Czy pan jest Żydem? — Wyzwoliło to u niego furię wściekłości — już piał, spieniony. Dopiero, gdy powiedziałem — Ja też — osłupiał. Wyszedłem stamtąd energicznie zamykając drzwi za sobą. Od tej pory niczego ode mnie nie chciano, ale co chwilę dowiadywałem się, że ktoś z moich przyjaciół z lasu odsiaduje w więzieniach wyroki".

Nie publikowane wspomnienia prof. Juliana Aleksandrowicza, autora m.in. głośnej książki pt. „Nie ma nieuleczalnie chorych", drukuje w sobotnio-niedzielnych wydaniach „RZECZPOSPOLITA" (nr 77). Zapisała je na taśmie magnetofonowej i przygotowała do publikacji dr Ewa Stawowy. Całość ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

SYTUACJA MATERIALNA LUDNOŚCI

Na zakończenie przechodzę do ważnej sprawy współczesnej. W tygodniku „ZWIĄZKOWIEC" (nr 13) ukazał się materiał obrazujący koszty utrzymania, płace realne i minimum socjalne w 1988 roku. Okazuje się, że najbardziej wzrosły przychody z nie uspołecznionej gospodarki pozarolniczej (o 112 proc.) i przychody ze sprzedaży produktów rolnych (o 94 proc.). Natomiast wynagrodzenia za pracę w gospodarce uspołecznionej wzrosły o 73 proc. Pogorszyły się przy tym relacje poziomu wynagrodzeń pracowników sfery budżetowej do sfery materialnej.

„Szczególnie o niekorzystnych relacjach można mówić w dwóch działach: oświata oraz ochrona zdrowia. W oświacie i wychowaniu przeciętne wynagrodzenie stanowiło tylko 67 proc. tego, co w sferze produkcji materialnej. Jeszcze gorzej kształtowało się to w ochronie zdrowia, bowiem tylko 66 proc. przeciętnego wynagrodzenia pracowników przemysłu, co czyniło tę płacę niższą o prawie 21 tys. złotych".

W ubiegłym roku pogorszyła się sytuacja emerytów i rencistów. Z wystąpienia telewizyjnego premiera Mieczysława F. Rakowskiego — opublikowanego w „TRYBUNIE LUDU" (nr 78) — wynika, że mamy 5 mln 505 tys. emerytów. Otrzymują oni następujące świadczenia: do 22 tys. zł — 0,5 proc., od 22 do 30 tys. zł — 3,4 proc., od 30 do 40 tys. zł — 40,0 proc., od 40 do 50 tys. zł — 36,0 proc., od 50 do 60 tys. zł — 10,6 proc., od 60 do 70 tys. zł — 3,8 proc., ponad 70 tys. zł — 3,7 proc. emerytów.

Zakład Analityczno-Badawczy Centrum Studiów Związków Zawodowych obliczył minimum socjalne w 1988 roku. Wynosiło ono miesięcznie na jedną osobę: w pracowniczym gospodarstwie domowym składającym się z 4 osób — 20 083 zł, natomiast w gospodarstwie emerytów i rencistów liczącym 2 osoby — 17 810 złotych.

W zespole do spraw reform gospodarczych i polityki społecznej „okrągłego stołu" przedstawiciele OPZZ zgłosili dość radykalny program. Zapytany o jego ocenę, minister Mieczysław Wilczek powiedział, że program ten rozśmieszył go.

„Dziś dyskutowaliśmy, jak stymulować rolników do większej produkcji rolnej. Tu propozycja OPZZ zakłada przerzucenie całego ciężaru wychodzenia z kryzysu na indywidualnych rolników, opodatkować ich — razem z rzemiosłem i prywatną inicjatywą — na 2,8 biliona zł rocznie. Czyli — zniszczyć. Można takie propozycje składać, ale odpowiedzią może być tylko śmiech".

Z ministrem przemysłu polemizuje Leon Podkaminer. Jego zdaniem, podobnie reagowali wicepremierzy Gorywoda i Sadowski.

E. L.

Może być w partii, ale...

Walczył o sprawiedliwość i karę dla winnych, więc jego też ukarano!

Kiedy Zygmunt B. ze wsi Grabów w województwie konińskim pierwszy raz wstępował do partii, myślał że będzie miał wpływ na rozwój kraju, który nazywa swoją Ojczyzną. Naczytał się i nasłuchał różności o wspólnym dobru, uczciwości i socjalistycznej sprawiedliwości. Wziął to sobie do serca i nie przypuszczał, że za sprawiedliwość można być ukaranym. Teraz już to wie.

Dwanaście lat temu Zygmunt B. dowiedział się od znajomego stróża w miejscowym SKR, że nocą w pobliskim stawie utopiono ponad tonę spółdzielczego jęczmienia. W Zygmuncie B. oburzyło się całe uczciwe jestestwo — pojechał do **Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Koninie.**

Komisja z Wydziału Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej przy KW, przyjechała, sprawdziła, sfotografowała staw i pływające na jego powierzchni resztki zboża. Później Zygmunt B. dostał pismo, że **„kontrola ZGR** (Zespołowe Gospodarstwo Rolne przyp. B.A.M.) **w Grabownie potwierdziła (...) fakty dotyczące wyrzucenia jęczmienia ok. 2 t. do stawu w lesie".** Dalsze „badanie gospodarności" albo raczej niegospodarności zlecono **Wydziałowi Lustracji Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych w Kole** zaś **„po przeprowadzeniu kontroli sprawa zostanie skierowana do organów ścigania".**

Nie mogąc się doczekać na dalsze działania ze strony organów kontrolnych i odpowiedź w sprawie jęczmienia Zygmunt B. napisał do **Biura Listów i Interwencji przy KC PZPR w Warszawie.** Odpowiedź z 13 lipca 1977 roku zawiadamiała, że kontrola przeprowadzona przez **WZKR w Koninie** potwierdza fakty **„wyrzucenia jęczmienia do stawu w lesie"** i że **„Dyrektor SKR oraz kierownik ZGR zostali ukarani naganą".**

Ponieważ jednak nadal nie było żadnych sygnałów, czy sprawą zajęły się organa ścigania Zygmunt B. 30 sierpnia 1977 roku napisał skargę do Prokuratury Generalnej PRL. W odpowiedzi **Prokuratura Wojewódzka w Koninie,** której przekazano sprawę do załatwienia, zawiadomiła 18 listopada 1977 roku, że **„zarzut Obywatela należy uznać za słuszny".** Poinformowano także, iż odmowa wszczęcia postępowania przygotowawczego w sprawie marnotrawstwa mienia SKR jest słuszna, ponieważ czyn ten **„nie stanowi przestępstwa niegospodarności określonego przepisem art. 217 Kodeksu Karnego, bowiem nie wypełnia wszystkich znamion tegoż przestępstwa, a mianowicie brak w nim „poważnej szkody".** I dalej **„... do odpowiedzialności za przestępstwo niegospodarności (...) nie wystarcza sama możliwość powstania szkody. Niezbędne jest nastąpienie poważnej szkody".** Prokurator Wojewódzki zawiadamia także Zygmunta B., że **„wyciągnięto konsekwencje służbowe wobec pracowników SKR Grabów winnych zniszczenia mienia".**

Nagany dostali: dyrektor SKR w Grabowie oraz kierownik ZGR. Również Zygmunt B. został ukarany! — **otrzymał naganę partyjną.**

Ano, skoro partia karze za sprawiedliwość, to widać jestem jej niepotrzebny — pomyślał towarzysz Zygmunt B. i oddał legitymację. Wtedy też, jak się później okazało nieszczęśliwie, zrezygnował z pracy w „melioracji" i na 11 lat został bezrobotnym.

Do 14 kwietnia 1988 roku nie mógł znaleźć pracy w tak zwanym sektorze państwowym na terenie województwa. Żeby nie pozostać bez środków do życia najmował się do sezonowych prac w rolnictwie, w przenośni i dosłownie kopał rowy... Kiedy zaproponowano mu pracę w miejscowych zakładach ceramicznych, a później w **Kopalni Węgla Brunatnego w Koninie** był już za stary, żeby tam zarabiać na utrzymanie rodziny.

Po latach, kiedy w Polsce przyszedł czas na reformowanie wszystkiego, w tym również i partii, Zygmunt B. postanowił dać jej szansę — zgłosił akces ponownego członkostwa.

Podstawowa Organizacja Partyjna w Grabowie postanowiła go przyjąć w swoje szeregi, egzekutywa zatwierdziła, natomiast sekretarz gminy stawiał veto. Po piśmie skierowanym przez Zygmunta B. do **Centralnej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR** w Warszawie, na które przyszła odpowiedź, że **„Zespół Orzekający (...) postanowił zezwolić Wam na ponowne wstąpienie do partii...",** sekretarz gminy nadal nie chciał widzieć Zygmunta B. w szeregach organizacji. Wreszcie po osobistej interwencji kierownika Wydziału Organizacyjnego Komitetu Wojewódzkiego w Koninie Zygmunt B. stał się ponownie członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Zygmunt B. starając się o powrót w szeregi partyjne pozostawał bez pracy i na jednym z zebrań POP członek egzekutywy wysunął wniosek, aby **wraz z przyjęciem do partii dać towarzyszowi B. robotę.** Z pomocą przyszedł nieszczęśliwy wypadek — palacz w miejscowym ośrodku zdrowia tragicznie zginął.

Kiedy Zygmunt B. miał już zrobione wszystkie badania prócz prześwietlenia płuc, dyrektor **Zespołu Opieki Zdrowotnej w Kole,** któremu podlega służba zdrowia **w Grabowie,** poinformował go, że miejsce pracy jest już zajęte. Wtedy B. zwrócił się o pomoc do gminnego sekretarza partii i ten obiecał pomóc.

Zygmunt B. 10 lutego 1988 roku w gabinecie rentgenowskim ZOZ **w Kole** zrobił badanie radiologiczne. Na wyniku prócz jego nazwiska i pieczątek był dopisek **„rozedma płuc".** Z takim schorzeniem nie można pracować w kotłowni.

Ale Zygmunt B. nigdy przecież nie miał kłopotów z płucami. Nie ma ich zresztą nadal. Zdziwiony i oburzony pojechał do **Łęczycy** i tam prześwietlił się drugi raz. Wyszło, że jest zdrowy. Kiedy wynik badania z Łęczycy pokazał dyrektorowi ZOZ, ten polecił zgłosić się jeszcze raz do gabinetu rentgenowskiego, aby otrzymać następny wynik zaświadczający o dobrym stanie zdrowia. Nowe zaświadczenie wystawiono z datą tego pierwszego, choć od tego czasu minął już ponad tydzień. Na pytanie, dlaczego pierwszy wynik był błędny, odpowiedziano, że **„coś tam było w kącikach".** Zaświadczenie z Łęczycy opatrzone jest między innymi adnotacją **„... kąty wolne"**

Umowę o pracę między **Zespołem Opieki Zdrowotnej w Kole** reprezentowanym przez jego dyrektora Józefa S. a Zygmuntem B. zawarto **14 kwietnia 1988 roku.** Okres próbny, nazwany w „angażu" czasem określonym wynosi dla Zygmunta B. — pracownika fizycznego trzy miesiące, podczas gdy polskie przepisy w tym względzie mówią tylko o dwóch tygodniach.

Znajomi Zygmunta B. mówią o nim **„niezwykle uczciwy, nie potrafi obojętnie przejść obok łamania prawa, niegospodarności i wszystkiego tego, co jest złe w naszym życiu".** Podobne zdanie o współtowarzyszu wyrażają członkowie POP, dodając że bez pardonu wytyka „władzy" wszystkie jej błędy.

Również Zygmunt B. nie uważa, aby prześladował go głupi ale zwykły pech.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

UWAGA CZYTELNICY!

Już od następnego numeru udostępniamy dwa łamy na drobne ogłoszenia (str. 15). Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń przy ulicy Piotrkowskiej 96 od poniedziałku do piątku włącznie w godzinach 8—15. Ogłoszenia przyjęte do piątku w każdym tygodniu ukażą się już w najbliższą środę.

A więc już od poniedziałku 10 kwietnia 1989 roku Biuro Ogłoszeń przyjmuje ogłoszenia drobne dla „Odgłosów" w cenie 500 złotych za słowo.

Do Czytelników „Odgłosów" zwraca się prezydent miasta Łodzi - JAROSŁAW PIETRZYK

Redakcja „Odgłosów" pod koniec każdego miesiąca zwraca się do prezydenta miasta Łodzi — JAROSŁAWA PIETRZYKA z prośbą o przedstawienie Czytelnikom tych problemów, jakimi zajmuje się administracja województwa łódzkiego. Pierwsza taka wypowiedź ukazała się w numerze 6, z 5 lutego 1989 roku.
Zwróciliśmy się też do Czytelników z propozycją zgłaszania pytań lub spraw ich interesujących, na które chcieliby otrzymać odpowiedź lub wyjaśnienie. Pytania takie można też zgłaszać dyżurującym reporterom w każdy czwartek.

Poznajmy swoje racje

Foto: Grzegorz Gałasiński

Pod adresem przewodniczącego Rady Narodowej M. Łodzi prof. A. Grabskiego oraz moim przychodzą coraz to nowe listy i propozycje. Wiele ciekawych, a nawet złośliwych uwag przekazano również telefonicznie. Za wszystkie serdecznie dziękujemy. Traktujemy je poważnie, ponieważ są cennym potwierdzeniem (lub zaprzeczeniem) przyjętych lub przygotowywanych kierunków rozwiązań.

Chciałbym jednak na wstępie podzielić się dość smutną refleksją. Otóż respondenci często używają pod adresem władz miasta takich sformułowań jak „władcy", „prominenci", co przypuszczam ma sugerować, że od jednego podpisu czy decyzji można zlikwidować wiele uciążliwości dnia codziennego lub negatywne zjawiska występujące w naszym życiu. Chcę zatem jednoznacznie stwierdzić, że nie czuję się ani „władcą" ani „prominentem". Natomiast chcę poinformować, że od wejścia w życie ustawy o radach narodowych i samorządzie terytorialnym w 1984 r. demokratyzacja przy podejmowaniu decyzji jest bardzo szeroka, dająca każdej organizacji społeczno-politycznej, każdemu związkowi i stowarzyszeniu, każdemu obywatelowi naszego województwa możliwość zaprezentowania opinii i uwag do wszystkich ważniejszych propozycji i projektów. Stwarzamy taką możliwość dla członków partii i bezpartyjnych, dla zrzeszonych i nie zrzeszonych, dla młodych i starszych.

Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że tych uwag jest jednak mało. Większość akceptuje przedstawione propozycje i projekty póki nie naruszają ich kompetencji, błogiego spokoju lub korzyści osobistych. Większość postuluje bliską lokalizację przystanku, ale w żadnym wypadku przy „moim" bloku czy domu. Podobne sytuacje występują z wysypiskami śmieci, lokalizacją drogi czy parkingu. Blisko, ale nie za blisko. Powszechnym zjawiskiem staje się więc protest, który powoduje, że rozwiązanie wielu uciążliwych dla mieszkańców spraw przedłuża się w czasie i powoduje również straty materialne.

Stworzony został demokratyczny system podejmowania decyzji — musimy więc tę demokrację szanować i przestrzegać jej w interesie społecznym. System nakazowy, a więc administracyjny sposób rozwiązywania problemów i zjawisk patologicznych nie istnieje. Uważam, że słusznie, bo jest to metoda nieskuteczna. Tylko szeroki zakres wykorzystania kompetencji komitetu blokowego, samorządu mieszkańców i władz pozostałych szczebli może dać szybkie i skuteczne efekty w likwidacji uciążliwości. Jest to w tym momencie odpowiedź na wiele zgłaszanych spraw pod adresem władz województwa, a od dawna już leżących w gestii dzielnic, miast i gmin, ba, często nawet samorządu mieszkańców. Oczywiście władze na każdym szczeblu odpowiadają za merytoryczny nadzór i właściwe rozwiązanie problemów.

Jest w naszym województwie wiele uciążliwych spraw, którymi będziemy musieli się zająć w najbliższym czasie. Można je zasadniczo podzielić na dwie grupy. Pierwsza to likwidacja barier rozwojowych naszej aglomeracji. Jest to występujący już dziś deficyt wody i ciepła. Ogranicza on rozwój budownictwa mieszkaniowego, budowę nowych hoteli, ulepszenie infrastruktury handlowej i gastronomicznej, a także modernizację i remont zasobów komunalnych, ochronę środowiska.

Druga grupa — to problemy bieżące, takie jak czystość i estetyka miasta, poprawa jakości dróg, komunikacji i układu drogowego.

Nieco gorzej wygląda sprawa zaopatrzenia, na które — niestety — mamy mniejszy wpływ ze względu na brak zaplecza rolniczego i hodowlanego. Wszystko jednak wskazuje, że urynkowienie gospodarki żywnościowej poprawi sytuację zaopatrzeniową, szczególnie dużych aglomeracji miejskich.

Z inicjatywy łódzkiej instancji partyjnej odbędzie się w maju w naszym mieście posiedzenie Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów poświęcone problemom województwa. Upatruję w tym wydarzeniu ogromną szansę pomocy w rozwiązaniu wielu problemów, które w chwili obecnej wykraczają poza możliwości finansowe naszego budżetu.

Najczęściej poruszanym problemem w listach i telefonach jest stan sanitarny i estetyka miasta. Szczególnie dużo krytycznych uwag dotyczy centrum miasta. Mimo wykonania wielu nowych elewacji oraz uporządkowania placów i skwerów, również nie jesteśmy zadowoleni z wyglądu miasta. Podzielam krytyczne uwagi p. Janusza Króla oraz p. Janiny Ojrzyńskiej dotyczące brudu i konieczności skutecznego wreszcie uporządkowania miasta. Jako administracja zrobimy wszystko, aby Łódź wyglądała czysto i schludnie. Mam tylko jedną prośbę — szanujmy również swoją i innych pracę, przestańmy dewastować i niszczyć zieleń, ławki, kosze. Potem trzeba zieleń sadzić na nowo, naprawiać różne urządzenia, wymieniać na nowe. Co roku wydajemy kilkaset milionów na te same prace porządkowe. Pamiętajmy, że to co się w mieście robi ma przecież służyć nam wszystkim.

Zostało podjętych wiele działań związanych z uporządkowaniem miasta. Oceniamy te działania, a w stosunku do niepoprawnych Miejska Straż wyciągnie surowe konsekwencje. W dalszym ciągu uważam, że porządek to sprawa nas wszystkich, a więc nadzoru i służb powołanych do utrzymania czystości, ale również mieszkańców i obywateli miasta, którzy nie mogą być obojętni na marnotrawstwo i wandalizm, na dewastowane — często na ich oczach — przystanki i trawniki, powyginane barierki i zaśmiecanie miasta.

W ostatniej fazie przygotowań jest ustawa o mieniu komunalnym — doniosły akt, który z „niczyjego" zrobi „nasze". Mam nadzieję, że będzie to wystarczająca motywacja do szanowania naszego wspólnego mienia i majątku narodowego.

Po raz kolejny już wraca problem łódzkiego metra. Pan Stanisław Desput pyta: czy stać miasto i jego budżet na kontynuację prac projektowych i przygotowawczych? Jest to niezwykle trudny problem: czy w okresie deficytu i braku środków należy kontynuować prace. Jestem przekonany, że tak. I to bez względu na termin rozpoczęcia budowy. Od kilku już lat został zgromadzony wysokiej klasy zespół projektantów, który kompleksowo projektuje założenia techniczno-ekonomiczne. Przerwanie prac — to nie tylko strata kilkuset mln zł, ale również brak wiedzy o możliwościach technicznych i potrzebnych środkach. Prace prowadzone są wspólnie z Warszawą i Krakowem. Korzystamy z doświadczeń i jest to cenna pomoc. Myślę, że nasi następcy będą wdzięczni za stworzenie perspektywy budowy metra, mimo kłopotów i trudności, które dziś przeżywamy. I jeszcze jedna, ostatnia już, informacja. Prace projektowe, które obecnie prowadzimy nigdy nie stracą na aktualności, a wręcz odwrotnie, są niezbędne do projektowanego równolegle planu zagospodarowania przestrzennego naszego województwa.

Z tej ziemi

Dzienne i nocne rozmowy Polaków

1.

O czym dziś rozmawiają Polacy? O tym, co będzie dalej, bo przecież najmądrzejsze nawet uchwały i postanowienia „okrągłego stołu" automatycznie rzeczywistości nie zmienią. Potrzebne jest rozsądne, dobrze przemyślane, mające na celu dobro Polski — działanie. I na takie działanie Polacy oczekują. Gorzej, że oczekują często od innych, rzadziej od siebie. A nic nie zmieni się nagle, z dnia na dzień. Na wszystko potrzeba czasu.

Obrady „okrągłego stołu" już się zakończyły, a rzeczywistość mamy taką, jaką mieliśmy. A może nawet bardziej skomplikowaną. Istnieją obok siebie dwa związki harcerskie. OPZZ znalazło się w opozycji do rządu i do mającej być zalegalizowanej „Solidarności", chociaż Alfred Miodowicz w Krakowie nawoływał, aby nie nienawidzić „Solidarności". Polityka OPZZ nie jest do pogodzenia z udziałem jej przewodniczącego w pracach Biura Politycznego KC PZPR i należy oczekiwać, że Alfred Miodowicz złoży odpowiednią dymisję. Rolnicy wstrzymali dostawy mleka i mięsa i trudno nie zgodzić się z ich racjami, chociaż sposób protestu okaże się dla mieszczuchów bolesny. Polityka fiskalna powinna zmierzać do rozwoju rolnictwa, a nie tworzyć kolejnej pompy tłoczącej pieniądze do skarbu. Pojawienie się nowych związków zawodowych musi wzmóc rywalizację o wpływy wśród pracujących, choć chciałoby się oczekiwać współpracy. Jest ona bowiem niezbędna właśnie w interesie pracujących.

No i nie ulega wątpliwości, że konserwatyści wszelkiej maści, połączywszy siły, dadzą znać o sobie. Reformy — co już obserwujemy od kilku lat — przy powszechnej aprobacie słownej i wspaniałych deklaracjach, napotykają nieustannie przeszkody i bariery. I nie ma co się zbytnio dziwić, gdyż zagrażają różnym grupowym interesom. Naruszają przywileje i święty spokój. Poszerzenie kręgu reform musi nieuchronnie naruszyć różne interesy. Ot, choćby wszelkich obiboków, którym powinno zabraknąć miejsca w dobrze zorganizowanych przedsiębiorstwach. I tych, którym reformy zagrożą utratą ciepłej posady i wcale niebagatelnych przywilejów. Będzie to się objawiać w różnych ruchach społecznych, demonstracjach, a nieumiknione są też prowokacje.

Ale wszystko to musimy przetrzymać, musimy założyć, że takie zjawiska są nieuchronne, przestać się bać wszystkiego, co jest trochę bardziej skomplikowane. Skoro mieliśmy odwagę uruchomić procesy reformatorskie, zmieniające rzeczywistość, to miejmy odwagę przeciwstawić się również zjawiskom ubocznym, które te procesy muszą ujawnić, nie biorąc takich zjawisk za skutki reform. Nie podnośmy zatem histerycznego krzyku.

Spokojnie i konsekwentnie zmieniajmy rzeczywistość, dość już ją naopisywaliśmy!

2.

O czym jeszcze rozmawiają Polacy? Zastanawiają się, kto będzie kandydował na prezydenta w Polsce. W czasie takiej rozmowy profesor Henryk Rafalski przypomniał, że wyborów prezydenta było kilka i nie wszystkie odbyły się gładko. Głosowano po kilka razy.

Wszystkim się bowiem niegdyś zdawało, że prezydentem będzie Józef Piłsudski. 1 grudnia 1922 roku zgłosił się do niego Stanisław Thugutt — przedstawiciel PSL „Wyzwolenie" i zaproponował, aby Józef Piłsudski był kandydatem jego partii. Józef Piłsudski odpowiedział 4 grudnia 1922 roku, rezygnując w ogóle z kandydowania, gdyż nie odpowiadały mu uprawnienia prezydenta, jakie nadawała Konstytucja z marca 1921 roku. Wysunął natomiast swoich kandydatów: Wincentego Witosa, Macieja Rataja i Stanisława Wojciechowskiego. Gabrielowi Narutowiczowi, który kandydował z ramienia PSL „Wyzwolenie" doradzał rezygnację.

Wybory pierwszego prezydenta II Rzeczpospolitej odbyły się 9 grudnia 1922 roku i stanęło do nich 5 kandydatów: Jan Baudoin de Courtenay z ramienia mniejszości narodowych, Ignacy Daszyński z PPS, Gabriel Narutowicz z PSL „Wyzwolenie", Stanisław Wojciechowski z PSL „Piast" i Maurycy Zamojski z ramienia ugrupowań prawicowych. Wyboru dokonywało Zgromadzenie Narodowe składające się z 444 posłów na Sejm i 111 senatorów.

Wymagana większość wynosiła 271 głosów. W pierwszym głosowaniu nikt jej nie otrzymał. W drugim głosowaniu odpadł Ignacy Daszyński, który otrzymał 1 głos. W trzecim — Jan Baudoin de Courtenay z 5 głosami, w czwartym — Stanisław Wojciechowski z 146 głosami, w piątym zwyciężył Gabriel Narutowicz, który otrzymał 289 głosów.

Natychmiast zaczęła się nagonka na pierwszego prezydenta Rzeczpospolitej, zarzucano mu między innymi, że wybrano go głosami mniejszości narodowych. Faktem było, że wygrał rywalizację z hrabią Maurycym Zamojskim — przedstawicielem sił prawicowych. Nie darowano mu tego zwycięstwa. Najpierw Józef Piłsudski niezbyt elegancko zachował się przy przekazywaniu władzy, dając do zrozumienia, że nie jest to popierany przez niego prezydent, a w dwa dni później — 16 grudnia 1922 roku — zastrzelił go w Zachęcie Eligiusz Niewiadomski.

Następne wybory odbyły się 20 grudnia 1922 roku. Do wyborów stanęło dwóch kandydatów: Kazimierz Morawski — profesor Akademii Umiejętności z Krakowa i kandydat kompromisowy — Stanisław Wojciechowski. Kazimierz Morawski otrzymał 211 głosów, a Stanisław Wojciechowski — 298. Urząd swój sprawował do 14 maja 1926 roku, kiedy to złożył go po zamachu Józefa Piłsudskiego.

I znów się wszystkim wydawało, że Józef Piłsudski będzie kandydował do urzędu prezydenta. Kandydowania zrzekli się Maciej Rataj, Wojciech Trąmpczyński i Stanisław Wojciechowski. Józef Piłsudski natomiast rzekł:

— *Kandydat na Prezydenta musi stać ponad stronnictwa, winien umieć reprezentować cały naród...*

Niech Prezydent tworzy rząd, ale bez nacisku partii. To jest jego prawo...

Z kandydaturą moją róbcie, co wam się podoba. Nie wstydzę się niczego, skoro się nie wstydzę przed własnym sumieniem. Jest mi obojętne, ile głosów otrzymam. Dwa, sto, czy dwieście.

Kontrkandydatem był reprezentant prawicy, wojewoda poznański Adolf Bniński. Otrzymał on 193 głosy. Józef Piłsudski — 292. Już w pierwszym głosowaniu. Odbyło się ono 31 maja 1926 roku. Ale Józef Piłsudski prezydentury nie przyjął. Przekonał się o poparciu i to mu wystarczyło. Zaproponował natomiast jako kandydata profesora Ignacego Mościckiego. Wywołało to ogromne zdumienie. Ignacy Mościcki nie był osobą znaną w polityce. Jednak poparcie Józefa Piłsudskiego wystarczyło.

Kolejne wybory — już czwarte — odbyły się 1 czerwca 1926 roku. Obecnych było 545 posłów i senatorów. W pierwszym głosowaniu oddano 63 głosy nieważne. Wymagana większość wynosiła 242 głosy. Ignacy Mościcki otrzymał 215 głosów. Był kandydatem Klubu Pracy. Adolf Bniński — kandydat Związku Ludowo-Narodowego — otrzymał 211 głosów. Zygmunt Marek — PPS — otrzymał 56 głosów. W drugiej turze głosowania Ignacy Mościcki otrzymał 281 głosów i wygrał wybory.

Ignacy Mościcki ponownie stanął do wyborów 8 maja 1933 roku. Przypuszczano, że jego kontrkandydatami mogą być Walery Sławek, Zygmunt Jundziłł lub Aleksander Prystor. Spodziewano się, że opozycja wysunie Ignacego Paderewskiego. Ale ani opozycja nie wysunęła swojej kandydatury, ani rząd. Jedynym kandydatem był zatem Ignacy Mościcki. W Zgromadzeniu Narodowym wzięło udział 347 posłów i senatorów na 555. Oddano 332 głosy na jedynego kandydata — Ignacego Mościckiego. Ale i on nie dotrwał do końca drugiej kadencji. Zrzekł się swojego urzędu we wrześniu 1939 roku. Pierwotnie miał prezydentem zostać Bolesław Wieniawa Długoszowski, ale wobec opozycji sojuszników został nim Władysław Raczkiewicz. Po nim był August Zalewski, a po nim Edward Raczyński.

Stanisław Wojciechowski zmarł 9 kwietnia 1953 roku w Gołąbkach pod Warszawą, gdzie mieszkał. Ignacy Mościcki zmarł 2 października 1946 roku w Szwajcarii.

Krajowa Rada Narodowa powstała w nocy z 31 grudnia 1943 roku na 1 stycznia 1944 roku. Na jej czele stanął Bolesław Bierut. Wybory do Sejmu odbyły się 19 stycznia 1947 roku. Sejm zebrał się 4 lutego 1947 roku i wybrał prezydenta — dotychczasowego przewodniczącego KRN, Bolesława Bieruta.

Urząd prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej przestał istnieć w 1952 roku. I powraca w 1989 roku. Kto będzie kandydował? Pytanie pozostaje otwarte.

3.

Polacy poza wszystkim lubią plotkować. Oto — ku swemu ogromnemu zdziwieniu — dowiedziałem się, że ponoć „Odgłosy" już przyznały swoją doroczną nagrodę **„jakiemuś poecie z Sieradza"**. W tej sytuacji czuję się w obowiązku złożyć następujące oświadczenie.

Nagrodę „Odgłosów" przyznaje jury na podstawie regulaminu zatwierdzonego przez Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", które jest jej fundatorem. ŁWP powołuje też jury na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów". Jury przyznaje nagrodę, po rozpatrzeniu wszelkich wniosków, w głosowaniu tajnym. Do tej pory ŁWP nie powołało jury. Jego skład będzie — jak było do tej pory — podany do publicznej wiadomości. Z posiedzeń jury publikuje się komunikaty. Wszelkie informacje rozpowszechniane na ten temat są plotkami.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Znana już naszym Czytelnikom z publikowanych na łamach „Odgłosów" opowiadań, autorka autobiograficznego tomu pt. „Nadzieja umiera ostatnia" wydanego nakładem „Czytelnika". Halina Birenbaum, tym razem opisuje wojenną historię dotyczącą rodziny, która po wyzwoleniu zamieszkała na stałe w Łodzi. Nie ulega wątpliwości, że właśnie dzięki Halinie Birenbaum i czytelnikom jej książki mieszkającym w Polsce, uratowane przed zagładą w czasie wojny dwie dziewczynki żydowskie, dziś oczywiście dorosłe kobiety, odnalazły p. Lidię, która ze swoimi rodzicami odegrała wielką rolę w życiu Marty i Rózi. Pani Lidia traktowała postępowanie rodziców i swoje za sprawę tak naturalną, że do tej pory tylko niewielu osobom, i to spośród kręgu najbliższych, opowiadała o ukrywaniu przed hitlerowcami żydowskich dzieci, mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa grożącego za to wszystkim domownikom ze strony okupanta.

20 kwietnia 1989 r. p. Lidia z mężem Zygmuntem udaje się do Izraela na zaproszenie Marty i Rózi oraz Instytutu Yad Washem w Jerozolimie.

(kate)

Życie dopisało dalszy ciąg opowiadania Haliny Birenbaum. Na zdjęciu: spotkanie w Łodzi, od lewej siedzą: Marta, Autorka i Lidia, za nimi ich mężowie.

Fot. Konrad Turowski

W wiele lat po wojnie, odnajdują się ludzie, którzy razem ją przeżyli.

Zawiłe życie Marty

HALINA BIRENBAUM

1.

Zadzwonił telefon. Po drugiej stronie linii odezwał się nieznany, dziecinny trochę, głos. Nauczycielka z gimnazjum w Ramle zapraszała mnie z pogadanką na temat moich przeżyć z lat wojny. Dowiedziała się o mnie od swej bratowej, która była obecna na takim spotkaniu na zjeździe bibliotekarzy w Uniwersytecie Bar-Ilan.

Później Marta z mężem odwiedziła mnie w Herclii. Miałyśmy sobie tak wiele do powiedzenia, jakbyśmy się znały całe lata! Rozbudziłam w niej wspomnienia z Polski, pragnienie nawiązania kontaktów z ludźmi, u których spędziła swe dzieciństwo podczas wojny, którzy uratowali ją wtedy. Nie pamiętała ich nazwiska. Ale bardzo pragnęła odnaleźć swych dawnych przyjaciół. Nie wiedziała zupełnie jak to zrobić?...

W Polsce wznowiono moją książkę o przeżyciach w getcie i obozach niemieckich. Czytelnicy zaczęli do mnie pisać. Zwróciłam się więc do jednego z nich z prośbą, aby spróbował odnaleźć przyjaciół Marty. Podałam wiadome mi szczegóły Zbyszkowi Kurowickiemu z Warszawy. Pojechał z żoną do Łodzi. I odnalazł tych ludzi.

Nadszedł od nich list! Marta powiedziała mi przez telefon, że niemożliwe zostało urzeczywistnione! Niedługo potem zatelefonowaliśmy do nich. Musiałam mówić pierwsza, gdyż Marta nie śmiała mówić po polsku... Była przecież jeszcze dzieckiem, gdy przyjechała do Izraela. Jej mąż Amos urodził się w Izraelu. Studia ukończyła w języku hebrajskim Przyszło na świat dwóch synów i córka. Polska zniknęła z horyzontu jej życia.

2.

W kwietniu 1988 roku spotkaliśmy się wszyscy. Marta z Amosem i ja z mężem — w domu wybawicieli Marty w Łodzi. Wiele było radości i wzruszenia! Jedynie Amos nic nie rozumiał. Wszystko tłumaczyła mu Marta. Przypomniała sobie wszystko. A także język swego dzieciństwa. Poraz pierwszy od tylu lat poczuła znów, że ma matkę, rodziców! Lidia i jej mąż troszczyli się o nią, jak o odnaleziona cudem siostrę. Wszystko, co chciała zdusić w sobie i zapomnieć — wróciło znów z wzmożoną siłą Wspominali, uzupełniali nawzajem wiadomości o owych latach, płakali, całowali się...

3.

W roku 1941 Niemcy zajęli Czortków, rodzinne miasto Marty. Miała wtedy 6 lat. Jej ojciec był adwokatem i rektorem hebrajskiego gimnazjum w miasteczku. Matka pracowała w aptece. Niemieccy okupanci rozkazali ojcu przewodniczyć gminie żydowskiej oraz sporządzić listy Żydów, których przeznaczyli na śmierć. Sprzeciwił się temu. Wywieziono go do lasu i rozstrzelano. Marta z matką zostały same.

W Czortkowie utworzono getto, ale apteka znajdowała się w dzielnicy tzw. aryjskiej. Matka Marty miała zezwolenie na kontynuowanie pracy. Zabierała ze sobą Martę i ukrywała ją w przyległym do apteki pokoiku. Uczyła ją, jak ma się zachowywać, aby nie zdradzać swego, niedozwolonego istnienia. Wpajała w nią wiedzę konieczną dla przeżycia tego koszmaru...

W getcie odbywały się często akcje wysiedleńcze — wyprowadzano Żydów na rynek miasta, a stamtąd na stracenie. Matka ukrywała Martę nieraz w getcie, nieraz w aptece — albo u swych aryjskich przyjaciół w mieście. Podczas kolejnej wielkiej akcji wysiedleńczej schowała ją w grobie na cmentarzu. Spodziewając się okrutnej zagłady zdecydowała się ratować Martę powierzając ją polskiej rodzinie, znajomym sprzed wojny, którzy już wyprowadzili się do Warszawy. Kilkunastoletnia Lidia, córka owych znajomych, przyjechała po Martę pociągiem do Czortkowa. Było to bardzo niebezpieczne. Mała Marta bowiem zupełnie nie miała aryjskiego wyglądu. Jej czarne włosy i ciemne oczy ryzykownie zwracały powszechną uwagę. Pamięta, że płakała i nie chciała oderwać się od matki...

Z początku otrzymywała listy od matki, ale potem listy przestały nadchodzić, a Marta wolała nie pytać, dlaczego. Bawiła się z polskimi dziećmi na podwórku, starała się naśladować je we wszystkim i niczym się nie wyróżniać. Nie było to łatwe. Córeczka adwokata i aptekarki miała przecież lepsze maniery i wychowanie od wielu dzieci na Mokotowie. Nie umiała przeklinać — a nawet bawić się nie umiała, gdyż w ciągu długich miesięcy musiała sama siedzieć ukryta w pokoiku i nie zdradzić swej obecności... Ale pamiętna pouczeń matki poznała szybko nowe warunki i starała się przystosować do nich.

Jej dobroczyńcy sąsiadom zaprezentowali ją jako krewna ze wsi. Chodzili z nią do kościoła. Nikt w domu nie liczył się z tym, że obecność Marty zagraża życiu całej rodziny. Ona zaś nauczyła się szybko zachowywać jak rodowita chrześcijanka.

Marta pragnęła czuć się bezpieczna, nie być prześladowana i szczuta. Najbardziej czuła się bezpieczna i spokojna właśnie w kościele. Tutaj nie było hitlerowców. Powiedziała mi to teraz, gdy zwiedzaliśmy stary kościół w Lublinie. Uczyła się doskonale, miała polskie koleżanki. Ale raz o mało nie zdradziła się u jednej z nich. Zaproszono ją do eleganckiego stołu na obiad rodzinny. Posługiwała się zbyt sprawnie nożem i widelcem... Mogło to okazać się niebezpieczną pułapką...

— Kto nauczył cię we wsi posługiwać się tak ładnie nożem i widelcem? — zapytał podejrzliwie ojciec koleżanki...

Zamarła ze strachu, myśląc, że to już jej koniec!

W domu, gdzie znalazła schronienie, przechowywała się jeszcze jedna Żydówka. Kilkunastoletnia Rózia, córka przedwojennego lekarza tej polskiej rodziny.

Nie mieli dla niej aryjskich dokumentów, toteż nie wychodziła w ogóle z mieszkania. Wszyscy jej bliscy zostali zamordowani przez Niemców, ona zdążyła uciec w ostatniej chwili do dworu, skąd potem przewiozła ją również Lidia do Warszawy. W ich trzypokojowym mieszkaniu w Warszawie znajdowało się teraz aż jedenaście osób... Dwaj młodsi bracia Lidii, troje dzieci zmarłej siostry gospodyni domu, Lidia, jej rodzice, pomoc domowa p. Helena oraz Rózia i Marta.

Marta spała z początku z panią Heleną w jednym łóżku. Nie wiadomo dlaczego, jej silna, męska niemal postać budziła strach w Marcie. Okazało się jednak, że jej, bardziej niż komukolwiek, miała zawdzięczać swe ocalenie.

4.

Pewnego dnia wezwano ich wszystkich na przesłuchanie do gestapo. Marta wciąż podawała uparcie imiona swych rzekomych rodziców i ośmiorga rodzeństwa ze wsi obok Czortkowa, gdzie na szczęście znajdowali się już Rosjanie. Po dniu i nocy męki — wypuścili ją. W domu przyjęta została z największą serdecznością i radością.

Rózię także wypuszczono z gestapo. Było to niebywałym cudem, gdyż nie mówiła dobrze po polsku i nie miała żadnych dokumentów. Dla większego bezpieczeństwa poradziła jej kuzynka Lidii udać się do niemieckiego obozu pracy jako Polka. Przeżyła tam wojnę.

Bracia i kuzyni Lidii uciekli na Wschód wiosną 1944 roku. Lidia z matką zostały odcięte także w pobliżu Czortkowa w marcu 1944 roku podczas jednej ze swych wypraw z Warszawy po żywność. W domu na Mokotowie pozostała więc tylko Helena z Martą. Ojciec Lidii poległ na początku powstania warszawskiego w 1944. Marta wspomina zawsze piękną, wielką lalkę, którą jej kupił, gdy otrzymała celujące świadectwo w szkole, mimo że bardzo źle mu się wiodło w Warszawie.

Helena strzegła Marty, jak rodzonego dziecka. Ubierała ją, czesała jej długie warkocze, wplątując w nie piękne sztywne kokardy. Była szczęśliwa z jej osiągnięć w szkole i wciąż napominała ją, że jest wszakże nie byle kim, a córką adwokata! Wykłócała się za nią z dzieciakami na dworze i ich rodzicami, gdy chcieli ją skrzywdzić, czy wydawało jej się, że oszukują w zabawie... Dawała jej bułki z kiełbasą do szkoły, odbierając wielką część tych smakołyków innym członkom rodziny. Nie miała pojęcia, że Marta pod wpływem kazań księdza w kościele na Placu Trzech Krzyży — rozdaje te skarby żebrzącym dzieciom pod tymże kościołem...

5.

Wybuchło powstanie. Hitlerowcy wyciągali ludzi z mieszkań, wrzucali granaty do ukrywających się w piwnicach. Helena kazała Marcie stawać za drzwiami komórki, a ona zakrywała wejście swym wielkim ciałem. W końcu jednak zostały wyprowadzone wraz z tysiącami innych. Marta była w cienkiej sukience i sandałach, a na dworze lał deszcz. Zagubiła w błocie jeden sandał, pokaleczyła stopy i nie mogła chodzić...

Helena niosła ją przez kilka dni i nocy. Swym silnym ciałem torowała drogę do środka kolumny, aby uniknąć bicia i strzałów, które były udziałem tych, co znajdowali się na brzegach, a zwłaszcza przy końcu szeregów. U wrót obozu usłyszały krzyki, lamenty. Okazało się, że zabierają dzieci matkom, nie wpuszczają ich razem do obozu. Helena uwiesiła sobie Martę na brzuchu, okryła szerokim, czarnym płaszczem i w ten sposób wniosła ją do obozu. Ukrywała Martę pod siennikiem. Po kilku tygodniach udało się im uciec. Dotarły do wsi w pobliżu Krakowa. Helena pracowała w polu na utrzymanie swoje i Marty w ciągu całej jesieni, w deszcze, w słoty. Marta często pozostawała w łóżku, chorowała, a także dlatego, że nie było w co ją odziać. Rzeczy, które miała na sobie roiły się od wszy, których w żaden sposób nie udawało się wytępić. Wszy prześladowały ją długo jeszcze po zakończeniu wojny, w nędzy rozmaitych domów sierot i internatów...

6.

W styczniu 1945 roku powróciły do Warszawy. Wszystko było zburzone. Nie było żywności, ani też nie posiadały żadnych środków do zdobycia jej. Marta próbowała handlować... wodą w tym zrujnowanym doszczętnie mieście. Helena wyznała jej, że nikt z jej rodziny nie uratował się, i ona zastąpi jej odtąd matkę na zawsze.

Ale wszystko potoczyło się inaczej. Okazało się, wkrótce, że uratował się dziadek i siostra matki Marty. Odnaleźli Helenę i przyszli po dziecko, Nie chciała pójść. Mówiła, że to pomyłka, ona nie jest Żydówką... Ale ksiądz przekonał Helenę, że dziecko trzeba zwrócić rodzinie, która tylu swych bliskich straciła — a tym bardziej wyniszczonemu narodowi żydowskiemu!

Z bólem w sercu pomogła Helena dziadkowi porwać Martę przeciw jej woli. Dziadek oddał ją do domu dziecka w Chorzowie, gdzie panowała nędza, głód i zaniedbanie. Potem wyjechali do jakiegoś obozu UNRA w Niemczech, a stamtąd do Izraela, gdzie również włóczyła się w ciągu długiego czasu po różnych domach dziecka, tęskniąc i łaknąc daremnie macierzyńskiej opieki. Jednak zdołała ukończyć studia i założyć szczęśliwą rodzinę w Izraelu.

Helena odchorowała rozstanie z Martą i nigdy nie mogła znaleźć pocieszenia. Zmarła w 1977 roku. Marta wspomina ją zawsze i opowiada o niej z miłością i czcią.

Konfrontacje

A za rogiem nie ma milicjanta!

Tego samego dnia, kiedy przed południem Rada Narodowa miasta Łodzi oceniała stopień realizacji swojej uchwały z 26 stycznia 1987 roku dotyczącej zwalczania patologii społecznej i przestępstw, znalazłam się wczesnym popołudniem na ulicy Żeromskiego przed kinem „Przedwiośnie". Grupa młodzieńców, którzy wyszedłszy z restauracji „Natasza" załatwiała swoje porachunki. Tłukli się soczyście po twarzach. Ludzie przyglądali się temu obojętnie. Niektórzy szyoko przechodzili na drugą stronę ulicy. Milicjanta ani na lekarstwo, a przecież zaledwie kilkadziesiąt metrów znajduje się DUSW dla Polesia. Już sam ten fakt powinien był na młodzieńców podziałać uspakajająco. Nie podziałał.

Przypomniałam sobie wtedy przemówienie na sesji RNMŁ radnego Jerzego Jatczaka, który widać mało zna Łódź, gdyż powiedział, że w porównaniu z miastami na Zachodzie Łódź jest miastem bezpiecznym. Wieczorami można spokojnie wyjść do parku. Przynajmniej on chodzi. Być może radnemu Jerzemu Jatczakowi ten spokój kojarzy się z faktem, że u nas nie ma handlu bronią i nikt po nocy nie strzela do drugiego człowieka. Ale kilka dni wcześniej, na tej samej ulicy Żeromskiego, tylko bardziej na północ, wczesnym wieczorem trzej młodzi ludzie napadli mężczyznę, który miał nogę w gipsie i chodził przy pomocy laski. W napadzie posłużyli się brzytwą. Jest to równie groźna broń. Pobili go dotkliwie i ograbili. Na wszelki wypadek zabrali laskę.

Statystyki mają to do siebie, że operują danymi zbiorczymi. Według statystyki, w 1988 roku popełniono w Łodzi 17 755 przestępstw. Mniej niż w 1987 roku, kiedy popełniono ich 18 837. Statystycy mogą się zatem cieszyć. Milicja i inne służby porządkowe też. Ale okradzionemu, pobitemu, potrąconemu przez podpitego kierowcę obojętne jest, czy wielu jest takich poszkodowanych jak on, czy też jego spotkało wyjątkowe nieszczęście. Dla niego zawsze to będzie wyjątkowe nieszczęście.

Prokurator wojewódzki — Henryk Marek powiedział, że Łódź pod względem zagrożenia przestępczością — po Warszawie, Szczecinie, województwie gdańskim, elbląskim i legnickim — zajmuje ciągle wysokie 6 miejsce. Powracająca wieczorem z pracy kobieta nie zastanawia się nad tym, czy to jest dobrze, czy źle. Ona po prostu boi się i marzy, aby pojawił się na nie doświetlonej ulicy patrol milicji. Cóż obchodzi powracającego z wczasów łodzianina, że miasto zajmuje — znów niestety wysokie — 4 miejsce pod względem włamań do mieszkań prywatnych i takie samo pod względem kradzieży w instytucjach uspołecznionych, a więc gdzie indziej jest jeszcze gorzej, kiedy jego mieszkanie doszczętnie ograbiono, a był to dorobek jego życia. On po prostu chce, żeby w mieście żyło się bezpieczniej.

Generał Bronisław Moczkowski pochwalił się, że z inicjatywy MO założono w Łodzi 240 alarmów, które mają sygnalizować włamania do sklepów. Mój znajomy opowiadał mi, jak tłum ludzi obojętnie przysłuchiwał się na ulicy Jaracza ryczącemu alarmowi. Nikt nie próbował nawet zajrzeć do sklepu przez szybę, czy złodzieje jeszcze tam są, czy już wyszli. Alarm prawdopodobnie zepsuł się i sam się uruchomił. Ale nikt nie kwapił się, aby to sprawdzić. Nawet przejeżdżający obok patrol milicyjny!

Rozumiem dobrze skargę autorów z UMŁ, którzy sporządzali informację o realizacji uchwały RNMŁ z 26 stycznia 1987 roku, że „wśród niedomagań utrudniających uzyskiwanie dobrych rezultatów walki z negatywnymi zjawiskami patologii społecznej należy w dalszym ciągu wymienić brak społecznego potępienia dla negatywnych zachowań osób nadużywających alkohol, a także brak pełnego społecznego zaangażowania i wspierania działań prowadzonych przez organa ścigania i wymiaru sprawiedliwości". Milicji byłoby zapewne lepiej zwalczać przestępstwa, gdyby ludzie im w tym pomagali. Zresztą przykłady takiej pomocy są. Ale ludziom z drugiej strony byłoby lepiej, gdyby mogli czuć się bezpiecznie, gdyż wiedzą, że za rogiem spotkają milicjanta, który pośpieszy im na ratunek. Ale za rogiem najczęściej nie ma milicjanta.

Na przystanku końcowym linii „C" w pobliżu dworca Łódź-Fabryczna, pod daszkiem wiaty, siedziało trzech bardzo młodych chłopców i jedna dziewczyna. Chłopcy musieli powąchać butelkę z winem, język — jakim się porozumiewali między sobą, a wszyscy to słyszeli — był przerażający i cuchnął kloaką. Nikt na to nie zareagował. Trudno byłoby oczekiwać, abym ja to miała zrobić. Zwyczajnie się bałam, że mogę oberwać. W pobliżu nie było niestety żadnego stróża porządku, na którego pomoc mogłabym w razie czego liczyć. A dzień był powszedni, ruch spory, godzina około 18. Jeden z bardziej ruchliwych punktów Łodzi. Takich przykładów można podawać więcej. Ale przecież każdy z nas je zna. Radni chyba tym bardziej.

W wielu dziedzinach mamy bardzo dobre prawodawstwo. Na przykład mamy wspaniałą ustawę o wychowaniu w trzeźwości. Tyle tylko, że nawet najlepsze ustawy nie zmieniają same życia. Pożądane w nim zmiany zależą od wielu czynników. Potrzeba na to między innymi czasu i zwalczania przyczyn ujemnych zjawisk, a nie dopiero skutków. Ludwik Benoit wystąpił z atrakcyjną — nie przeczę — ale mało chyba skuteczną propozycją, aby wprowadzić zakaz picia w miejscach publicznych, na stadionach szkolnych(!), w parkach, na skwerach, i tak dalej. Nie jestem zupełnie pewna, czy ludzie piją wódkę „z gwinta" w krzakach tylko z fantazji, na złość mamie albo żonie, czy też w niektórych przypadkach może i dlatego, że u nas coraz trudniej można napić się kufel piwa, albo wypić „jedną wódkę" w kulturalnych warunkach. Alkoholizmu nie zwalczy się samymi nakazami i karami.

Utarło się już takie przekonanie, że jak coś jest trudne do zrozumienia lub przezwyciężenia, to zawinili niechybnie żurnaliści. Profesor Andrzej Feliks Grabski zapytał mnie, nie bez złośliwości, czy napiszę też, że krytykowano „Odgłosy". A dlaczego miałabym nie napisać? Zrobili to już zresztą — również nie bez pewnej satysfakcji — sprawozdawcy „Dziennika Łódzkiego" i „Expressu Ilustrowanego". Chodzi o „50 melonów" Andrzeja Makowieckiego. Radny Bolesław Matera ostro skrytykował powieść Andrzeja, uważając że nie może jej dać swemu synowi jako wzór postaw i dlatego domagał się od cenzury, aby zakazała druku tej powieści. Bolesław Matera ma dość specyficzne poglądy na rolę literatury, ale powinien zdawać sobie sprawę, że „Odgłosy" nie są akurat podręcznikiem dla wychowania młodzieży.

Prasa codzienna opisuje wiele różnych zdarzeń i wypadków, jakie mają miejsce nie tylko w Łodzi, nie tylko w Polsce. Pisze się wiele sprawozdań z sądów. W radiu informuje się o dokonanych przestępstwach, przestrzega się ludzi przed niebezpieczeństwem i prosi się ich o pomoc, której udzielają. Rekonstruuje się przebieg zbrodni w telewizji. Ktoś może uznać taką działalność dziennikarzy również za demoralizującą i będącą wzorem dla przyszłych przestępców. Można by, idąc za wnioskiem radnego Matery, sporządzić ogromną listę książek poświęconych zbrodniczym instynktom człowieka. Można by, ale w imię czego?

Prokurator wojewódzki Henryk Marek ocenił stosowanie kar jako prawidłowe i bardzo mnie tym ucieszył. Spodziewałam się jednak, że taką ocenę dokona przede wszystkim RNMŁ. Każdy ma prawo oceniać się, ale bardziej wiarygodne są oceny dokonywane przez ludzi nie związanych pracą w danej dziedzinie, ale do oceny upoważnionych, niż oceny dokonywane przez samych ocenianych. Spodziewałam się więc, że radni powiedzą, jak oceniają pracę milicji, straży miejskiej, ORMO, prokuratury i sądu. Ale było tego, niewiele. W kuluarach wprawdzie narzekano, że wieczorami Łódź pustoszeje, że jest nie doświetlona, że jest niebezpiecznie chodzić po takiej Łodzi. Z trybuny wyrażali postulaty i zgłaszali mniej lub bardziej realne życzenia. Były też próby krytycznego spojrzenia na ten, tak przecież dla życia miasta ważny, problem, ale tylko próby.

BOGDA MADEJ

ze str. 1

dzie dla tygodnika „Mazowsze" mówiłem:

„Władza musi ulec postulatom społeczeństwa. Żadna władza działająca we wrogim otoczeniu nie jest w stanie prowadzić prawidłowej polityki, gospodarki itd., a także nie może istnieć skutecznie na arenie międzynarodowej. Może stać się obciążeniem dla Rosji, która nie wytrzyma tempa zbrojeń, a musi znaleźć jakiś modus vivendi z Zachodem".

Dziś to samo, tylko o wiele ostrzej pisze się w „Odrodzeniu", „Polityce", a nawet w „Trybunie Ludu". O ile ruchy wcześniejsze (68 r., 70 r.) mieściły się w szerokim nurcie humanistycznym to 1980 r. był polski, chrześcijański, narodowy. Był rodzajem insurekcji narodowej, która przyjęła formę związku zawodowego z trzema symbolami: flagą, krzyżem i słowem „Solidarność". Stąd to natężenie emocji. Stąd stan wojenny, kończący jakby żywot związku zawodowego wykonał rzecz, jaką zwykle wykonuje morderca nosiciela jakichś wartości: przeniósł w sferę symbolu. Dokonanie tamtego kroku oceniam jako największy błąd. „S" jawna była do pokonania. „S" zdelegalizowana była niezniszczalna. Żadne nazwy „społeczna, niezależna opozycja" itp. nie zastąpiły „S" — były to tylko substytuty.

Śmierć ks. Jerzego Popiełuszki zamknęła pewien etap i pokazała wyraziście, że odprężenia nie będzie. Spowodowała zamknięcie kilku koncepcji, m. in. stworzenia chrześcijańskich związków zawodowych. Koncepcja ta uschła. Zbrodnia spowodowała skutek przeciwny zamiarom. Powstały komitety obrony praworządności, podpisywano apele do władz, oświadczenia gremiów „S" z nazwiskami od Jacka Kuronia do Seweryna Jaworskiego.

Trwało to do 1986 r. Środowisko lewicy laickiej wtedy twierdziło, że rejestrowaniu się „S" w zagranicznych centralach związkowych wał". Wtedy Lech Wałęsa pękł: „pisolet mi do piersi przykładasz". Bujak: „Lechu, to drewniany straszak". Frasyniukowi pozostali sprzysiężeni mówili, że on się już do gry politycznej nie nadaje. Ten zaprotestował i wszedł do Rady. Był również konflikt między Andrzejem Słowikiem a pozostałą dziesiątką, czy ma się nazywać Radą, czy Prezydium TKK „S".

Przy ustalaniu programu Rady: Lis wystąpił jakoś tak lisowato (określenie Kuronia), Celiński zrobił akt konstytucyjny z nie wygłoszonego przemówienia Wałęsy i wtedy grupa Kuronia osiągnęła trwały kompromis z grupą Geremka. Wałęsa przestał mieć jakikolwiek głos decydujący.

Uważam, że do jedności (w systemie komunistycznym) dąży się poprzez systematyczne czystki. Eliminuje się odmienność poglądów. Dlatego nie używam słowa „jedność", tylko „solidarność". Celiński ostrzegał, że nasze dążenie do jedności zostanie odebrane jako rozbijactwo związku.

Jesienią 1987 r. dwaj przedstawiciele kontrolujący Lecha Wałęsę i jego poczynania, wystąpili z pozycji właścicieli „S". Jacek Kuroń opublikował artykuł „Krajobraz po bitwie", a Celiński udzielił wywiadu „Newsweekowi". Obaj przesądzili koniec „S" jako związku zawodowego. Twierdzili, że „S" może się kontynuować jako partia polityczna. Oto objawili się właściciele związku. Jeden nigdy nie był członkiem związku, a drugi nie był na żadną funkcję wybrany.

Co znaczy przekształcenie związku zawodowego w partię polityczną — wiemy. Związek zawodowy może być pluralistyczny, partia — nie. W tej chwili istnieje nielegalnie około 25 różnych opozycyjnych partii politycznych, wydających gazety, mających swoje programy Jeśli w kierownictwie partii są różne odcienie np. lewicy, to nie ma tam miejsca dla innych. Partie nie mogą być pluralistyczne. Jeśli będzie partia Kuronia i Michnika, to na pewno nie moja, nie Słowika, nie Jurczyka. Tak staliśmy się twardogłowymi „S".

Trafiliśmy na coś, co dopiero się zaczyna, a co może stać się groźne w niedługim czasie: rewolucjonizowanie się społeczeństwa, uczenie się etyki rewolucyjnej, pogardy dla prawa przez siebie ustanowionego, pogardy dla demokracji. Wałęsa usunął ze swego kręgu różnych doradców, m. in. profesorów, którzy stworzyli statut NSZZ „S". Siła-Nowicki nie jest przy „okrągłym stole" doradcą „S". Teraz Wałęsa ma innych doradców. Są to głównie KOR-owcy i profesorowie i docenci z ruchu „Doświadczenie i Przyszłość" Stąd takie ostre ataki na Słowika, Palkę i mnie. Stworzyliśmy alternatywny ośrodek programowy. Celiński przez rok naciskał, by coś z tym łódzkim przypadkiem zrobić. Forsował do Tymczasowej Rady „S" Andrzeja Słowika. Bez skutku wobec odmowy Andrzeja. A Słowika właśnie, nikogo innego im tam brakowało. W momencie stworzenia alternatywnego ośrodka programowego staliśmy się obiektem ataków. Proroctwo Celińskiego, że staniemy się rozbijaczami związku, dążąc do jedności, stało się faktem.

Pytanie: **— Jak pan widzi przyszłość w kontekście tego, co pan powiedział. Nie jest dobrze z „S" uniwersytecką. Jacy mamy być, dlaczego nasza profesura stoi z boku? Co jest tego przyczyną? W innych uniwersytetach jest inaczej.**

J. K.: — Ja jestem człowiekiem walki. Nie uciekam przed trudnościami. Jeśli człowiek w coś w życiu wierzy, nie może zrezygnować z walki. Musi szukać godziwych metod, godziwych, ale rąk mu opuszczać nie wolno. Jeśli coś jest nie takie jak on chce, przeczy jego wartościom i wtedy twierdzi, że jest zwolniony z działania, to on uczestniczy w tym złu. Problemy jednak nie znikną. Nie przestają być ważne takie wartości jak szacunek dla demokracji, pluralizmu, wierność wartościom podstawowym. Zależy mi na tym, żebyście uwierzyli w potrzebę ochrony tamtych wartości, że społeczeństwo musi te wartości pielęgnować. Możecie wierzyć lub nie, ale stoimy wobec wielkiego wyzwania i wielkiej szansy. I jednocześnie wielkiej groźby.

Związek zawodowy jest tylko jednym elementem. Skończy się „stół", jakimś sukcesem, bo tak było zaprogramowane. Poszerzy się obszar wolności społecznej, realizacji przyrodzonej wolności człowieka. Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie jest zdominowany przez „DiP" i KOR. Przeobrazi się to w ruch społeczny „S" i powstanie jako quasi-partia polityczna. Będzie to fakt pozytywny: otwarcie przestrzeni społecznej dla inicjatyw. W miarę otwierania się przestrzeni politycznej większe znaczenie ma „co chcemy mieć" niż „co nas boli". Największa zgoda jest w celi więziennej. Im dalej od celi, tym bardziej patrzymy: „jak ma być", a nie „jak ma nie być".

Pytnie: **Kolego Kropiwnicki, chce pan dwóch związków?**

J. K.: — Będę walczył o pluralistyczny charakter związku, a w „S" będę starał się stworzyć nurt chrześcijański. Poszanowanie różnorodności, to wszak solidarność. Miłość do rodziny i ojczyzny jest ważniejsza od wszelkiej wspólnoty klasowej w wymiarze międzynarodowym.

Głos z sali: — W imię miłości do rodziny apeluję o krótsze wypowiedzi. Chciałabym móc być do końca, a muszę iść do dziecka.

Pytanie — **Czy to, co pan proponuje, czy to nie jest aby „cosa nostra"? Na dzisiaj, co by pan chciał zrobić? Czy stworzyć jakąś nową „religię" lewicową?**

J. K.: — Nie, ja z nimi polemizuję. Ja nie będę tworzył nowej „religii" lewicowej, bo stara mi się nie podoba. Opozycja lewicowa jest w znacznej mierze dysydencka. Każdy z nich został wyrzucony z partii bądź za krytykę lewicową (Kuroń), bądź to za prawicową (Geremek). Dlaczego ja mam im pomagać, skoro uważam, że marksizm nic dobrego przynieść nie może. Uważam marksizm za destruktywny, a nie konstruktywny. Należy szukać innych dróg. Nie pozwolę, by nie zauważać wkładu innej myśli niż tylko lewicowa.

Pytanie: — **W warunkach nielegalności nie ma miejsca na pluralizm. Decyzje muszą być szybkie. Poza tym, w tych warunkach ruch się wynaturza. Będziemy się spierać o program. Będziemy deklarować swoje odrębności, ale tak jak cela pogodziła wszystkich, tak musi być poszukiwanie możliwości zgody przy różnych poglądach.**

J. K.: — Należy cenić odmienne poglądy, nie mieć o to pretensji. Wyrzucano w 40-leciu ludzi, którzy mieli poglądy inne niż lewicowe. Uchronili się ci, co ukryli, że mają inne poglądy. Ludzie lewicy laickiej dziś wychowują nowe pokolenia. Pluralizm, demokracja, to jest coś, co stanowi sposób wyrażania podmiotowości człowieka w życiu społecznym. Chcąc prezentować swój program i poglądy, muszę walczyć o możliwość prezentowania innych niż mój — poglądów. W celi byli tacy, którzy sprzeciwiali się walce o zmianę regulaminu więziennego. „My tu wsadzimy — mówili — tych czerwonych i wyegzekwujemy ten regulamin". Jeśli zmiana ma polegać na tym, że zamienimy się miejscami i rolami w tym interesie, to nas ta zmiana nie interesuje — odpowiadaliśmy. Jeśli chodzi o wybory na zjazd założycielski „S", to władze związkowe decydują, kto ma być wybrany. Może Uniwersytet ma już swojego przedstawiciela, ale o tym nie wie.

Pytanie: — **Czy widzi kolega zmiany ekonomiczne w Polsce i konkretne procesy korzystne dla człowieka?**

J. K.: — Widzę procesy, które napawają mnie smutkiem. Widzę, że część aktywnego elementu ucieka za granicę. Widzę, że część aktywnego elementu idzie do spółek, firm zagranicznych, itd. Widzę katastrofalny stan gospodarki. Widzę, że za kilka lat może dojść do dramatycznego wybuchu młodych ludzi bez perspektyw. Zawsze wtedy najbardziej godzi to w inteligencję. Najwyższy czas zacząć się dowartościowywać jako inteligencja. Dość samobiczowania się. Trzeba odzyskać swoją godność! Dość poglądu, że inteligencja to „łajno historii". W więzieniach ponad połowę stanowili inteligenci. A przecież nie takie są proporcje w społeczeństwie. Inteligencja najwięcej zrobiła i uratowała najwięcej wartości w stanie wojennym. Trzeba ją wziąć pod ochronę. Trzeba zakładać stowarzyszenia, kluby, itd. Najgorzej będzie, jeśli tworzyć to będzie ćwierćinteligencja.

Pytanie: — **Bezimienni członkowie „S". Dzięki nim władza ustąpiła i musi ustępować, a nie tylko dzięki pięćdziesięciu czy stu działaczom. Jak pan ocenia własną grupę wobec grupy Wałęsy. Na ile oceniacie poparcie dla pana grupy w naszym regionie?**

J. K.: — Bitwy wygrywają żołnierze. Ale jeśli nie ma kadry, żołnierze nie wygrają wojny, nawet jeśli są bitni aż do okrucieństwa. Nie ma tu kontrowersji między nami. Najodważniejszy drukarz nic by nie zrobił, gdyby setki ludzi nie pomagały mu w tym. To samo dotyczy kolporterów. Rozkład sił w regionie obliczam na „fifty-fifty".

Pytanie: — **Pod szyldem „S" są obie grupy. Czy oni wiedzą do której należą?**

J. K.: — Jeśli będzie pan walczył o jedność, na pewno nie będziemy walczyć razem. Jedność bowiem oznacza eliminację. Ja chcę walczyć o solidarność.

Pytanie: — **Jest wybrana choć jeszcze nie zalegalizowana Komisja Regionalna. Przychodzą jednak do nas ludzie i chcą być w „S", ale chcą wybierać sami swoją Komisję.**

J. K.: — Wałęsa przyjechał do Łodzi, aby wykonać akt unieważnienia Zarządu Regionu, istniejącego nieprzerwanie od 1980 r. Otoczenie Lecha Wałęsy zmusiło go do tego. Chciano nas przedstawić jako kilku panów bez znaczenia. Gdy Wałęsa wchodził do sali, tłum skandował: „Słowik, Słowik". Jak żeśmy to zrobili, tak zrobili. A że zrobiliśmy, znaczy, że nie jesteśmy tacy mali. Mam o sobie bardzo dobre mniemanie. Stać mnie na to, by stworzyć i pokierować strukturą jawną, czy tajną — wszystko jedno. Wystarczy mi odwagi, ambicji, programu. Jeśli ja też mówię „Słowik" to dlatego, że w jedynych demokratycznych wyborach, w jakich uczestniczyłem wybrano właśnie jego.

MAREK KOPROWSKI

Krótki zarys sporów w (nielegalnej) „Solidarności"

Ministerialny optymizm

Na spotkanie z ministerm kultury i sztuki — zapowiedziane z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru i setną rocznicę powstania w Łodzi stałej sceny polskiej — czekałem, przyznam, z wielką nadzieją i optymizmem. Nadzieją, że wreszcie z miarodajnego źródła dowiem się „co w trawie piszczy", zaś mój optymizm wziął się licznych wypowiedzi (optymistycznych) ministra Aleksandra Krawczuka, że przypomnę lipcowe wystąpienie z 1988 r. w Poznaniu, na którym powiedział m.in.: *„...Jestem naprawdę przekonany, że gdy powiemy sobie wszystko w oczy, wszystko, co komu leży na sercu, co kto ma na wątrobie, może wówczas rozjaśni się atmosfera... Nie bójmy się podejmowac nawet najbardziej bolesnych kwestii, nawet tych najbardziej drażliwych..."*

Tak więc oczekiwane spotkanie odbyło się zgodnie z zapowiedzią i do licznie zebranych w pięknej sali Muzeum Historii Miasta Łodzi, ludzi teatru, kultury pan minister wygłosił krótkie okolicznościowe i optymistyczne przemówienie. Nawiązując do stuletniej tradycji teatralnej, zapomniał co prawda imienia jakie nosi dziś ta scena, lecz potem poprawił się i wskazał na koniec na wyjątkowo — jego zdaniem — mocną pozycję polskiego teatru...

Były jeszcze życzenia, gratulacje, lecz odpowiedzi na dręczące pytania nie doczekałem się.

Z uwagi na okazjonalne spotkanie spodziewałem się przynajmniej odpowiedzi na wielce niepokojące kwestie dotyczące teatru i ludzi z teatrem związanych. Nie chodzi już tylko o stan techniczny teatrów i o niezbędne pieniądze na najpilniejsze remonty, lecz o odpowiedź na tak ważne dla resortu kultury! — jak bodaj to, w jakim stopniu miasto zdolne będzie udźwignąć obciążenia finansowe już nie tylko z tytułu prowadzenia scen teatralnych ale i edukacji kulturalnej dzieci i młodzieży? Tę istotną dla przyszłości działalność uprawiają sceny dramatyczne, lalkowe, muzyczne, a organizowanymi (według wypracowanego jeszcze w 1986 roku programu) przedstawieniami jako artystycznymi metodami wychowawczymi mieliśmy prawo się szczycić. Pieniądze z Funduszu Rozwoju Kultury (62 mln zł) stanowią niespełna połowę potrzeb.

Podobnie ma się rzecz z prestiżowymi imprezami artystycznymi, które weszły już do krajowego kalendarza kulturalnego, że wspomnę Łódzkie Spotkania Baletowe. Tego typu imprezą, która w tym roku zgromadzi 5 zespołów zagranicznych i 4 krajowe, może szczycić się już cały polski świat artystyczny. Łącznie z Ministerstwem Kultury i Sztuki, które po wstępnych rozmowach obiecało wesprzeć to wydarzenie kwotą 30 mln zł, gdy tymczasem koszt spotkań wyniesie ok. 80 mln, z czego Teatr Wielki zdolny będzie uzyskać dochody rzędu 10 mln zł!

A potrzeby bodajby tylko Teatru im. S. Jaracza — bezpośredniego kontynuatora i spadkobiercy tradycji pierwszej sceny polskiej w Łodzi? Uświetnienie takiej rocznicy — stuletnią tradycją może poszczycić się niewiele scen w świecie! — wymaga właściwej oprawy i to bez względu na warunki w jakich przyszło nam żyć. Do tej wielkiej rocznicy teatr przygotował się bardzo starannie. Postanowiono zorganizować przegląd polskiego repertuaru aktualnie przez teatr, bądź specjalnie na tę okazję, przygotowanego lub wznowionego. Zamierzono też zorganizować wystawę dokumentującą życie teatru (najwięksi reżyserzy — a był ich znakomity poczet! — najciekawsze inscenizacje, kostiumy, plakaty itp.) oraz wydanie albumu „100 premier" — Andrzeja Mleczki, stanowiącego przegląd rysunków teatralnych. Zdawać by się mogło, że do tak ważkiego wydarzenia resort włączy się bez specjalnych zabiegów osób bezpośrednio z tym wydarzeniem związanych. Czy się włączył — to już inna kwestia.

Nie jedyne to pytanie, na które — przy okazji Międzynarodowego Dnia Teatru — można było oczekiwać od resortu kultury, jeśli nie odpowiedzi to przynajmniej stanowiska; zarówno co do doraźnych jak przyszłościowych problemów polskiej kultury. Pytań jest znacznie więcej, na wiele z nich nie są w stanie odpowiedzieć nawet najbardziej zapobiegliwe władze i miast i województw. Nie będą bowiem w stanie, bez wsparcia resortu kultury i sztuki, uporać się z rozlicznymi problemami, jakie przerzucone zostały na ich barki.

Konieczne i spodziewane przez środowisko teatralne oczekiwania podniesienia płac przeniesiono na władze miasta. A są to oczekiwania i potrzeby niemałe — rzędu miliarda złotych na rok bieżący. Gdyby miasto zdobyło się nawet na tak wielki wysiłek finansowy, odbyłoby się to kosztem wielu innych, równie pilnych co niezbędnych wydatków.

Pozornie wydawać by się mogło, że wszystko sprowadza się do pieniędzy. To prawda, lecz równie ważną kwestią jest ich podział. Coraz częściej słyszy się dziś w zakładach pracy pytanie: jak to się dzieje, że z niemałej kwoty przeznaczonej na kulturę pochodzącej z kilkunastoprocentowego odpisu od funduszu wynagrodzeń wszystkich pracujących obywateli naszego kraju, właśnie ci pracujący obywatele mają tak niewiele? Ktoś kiedyś powiedział, że *„głównym zatrudnieniem Ministerstwa Kultury i Sztuki jest dzielenie"* pieniędzy. Może więc warto by większą uwagę przykładać do potrzeb tych miast, na terenie których owe pieniądze są wypracowywane. Niechże w tym „terenie" nie pojawiają się tak dramatyczne akcenty w wystąpieniach ludzi teatru, jak to miało miejsce na zakończenie uroczystości, o której była mowa wyżej, kiedy to w imieniu odznaczonych i wyróżnionych głos zabrał dyr. Teatru Nowego, Jerzy Hutek i dziękując za wyróżnienie, ze smutkiem wskazał jednocześnie na coraz trudniejsze chwile i coraz cięższą walkę o materialny byt teatrów, jaką muszą toczyć na co dzień ludzie sceny.

MARIAN ZDROJEWSKI

Flagi i transparenty nad zagrodami, a mleko wylewa się do rowów.

Krowa nie może czekać na lepsze czasy

EUGENIUSZ IWANICKI

Sieradz zbliżył się do Łodzi i zaczyna się jakoś cztery kilometry przed Sieradzem. Dawniej była tu tablica z nazwą wsi Woźniki, dziś jest to już dzielnica miasta wojewódzkiego i można przeczytać czarny napis na przystanku autobusowym „Sieradz—Woźniki". A krowy jak spacerowały po asfaltowej jezdni tak i spacerują. Ale ich status jest teraz dużo wyższy.

Do Sieradza zawsze miałem sentyment, choć w niedalekiej przeszłości — z powodów ode mnie niezależnych — rzadziej odwiedzałem gród nad Wartą. Sentymentem darzyłem i darzę sieradzką wieś, najbardziej zadbaną ze wszystkich mi znanych wsi. Do dziś pamiętam, że najsmaczniejszy chleb kupowało się niegdyś w piekarni w Burzeninie, a najlepszą kiełbasę i piwo z miodem podawano u państwa Proszewskich w Tumidaju. A dziewczyny... Do dziś pracuje w Wojewódzkiej Bibliotece w Sieradzu najpiękniejsza z bibliotekarek na wschód i na zachód od Warty.

Teraz jadę na spotkanie z rolnikami, którzy ogłosili akcję protestacyjną. Zanim jednak zrelacjonuję przebieg posiedzenia Rady Wojewódzkiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji

parę zdań muszę poświęcić statystyce.

Gleby w województwie sieradzkim — przynajmniej większość z nich — zostały wytworzone z piasków i należą one do tak zwanych gleb lekkich. Ponad połowa gleb, to gleby klasy V i VI (średnia krajowa wynosi 31 procent). A więc ziemia tu nie najlepsza.

W województwie jest 55.983 indywidualnych gospodarstw rolnych, z czego aż 23.367 mają powierzchnię, nie przekraczającą 5 hektarów. Średnia wielkość gospodarstwa wynosi 6,80 ha. Jeśli dodamy do tego, że na jeden ciągnik przypada tu 15,8 ha użytków rolnych (posiadaczami tych maszyn jest zaledwie 30 procent gospodarzy), 0,91 pługa, 0,34 przyczepy, 0,41 rozrzutnika obornika, 0,45 sprzętu do suszenia siana 0,95 kombajna zremniaczanego, 0,10 opryskiwacza, 0,23 siewnika zbożowego oraz 0,10 kosiarki rotacyjnej — to obraz wsi sieradzkiej w zasadzie jest pełny. To tylko w statystykach w okresie „propagandy sukcesu" polska wieś była przodująca, a chłop potęgą był i basta.

Kryzys nie ominął opłotków. Rolnicy zostali nim dotknięci w takim samym stopniu, jak reszta ludzi w kraju. Do łamusa trzeba sconować powiedzenie że *„chłop śpi, a zboże mu samo rośnie"*. Na ten wzrost składa się nie tylko ciężka praca, ale i coraz większe pieniądze. Tylko bowiem w roku ubiegłym ceny środków do produkcji rolnej wzrosły średnio o około 80 procent; opał o 173 proc., nawozy mineralne o 121 proc., pasze o 93 proc. Czterokrotnie podrożały narzędzia rolnicze: dojarka dwukonwiowa, rozrzutnik obornika, beczka do gnojówki, rozsiewacz nawozów zawieszany, ładowacz. W ubiegłym roku gospodarz chcąc kupić maszynę rolniczą musiał sprzedać nieporównanie więcej zbóż niż, powiedzmy, lat temu pięć czy sześć. Aby nabyć kombajn zbożowy Bizon-Super odstawiał nie 939 q, ale 1.148 q, a jeśli zapragnął mieć własny ciągnik Ursus C — 330 zawoził nie 231 q, a 267 q zboża.

Sporo nadziei wieś wiązała z nowym rządem Mieczysława F. Rakowskiego, oraz z uzyskaniem priorytetu gospodarki żywnościowej.

nadzieje te nie spełniły się.

Ceny skupu płodów rolnych pozostają daleko w tyle za nieustannym wzrostem cen maszyn i innych środków do produkcji rolnej. Rolnicy dostrzegli rzecz niebezpieczną, powstała groźba załamania się produkcji rolniczej, zwłaszcza produkcji trzody chlewnej.

W wyniku tej realnej groźby, w dniu 15 lutego br. zebrała się w Warszawie Rada Główna Krajowego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych. Rada stwierdziła, że

„... dostrzegając te niebezpieczeństwa i wobec faktu, że rząd nie podejmuje decyzji o podwyżce cen skupu i poprawie opłacalności produkcji rolniczej, a także że nie wprowadza decyzji o demonopolizacji rynku rolnego, oraz nie realizuje innych żywotnych spraw rolników indywidualnych, postanowiła poprzeć akcję protestacyjną podjętą przez rolników — członków kółek rolniczych w województwie elbląskim oraz powołać komitet protestacyjny do przygotowania, koordynowania i ogłoszenia akcji protestacyjnej w kraju".

W tej sytuacji rozpoczęły się negocjacje. Z jednej strony zasiadali przedstawiciele Rady Głównej Krajowego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych, a także przedstawiciele Komitetu Protestacyjnego tejże Rady Głównej, z drugiej zaś przedstawiciele strony rządowej z wiceprezesem Rady Ministrów Kazimierzem Olesiakiem. Niestety, rozmowy nie dały pożądanych rezultatów, bowiem obie strony trwały przy swoim. Wydawało się, że takie status quo potrwa dość długo, gdyż należymy do narodów, które nierychło przekuwają słowa w czyn.

Tak więc w Warszawie ciągnie się debata natomiast na wsi obowiązują twarde rygory codzienności. Zanim więc przy stole zapadną jakieś decyzje, na najniższym szczeblu, w sołectwach i gminach zaczął narastać ferment niezadowolenia

Wróćmy zatem w Sieradzkie i przyjrzyjmy się

jak to się zaczęło.

Opowiada Jan Mikosiński, prezes Gminnego Związku Rolnikow, Kółek i Organizacji Rolniczych w Burzeninie

— *Zaczęło się* — mówi — *od razu w trzech sołectwach: Kamionka, Gronów i Brzeźnica. Po otrzymaniu nakazów płatniczych* (podatek rolny składka z tytułu ubezpieczenia społecznego i składka PZU) *ludzie się zbuntowali. Powiedzieli: nie, to za wysokie! Nie mieli pretensji co do podatku rolnego natomiast tamte dwa pozostałe wywołały u nich gniew. Tak dalej być nie może, nie są obywatelami drugiej czy też niższej kategorii.*

We wsiach zawrzało. I tu ciekawostka: nikt tych ludzi nie agitował, nie namawiał, nie zwoływał. Zebrali się w swoich wsiach spisali swoje żądania, a jednocześnie powołali komitety protestacyjne. Spisane postulaty wobec władz zanieśli do naczelnika gminy i do Gminnego Związku Rolników Kółek i Organizacji Rolniczych. Prosili o pomoc i o poparcie.

Jan Mikosiński powiada, że sam nie wiedział, co z tym zrobić, gdyż spotkał się z czymś takim po raz pierwszy. Głowił się i głowił, aż postanowił pojechać do Sieradza, do Wojewódzkiego Związku. Było to 13 marca tego roku. Tu prezes Stefan Majchrzak powiedział, że nie należy się spieszyć, trzeba się wstrzymać, bowiem przedstawiciel Rady Wojewódzkiego Związku Stanisław Gibki jedzie do Warszawy, do Komitetu Protestacyjnego, i będzie na bieżąco informować o tym, co się tam dzieje. Przez niego także będzie się przekazywać żądania.

Jan Mikosiński wrócił do domu. W kilka dni później w Burzeninie zebrały się komitety protestacyjne z poszczególnych sołectw na spotkanie z władzami województwa sieradzkiego. Spisano postulaty, wręczono je władzom oraz powołano Gminny Komitet Protestacyjny.

Taki był początek akcji strajkowej w województwie sieradzkim. Zaczęły trzy wsie, a kiedy przysłuchiwałem się obradom Rady Wojewódzkiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych, wicewojewoda powiedział, że strajk objął już 22 wsie.

Związek rolników, o którym piszę, posiada na ziemiach polskich długie i piękne tradycje

— wkrótce minie 130 lat od jego założenia, jest więc starszy od najstarszej partii politycznej działającej wśród chłopstwa. Jest to związek bardzo silny, o dużych wpływach i możliwościach. Nie należy się zatem dziwić, że stanął na czele chłopskiego protestu.

Zanim uchwalono postulaty i podjęto inne decyzje związane z akcją strajkową, przez kilka godzin przysłuchiwałem się dyskusji. Była ona chwilami chaotyczna, mówcy wypowiadali zdania nieraz rozbieżne, często podyktowane emocją, ale najwięcej było głosów rzeczowych i rozważnych. Przedstawię wypowiedzi w skrócie, tak jak je zapisałem, bez upiększeń.

— *Proponuje wstrzymać od dziś dostarczanie płodów rolnych do punktów skupu.*

— *Jeśli nie dostarczymy żywności. to sami jej takze nie kupimy. No bo niby jak to rozumieć: sam nie odstawię zboża, ale po chleb pójdę do sklepu, nie zawiozę świni na punkt skupu, ale mięso z przydziałowej kartki będę chciał kupić. Tak przecież nie można. Chyba że zadecydujemy, że nie dostarczamy żywności i sami jej nie kupujemy. Jak konsekwencja to konsekwencja.*

— *Poczekajmy na zakończenie rozmów w Warszawie.*

— *Jakie ma być ubezpieczenie: od hektara czy od osoby? Jeśli od osoby, to dam przykład: w rodzinie oprócz rodziców jest czterech synów. Od 16 roku życia — jeśli pracują w gospodarce — płaci się za nich ubezpieczenie. Po jakichś 6—7 latach chłopcy odchodzą, przenoszą się do miasta, idą tam do pracy, zakładają rodziny. A więc rolnik przez te 6—7 lat zapłacił za nich przeszło pół miliona złotych, które teraz, w nowej sytuacji, przepadły. Dlatego uważam, że lepiej płacić ubezpieczenie od posiadango hektara.*

— *Nie zgadzam się, należy przyjąć taki system ubezpieczeń, jaki obowiązuje robotników.*

— *Przepraszam, co kogo obchodzi moje gospodarstwo, przecież chodzi tu o mój wiek. Jak osiągnę 65 lat, to idę na emeryturę. I przy czym tu są moje hektary? Jeśli opłacałem składki emerytalne, to należy się mi renta bez względu co się stanie z moim gospodarstwem.*

— *A może emeryturę obliczać od sprzedanych płodów rolnych?*

— *Człowieku, jeśli będzie wolny rynek, to nie będzie ewidencji sprzedanych plonów!*

— *Zaraz, zaraz, wolny rynek to rzecz zawodna. Kto dziś przewidzi jakie będą ceny? Są one ruchome, ruchome w górę. Nie, wolny rynek niczego nam nie rozwiąże.*

— *Nie wolno dziś wprowadzać wolnego rynku, bo my, jako kraj, nie jesteśmy do tego przygotowani. Dlatego trzeba wprowadzić ceny opłacalne urzędowe.*

— *Dlaczego nie mówimy o chorobach? Czyż nasze choroby nie są chorobami zawodowymi?*

— *Ludzie nie rozmieniajmy się na drobne, przecież w postulatach opracowanych przez Krajową Radę jest wszystko.*

— *Stwierdzam, że w chwili obecnej mamy poderwany sojusz robotniczo-chłopski. Powstały podziały. A ja myślę, że niech będzie ubogo, ale niech będzie po równo.*

— *Postuluję by znieść reduktazę mleka, bo to jest bzdura. Krowa, jak każde stworzenie na ziemi, podlega zmianom środowiska, tym wszystkim dziurom ozonowym, kwaśnym deszczom i ołowiu ze spalin.*

— *Jak tak patrzę, to widzę, że kantuje się nas oficjalnie. Skupywano od nas ziemniaki po 2.500 za kwintal, a dziś sprzedaje się je po 8 tysięcy. Zboże — kupowano po 5 tysięcy za kwintal, a sprzedaje się teraz po 18 19 tysięcy. Pytam, czy to jest sprawiedliwe?*

— *Wylewamy mleko do rowów, to prawda, nie odstawiamy go do zlewni. A dlaczego? Może by tak ktoś nas zapytał, dlaczego tak robimy?*

— *Ja na to odpowiem: robimy tak, bo żyć jak dotąd dalej nie można. Chcemy własny los wziąć w swoje ręce. Darujmy sobie przeszłość, zapomnijmy o niej, ale o przyszłości chcemy sami decydować.*

Dyskusja, a właściwie

wyliczanie pretensji i żalów trwa kilka godzin.

Rolnicy mówią o sprawach pryncypialnych, bardzo istotnych dla wsi, ale są także głosy podnoszące zagadnienia mniej ważne, takie, które można załatwić na szczeblu gminy lub województwa. W końcu zostaje opracowany dokument zawierający postulaty wymagające pilnego załatwienia. Właściwie rolnicy przyjmują tzw. Komunikat nr 1 Krajowego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych dopisując do niego 7 własnych żądań. Oto te postulaty:

— *Zapewnienie opłacalności produkcji rolniczej poprzez pełne urynkowienie gospodarki narodowej w tym gospodarki żywnościowej. Ustalenie minimalnych cen gwarantowanych, zapewniających parytet dochodów w warunkach przeciętnych. Relacje cen środków produkcji do cen artykułów rolnych (ceny gwarantowane) muszą być opłacalne, stałe i wyrażone w średniej cenie jednego z czterech podstawowych zbóż.*

— *W przypadku niewprowadzenia urynkowienia gospodarki żywnościowej, żądamy wprowadzenia urzędowych cen skupu, gwarantujących parytet dochodów ludności rolniczej do nierolniczej.*

— *Żądamy zawieszenia płatności zobowiązań finansowych rolników z tytułu podatku, ubezpieczeń, składek do czasu załatwienia naszych żądań.*

— *Żądamy wprowadzenia ubezpieczeń umownych (dobrowolnych) na zwierzęta gospodarskie z dniem 1 lipca 1989 r.*

— *Żądamy zniesienia zmiennej stopy oprocentowania od udzielonych kredytów. Maksymalne oprocentowanie kredytów w rolnictwie powinno wynosić 9 procent. Nie należy oprocentowywać kredytów w wypadkach losowych oraz w przypadkach nabywania gospodarstw przez rolników z Państwowego Funduszu Ziemi.*

— *Domagamy się natychmiastowego wprowadzenia do praktyki zasady równości wszystkich sektorów rolnictwa.*

— *Żądamy przyspieszenia nowelizacji ustawy o ubezpieczeniach społecznych rolników i ich rodzin. Fundusz emerytalny rolników należy tworzyć z odpisów od sprzedanych artykułów rolnych.*

— *Żądamy zniesienia przedpłat na środki do produkcji rolnej.*

— *Domagamy się całkowitego zniesienia podatku od nadmiernych wypłat wynagrodzeń w jednostkach gospodarczych kółek rolniczych.*

— *Żądamy dostępu do środków masowego przekazu, nadawania audycji obiektywnych o problemach wsi i rolnictwie.*

— *Żądamy, aby protestujący rolnicy z tytułu ogłoszonej i prowadzonej akcji protestacyjnej, nie ponosili żadnych sankcji, w tym: nienaliczania odsetek od niepłacenia w terminie zobowiązań pieniężnych. Żądamy, aby protestujący rolnicy mieli zabezpieczone pełne świadczenie z tytułu ubezpieczeń.*

Dalej w Komunikacie nr 1 sygnatariusze piszą tak:

„Żądamy, aby strona rządowa najpóźniej do 30 marca 1989 r. podjęła rozmowy z Krajową Komisją Koordynacyjną przy Krajowym Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych. W przypadku niespełnienia powyższego, z dniem 1 kwietnia 1989 r. rozpocznie się czynny i skuteczny protest, polegający na wstrzymaniu dostaw do punktów skupu produktów rolnych. Do chwili ogłoszenia czynnej akcji protestacyjnej formami protestu będą: oflagowanie gospodarstw i wsi, niepłacenie zobowiązań finansowych do chwili odwołania akcji protestacyjnej".

Do tego komunikatu rolnicy z Sieradzkiego dopisali:

— *Fundusz emerytalny rolników tworzyć z odpisów od skupionych produktów rolnych przez jednostki gospodarki uspołecznionej i inne.*

— *Skrócić wiek emerytalny mężczyzny do 60 lat i kobiety 55 lat lub 35 lat pracy w rolnictwie przez jednego z współmałżonków.*

— *Uznać III grupę inwalidztwa jako podstawę do przyznania renty lub emerytury (podobnie jak w jednostkach gospodarki uspołecznionej).*

— *Wypłata zasiłków chorobowych dla rolników powinna być wypłacana od 1 dnia choroby, natomiast zasiłków macierzyńskich na identycznych zasadach jak pracowników zatrudnionych w jednostkach gospodarki uspołecznionej.*

— *Kobiety pracujące w rolnictwie powinny być objęte tymi samymi przepisami o ochronie co kobiety zatrudnione w gospodarce uspołecznionej.*

— *Poprawa świadczeń emerytalno-socjalnych nie może się odbywać dodatkowym kosztem rolnika.*

— *Otrzymanie emerytury po osiągnięciu wieku emerytalnego bez konieczności przekazania lub sprzedania gospodarstwa rolnego.*

Tak w skrócie przedstawiają się żądania rolników z województwa sieradzkiego. W podjętej uchwale są jeszcze żądania szczegółowe.

Potem, już na zakończenie, powołano Komitet Protestacyjny. I tu powstało małe zamieszanie:

jakoś nikt nie chciał do tego komitetu wejść.

Do dyskutowania było wielu chętnych, do kierowania protestem nikogo. Nie ma ludzi, którzy podjęliby się odpowiedzialności W końcu zgłosiło się sześciu. Przewodniczącym Komitetu Protestacyjnego został Stanisław Biniek z gminy Wróblew. Jego wystąpienie było nacechowane rozwagą i mądrością. Powiedział:

— *Pamiętajcie, żeby ktoś za naszymi plecami nie zrobił jakiegoś brzydkiego czynu, i żeby potem nie mówiono, że to chłopi są warchołami. My walczymy o swoje interesy, o to byśmy przestali być obywatelami drugiej kategorii. Strajk — owszem flagi i transparenty. Ale krowy trzeba oprzątać, w polu trzeba robić. Nie możemy dopuścić, aby nasz dorobek się marnował. Prosze, pamiętajcie o tym. Rozwaga, umiar, rozsądek ale i stanowczość i konsekwencja.*

Na tym właściwie zakończyła swoje posiedzenie Rada Wojewódzkiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych w Sieradzu. Nie zakończyły się wszakże rozmowy pomiedzy jej uczestnikami Kiedy opuszczałem budynek rady, rolnicy w korytarzu, na schodach, przed budynkiem nadal jeszcze dyskutowali.

Collage: Grzegorz Galasiński

ze str. 1

do sprzedaży. Wykaz ten nie miał daty, ani numeru i obejmował tylko jedną pozycję: działkę o powierzchni 0,87 hektra, położoną we wsi Wilanów, a stanowiącą część przejętego gospodarstwa **Zdzisławy i Franciszka Patorów.** Tegoż samego dnia wniosek o nabycie działki złożył **Józef Gwizdak.** 28 grudnia 1987 roku (uwaga na tę datę!) Bank Spółdzielczy „wystąpił — jak czytamy w dokumentach — do Naczelnika Miasta i Gminy w Strykowie o ustalenie ob. Józefa Gwizdaka kandydatem do nabycia omawianej nieruchomości zaznaczając, że innych chętnych do kupna tej nieruchomości nie ma." 30 grudnia 1987 r. naczelnik miasta i gminy Aleksandrów uznał zamieszkałego w Łodzi **Józefa Gwizdaka za jedynego kandydata** do nabycia działki, o czym niezwłocznie powiadomił bank, a **Państwowe Biuro Notarialne w Zgierzu** wystawiło akt notarialny, na mocy którego **Józef Gwizdak** stał się już pełnoprawnym właścicielem ziemi. Godnym odnotowania jest przy tym fakt, iż padł wówczas rekord Polski w załatwianiu spraw urzędowych na czas, jako że **wszystkich tych trzech czynności dokonano tego samego dnia.**

nie aktu notarialnego, na podstawie którego **Józef Gwizdak** stał się właścicielem działki w Wilanowie, jak również — o rozwiązanie umowy dzierżawy zawartej 31 grudnia 1987 roku z **Ewą Radzikowską-Wieczorek** na grunt o powierzchni 0,30 hektara.

I oczywiście wystąpił?

Oczywiście nie. Na skutek kolejnej interwencji **Mieczysława Słomy** sprawą zajęło się natomiast **Ministerstwo Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej,** które utrzymało w mocy decyzję głównego geodety województwa z 8 lipca 1988 roku, podkreślając raz jeszcze, że w **Wilanowie doszło do rażącego naruszenia prawa.** Słowem, przyznało w pełni rację rolnikowi Słomie, jakkolwiek nie ustanowiło go automatycznie kandydatem do nabycia ziemi po szwagrze, czego się domagał. Jak napisano, decyzja ministerstwa była ostateczna.

Czy znaczy to, że na tym historia się kończy i w dodatku — happy endem?

Nie, ponieważ w miesiąc później, w **październiku 1988 r. ministerstwo wydało drugą „ostateczną decyzję", a to na** skutek odwołania **Józefa Gwizdaka** od postanowień władz wojewódzkich, które to odwołanie złożone wprawdzie zostało w ustawowym terminie, to jednak

wów czarnej porzeczki oraz siatki ogrodzeniowej)". A także że „...Ob. Słoma jest inwalidą II-giej grupy ze wskazaniem do zatrudnienia — niezdolny do pracy ewentualnie w warunkach specjalnie stworzonych".

Czy oprócz prowadzenia gospodarstwa rolnego **Mieczysław Słoma gdzieś jeszcze pracował?**

Tak, pracował **w Fabryce Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta"** i jak większość podłódzkich gospodarzy, był tak zwanym chłopem-robotnikiem. Ze względu jednak na pogarszający się stan zdrowia, na co wpływ miały niewątpliwie warunki pracy w fabryce, w 1984 roku został rencistą — najpierw III, a potem II grupy. Od lipca 1988 roku jest emerytem i choć nazywa się go inwalidą, przez cały czas prowadzi swoje gospodarstwo, gdyż jak twierdzi — nic tak dobrze mu nie robi, jak ruch na świeżym powietrzu. A że nie musi się przemęczać, to już zasługa rodziny. Można więc przyjąć, iż są to „warunki specjalne".

Argument o niezdolności do pracy nie jest zatem zbyt celny?

Nie, zwłaszcza że zarówno córka **Grażyna,** jak i zięć — **Wiesław Małgorzaciak** ukończyli kursy rolnicze, posiadają uprawnienia do prowadzenia gospodarstwa rolnego i — co nie mniej istotne — oboje zamierzają w niedługiej przyszłości przejąć „ster rządów" we własne ręce.

A co o tym wszystkim mówią sąsiedzi?

Dziwią się, że władze lokalne mogą myśleć i postępować tak nieracjonalnie. Pomijając już bowiem bezsporny fakt naruszenia prawa, za co ktoś powinien chyba ponieść odpowiedzialność, nie ulega wątpliwości, iż rozdrabnianie gruntów jawnie kłóci się z przyjętymi zasadami polityki rolnej. Dlatego też **na podaniu Mieczysława Słomy z 16 grudnia 1988 roku,** zaczynającym się od słów: „Zwracam się z prośbą o sprzedanie na własność działki gruntów z PFZ po małżonkach Zdzisławy i Franciszka Patorów o pow. 2,19 ha...", widnieje dopisek: **„My mieszkańcy Wilanowa, niżej podpisani popieramy w całej rozciągłości podanie rolnika Mieczysława Słomy...",** a pod nim — podpis sołtysa i 16 innych osób oraz — pieczątka **Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Bratoszewicach: „Gospodarstwo Przykładowe".**

Co kryje się za tą pieczątką?

Choćby to, że gospodarstwo jest **pod stałą opieką WOPR,** a uzyskiwane w nim plony, ilości mleka, a przede wszystkim — mięsa wieprzowego mogą być przykładem dla innych.

Może jednak Józef Gwizdak i Ewa Radzikowska-Wieczorek gwarantują mimo wszystko lepsze wykorzystanie przejętej ziemi?

Jest to mało prawdopodobne, ponieważ **oboje mieszkają w Łodzi,** oboje nie posiadają w Wilanowie zaplecza gospodarczego, a do tej pory jedynym widocznym efektem ich działalności było jednoczesne zaoranie jesienią ubiegłego roku obu działek. Rzecz jasna, nie własnoręcznie.

Kto zatem do jesieni obrabiał obie działki?

Obrabiał je Mieczysław Słoma, przy czym Józef Gwizdak nie zgłaszał przeciwko temu żadnych zastrzeżeń, natomiast Ewa Radzikowska-Wieczorek zagroziła mu, że przekaże sprawę do kolegium d.s. wykroczeń, jeśli nie zostawi jej gruntu w spokoju.

Dlaczego naczelnik Gwizdak nie interweniował?

Ponieważ zdawał sobie sprawę, że gdyby nie rolnik Słoma, ziemia do dziś najpewniej leżałaby odłogiem.

Czego w tej sytuacji oczekuje **Mieczysław Słoma?**

Oczekuje, by sprawa powróciła do punktu wyjścia, to znaczy: aby po unieważnieniu aktu notarialnego i obu umów dzierżawy, wykaz gruntów PFZ do sprzedaży w Wilanowie przedstawiony został do publicznej wiadomości, kandydatury ewentualnych nabywców — opatrzone opiniami o ich rzeczywistych możliwościach produkcyjnych i żeby wybrany został ten, kto gwarantuje najlepsze wykorzystanie ziemi. Poza tym — żeby winni naruszenia prawa pociągnięci zostali do odpowiedzialności, a poczynaniom naczelnika miasta i gminy Strykowa, **Józefa Gwizdaka** bliżej przyjrzały się władze zwierzchnie i prokuratura.

Czy Józef Gwizdak czuje się winny i przyznaje do wykorzystywania zajmowanego stanowiska dla osiągnięcia korzyści materialnych?

Nie, **Józef Gwizdak nie poczuwa się do jakiejkolwiek winy.** Twierdzi, że jest takim samym obywatelem, jak każdy inny i ponieważ ma za sobą wyższe studia rolnicze, przysługuje mu prawo do kupna ziemi. Jako naczelnik zarabia stosunkowo niewiele, więc uprawianie działki rolniczej **w Wilanowie** pozwoliłoby mu osiągać większe dochody.

Poza tym, wyjaśnia, że gdyby **Mieczysław Słoma** wcześniej złożył podanie o kupno ziemi, na pewno sprawa przybrałaby zupełnie inny obrót. Niestety, podanie zostało złożone tego dnia, kiedy miał ustawowy termin i zanim dotarło na biurko naczelnika, ziemia była już podzielona, zaś akt notarialny sporządzony.

Nieprawdą jest ponadto, że przy jego podaniu z **14 grudnia 1987 roku** brakowało opinii kółka rolniczego i rady sołeckiej, a także — ekspertyzy dotyczącej możliwości produkcyjnych. Pierwszą z wymienionych opinii wydało wprawdzie nie kółko rolnicze, ale — **Gminny Związek Kółek i Organizacji Rolniczych.** Drugą — podpisał sołtys Wilanowa, **Marian Placek.** Ekspertyzę zaś **Józef Gwizdak** sporządził sam, a zweryfikował ją rzeczoznawca-konsultant SITR.

Kiedy sołtys, Marian Placek wydał opinię Józefowi Gwizdakowi?

Wydał ją i podpisał **28 grudnia 1987 roku,** czyli również tego dnia, kiedy mijał ustawowy termin składania podań.

Czy wcześniej wiedział, że część gospodarstwa po **Zdzisławie i Franciszku Patorach,** przejętego przez PFZ, przeznaczona zostaje do sprzedaży?

Nie. Mówi, że nie wiedział. Nie mógł więc poinformować o tym mieszkańców wsi. Podobno **w Banku Spółdzielczym w Strykowie** wywieszony był wykaz (ten zawierający tylko jedną, jedyną pozycję), ale on go nie widział. Usłyszał o tym dopiero znacznie później.

Dlaczego Marian Placek pozytywnie zaopiniował podanie Józefa Gwizdaka?

Zrobił tak, ponieważ nie wiedział, że również **Mieczysław Słoma** ma zamiar kupić tę ziemię. Poza tym, jak odmówić naczelnikowi?

Z jakiego powodu **Mieczysław Słoma** nie informował wcześniej sołtysa o swych zamiarach i nie prosił go o opinię?

Z tego powodu, że w **Urzędzie Miasta i Gminy w Strykowie** mówiono mu, iż **w Wilanowie** obowiązuje zakaz sprzedaży ziemi. Opinia rady sołeckiej nie była mu więc potrzebna.

Czy zakaz taki obowiązywał rzeczywiście?

Nie, oficjalnie żadnego zakazu nie było. Józef Gwizdak przyznaje jednak, że w wielu przypadkach tak właśnie rolnikom mówiono.

Komu dziś sołtys **Marian Placek** pozytywnie zaopiniowałby wniosek o kupno ziemi, gdyby ubiegali się o nią Józef Gwizdak i Mieczysław Słoma?

Z całą pewnością Mieczysławowi Słomie.

Czy Mieczysław Słoma nadal pragnie kupić od PFZ całe gospodarstwo po swoim szwagrze?

Tak.

A czy Józef Gwizdak nadal pragnie być właścicielem działki o powierzchni 0,87 hektara we wsi Wilanów?

Nie. Dowodzi jednak, że rolnik Słoma i tak nie ma żadnych szans, ponieważ przepisy zabraniają sprzedaży ziemi inwalidom I i II grupy.

Czy jest to prawdą?

Tak. Ale prawdą jest też, że gospodarstwo **Mieczysława Słomy stanowi współwłasność jego i żony,** a żona nie osiągnęła jeszcze wieku emerytalnego i cieszy się, dzięki Bogu, dobrym zdrowiem. **I już choćby z tego względu trudno Józefowi Gwizdakowi przyznać rację.**

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Między nami naczelnikami

Dlaczego PFZ reprezentowany był przez naczelnika z Aleksandrowa, a nie — Strykowa, skoro działka znajdowała się wtedy jeszcze w gminie Stryków?

Ponieważ tak postanowił prezydent Łodzi?

Czy miał ku temu jakieś powody?

Miał i to ważne, gdyż **naczelnik miasta i gminy Stryków nazywa się Józef Gwizdak i sam sobie sprzedać ziemi raczej nie mógł.**

A co na to Mieczysław Słoma?

Uznał, iż w podstępny sposób został oszukany, gdyż w podaniu o dzierżawę z 28 grudnia 1987 r. podtrzymywał dalej swoją propozycję kupna. Potem zaś **złożył skargę do Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Dzielnicowego Łódź — Śródmieście,** a gdy to nic nie dało — do **Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Miasta Łodzi.**

I jakie UMŁ zajął stanowisko?

Główny geodeta województwa **unieważnił** decyzję naczelnika miasta i gminy Aleksandrów Łódzki z 30 grudnia w sprawie uznania Józefa Gwizdaka kandydatem do nabycia działki, stwierdzając, iż **została wydana z naruszenim prawa.** W uzasadnieniu dodał jeszcze, że **Bank Spółdzielczy w Strykowie** nie dopełnił obowiązku poinformowania mieszkańców wsi Wilanów o możliwości kupienia ziemi z PFZ, jak również nie podał do publicznej wiadomości nazwisk kandydatów na nabywców wraz z krótką charakterystyką ich możliwości produkcyjnych, a **całą sprawę załatwiono za plecami Mieczysława Słomy,** który też przecież złożył wniosek o kupno lub dzierżawę, z uwagi na co powinien być uznany „stroną w sprawie" i otrzymać pisemną decyzję o jej załatwieniu.

Czy naczelnik Gwizdak wiedział wcześniej o odwołaniu rolnika Słomy?

Nie tylko wiedział, ale — **próbował nakłonić go do wycofania** się z roszczeń.

A są na to jacyś świadkowie?

Niestety, czy też raczej — **na szczęście** są, gdyż rozmowa odbywała się nie w ciszy gabinetu naczelnika, lecz — w obejściu rolnika, do którego pan naczelnik raczył specjalnie przyjechać w tej sprawie.

Co pomyślał sobie wtedy Mieczysław Słoma o Józefie Gwizdaku?

Najdelikatniej mówiąc, pomyślał, że ten od samego początku wykorzystuje zajmowane stanowisko do załatwienia prywatnej sprawy i że jeśli tak samo postępują też inni, to długo jeszcze w naszym kraju nie będzie dobrze. Mimo to, był dobrej myśli, gdyż w lipcu 1988 roku **zastępca dyrektora Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami UMŁ obiecał mu na piśmie, iż wystąpi do sądu rejonowego o unieważnie-**

do Warszawy dotarło z poważnym opóźnieniem. Niemniej i ta decyzja była zdecydowanie korzystna dla Mieczysława Słomy, gdyż jak stwierdzono w jej uzasadnieniu: „należy uznać za całkowicie nietrafny pogląd prezentowany w odwołaniu ob. J. Gwizdaka o bezprzedmiotowości postępowania administracyjnego po zawarciu umowy sprzedaży spornej nieruchomości".

Jak można to rozumieć?

Można to rozumieć w ten sposób, że urzędnik państwowy, który doskonale powinien znać podstawowe zasady prawa, usiłował wmówić innym urzędnikom, iż skoro ziemię już kupił, to — choćby odbyło się to wbrew prawu — nie ma teraz możliwości by go jej pozbawić, a nawet — skontrolować, czy wszedł w posiadanie działki legalnie, czy też nie. Rzecz jasna, sztuka ta nie mogła się panu naczelnikowi udać, bowiem — jak go pouczono — „dokonanie czynności prawnej w oparciu o decyzję administracyjną nie wyklucza możliwości późniejszego badania prawidłowości tej decyzji...

Co w praktyce oznaczało drugie postanowienie ministerstwa?

W praktyce kierowało ono sprawę do organu administracji państwowej szczebla podstawowego, w celu ponownego jej rozpatrzenia. Organem tym był **Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Dzielnicowego Łódź — Śródmieście.**

Czy sprawa została już ponownie rozpatrzona?

Tak. **23 stycznia 1989** roku zastępca kierownika tegoż wydziału postanowiło... **„odmówić uchylenia zaskarżonej decyzji Naczelnika Miasta i Gminy Aleksandrów Łódzki z dnia 30 grudnia 1987 roku i stwierdzić jedynie, że decyzja ta wydana została z naruszeniem przepisów..."**

Jak zareagował na to Mieczysław Słoma?

W pierwszej chwili pomyślał, że zaszła jakaś przykra pomyłka lub — że wzrok go zawodzi, gdyż ani w ząb nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że najpierw pisze się o „rażącym naruszeniu prawa", obiecuje nawet skierowanie sprawy do sądu, a potem najspokojniej w świecie sankcjonuje stan bezprawia, tłumacząc beztrosko, iż **„uchybienia przepisów (...) nie są tak rażące, aby można na ich podstawie w ewentualnym postępowaniu unieważnić zawartą umowę notarialną".**

O czym jeszcze dowiedział się z tegoż pisma?

O tym między innymi, że „przy podejmowaniu tej decyzji wzięto pod uwagę następujące okoliczności sprawy, a mianowicie to, że ob. Józef Gwizdak stał się już właścicielem przedmiotowej działki gruntu, którą zagospodarował i poczynił już znaczne nakłady związane z jej zagospodarowaniem i przygotowaniem do produkcji rolniczej (wykonanie orki zimowej, zakup 120 szt. drzew owocowych, 1000 szt. krze-

Grzegorz Gałasiński
PREZENTUJE:
Bangkok

Na zdjęciu: Bogusław Mach, Janina Borańska, Lech Gwit, Stanisław Olczyk.

PREMIERA W „NOWYM"

Co trzecia do wzięcia

Nie bez zainteresowania czytywałem swego czasu utwory prozatorskie **Janusza Głowackiego,** zaludnione przez osobliwe postacie uwikłane w absurdalne sytuacje, a o ich ogólnej atmosferze stanowił pewien gatunek autorskiego dowcipu. Z ciekawością więc oczekiwałem przedstawienia pt. „Do wzięcia", złożonego z dwóch zaadaptowanych utworów prozy i jednej oryginalnej sztuki.

W **„Kuszeniu Czesława Pałka"** opowiada się o fascynacji człowieka ze „społecznego awansu" (w rozumieniu okresu sprzed co najmniej kilkunastu lat) kobietą ze środowiska dawniej dla niego nieosiągalnego towarzysko, a teraz dopuszczającego wybrańców do poufałości, do uściśnięcia w przelocie dyrektorskiej dłoni, bycia protekcjonalnie poklepywanym po ramieniu, co wprawia szarego człowieczka w nieustanną euforię, choć zapewne owi łaskawi protektorzy są takimi samymi jako on parweniuszami, z wyjątkiem chyba zblazowanego i cynicznego wykładowcy, który zachęca Pałkę do romansu ze wspomnianą tu swoją żoną.

Taka jest fabułka tej banalnej historii, z której spowiada się Pałka nadzwyczaj surowym przedstawicielom „czynnika społecznego", ale mimo najrzetelniejszych usiłowań **LECHA GWITA** tekst okazuje się zbyt trywialny i płaski, nie dość nośny, mimo iż chwilami wzbudzał chichot na premierowej widowni, gdy mowa o „tych rzeczach". Można by co prawda przenieść to na scenę typowo rozrywkową, nająć renomowanego „rozśmieszacza", który wie, jakimi sztuczkami i gierkami zażyć publikę, ale jeszcze lepiej poszukać wartościowego tekstu.

Odegrany następnie **„Materiał"** okazał się jeszcze gorszy. Znów zamiary inscenizatora nie znalazły oparcia w tekście. Wszelakich działań w kilku planach było w sumie zatrzęsienie, ale wykazywały one wątły związek dramaturgiczny.

Jest to mdła satyryka na pyszałkowatość władzy, na zamiłowanie do działań pozorowanych, na prymitywizm propagandy — ale znamy już dziś utwory znacznie śmielsze — oraz na zaściankową polską obyczajowość (ta wydaje się zresztą wiecznotrwała). Z tej całości dałoby się wykroić dość zwartą humoreskę, opartą na niezgorszym pomyśle. Przygodnie napotkana kobiecina, której daleko do kobiecej zalotności, okazuje gotowość do erotycznych posług wobec nowicjusza w sprawach seksualnych, w zamian za napisanie jej podania do urzędu. Niefortunnego bohatera gra **PIOTR SEWERYŃSKI,** przy współdziałaniu całej plejady aktorów, z których może tylko **LUDWIK BENOIT** tchnął nieco komizmu w ogólną atmosferę przedstawienia.

Zupełne zaskoczenie przyniosła oryginalna sztuka Głowackiego **„Choinka strachu",** która okazała się zwartą i zgrabną jednoaktówką o wyraźnie komediowym zacięciu, ale nie pozbawioną głębszych odniesień do wypadków polskiego Sierpnia 80. Ten utwór o dużej sile demaskatorskiej i niebłahym sensie moralnym rozegrali oboje aktorzy brawurowo. **Ona — MIROSŁAWA MARCHELUK** — opanowana, pewna swojej moralnej przewagi i **On — BRONISŁAW WROCŁAWSKI,** dziennikarz, znerwicowany odgrywaniem fałszywej roli życiowej zarówno wobec obcych, jak i wobec żony. Ze swobodą i precyzją oraz niekłamanym komizmem robi aktor dobrą minę do żałosnej sytuacji bohatera.

Dzięki obojgu wykonawcom, znakomicie z sobą współdziałającym, dochodzi do głosu co chwila prawda życia — raz patetyczna, raz żenująca, uwikłana w kabotyństwo i małostkowość. Ta trzecia część wieczoru stała się prawdziwą ozdobą całości i zatarła w znacznej mierze ujemne wrażenia z obu poprzednich, zwłaszcza „Materiału".

Scenografii, głównie w części drugiej, nie sposób odmówić pomysłowości w funkcjonalnym transponowaniu wielowątkowego utworu prozatorskiego na adaptację sceniczną i choć sama dekoracja nie grzeszyła urodą, uznajmy to za efekt zamierzony, bo właśnie tak tu wszędzie szaro, bałaganiarsko i brudno, jak właśnie „gdzieś w Polsce".

JERZY KWIECIŃSKI

Janusz Głowacki: „Do wzięcia". Reżyseria — Jerzy Hutek, scenografia — Jan Banucha, opracowanie muzyczne — Marek Czeszek. Premiera na Dużej Scenie 17 marca br.

PESTKI DYNI

Wnuczka **Paula Claudela,** dramaturga, poety, eseisty, **Reine-Marie Paris** opisała dzieje życia i miłości — czy raczej miłości i życia — starszej o 4 lata siostry swojego dziadka, **Camilli Claudel.** Historia jakich wiele i w życiu, i w literaturze... i w plotce...

A jednak nie! doprawdy nie! Bowiem kochankiem Camilli był niejaki **Rodin.** Rzeźbiarz.

Ona sama pochodziła z tak mieszczańskiej rodziny, że aż można się zapłakać; z takiej rodziny, która mogła „powstać" tylko we Francji albo w Niemczech. W takich rodzinach **artystą** mógł być tylko mężczyzna — a i na to przystawano niechętnie. Kobieta — **artystka** była jak pryszcz na nosie... A zdolna kobieta-artystka i na dodatek pokątna kochanka innego artysty — to już był wrzód na dupie takiej rodzinki...

Wrzód, który uwierał rodzinkę Claudelów do tej pory i dlatego Reine-Marie napisała biografię swojej babci. Ta biografia stała się swego rodzaju bestsellerem w kręgach artystyczno-intelektualnych. I posłużyła za pretekst — czy kanwę? — dla filmu. Zrobili go **Bruno Nuytten** (reżyser), **Gerard Depardieu** (Rodin) i **Isabelle Adjani** (Camille). Ta Adjani grała m.in. w filmie **Truffauta — „Historia Adeli H."** (było w TV — historię najmłodszej córki **Wictora Hugo;** jeśli ktoś lubi ładne psychopatki, to **Isabelle mogła** się podobać.

Podobno film Nuytlena dobry, ale nie w tym rzecz. Biografia Camilli nie jest zbyt pochlebna dla Rodina. Rodzinkę Claudelów wrzód wciąż uwierał; bardzo niechętnie zresztą wyrazili zgodę na ekranizację książki i na swój w tym udział (dostęp do archiwów, do rzeźb itd.), ale forsę oczywiście wzięli.

Wróćmy do Rodina.

Pierre Daix napisał o nim kilka lat temu książkę; przedtem Rilke, który był jego sekretarzem. Rilke tak pisał: „Rok po roku Rodin szedł drogami życia jako uczeń i jako skromny człowiek, uważający się za debiutanta. Nikt nie miał pojęcia o podejmowanych przez niego próbach, artysta nie miał powierników ani wielu znajomych. Jego twórczość kryła się za pracą zarobkową, z której żył — kryła się, czekając swej godziny".

Przytoczmy słowa **Octave Mirbeau,** który trochę pomógł Rodinowi w zdobyciu pozycji: „Siłą ekspresji przypomina Rembrandta; inteligencją, wdziękiem, czarem — Veronesa, wspaniałą dekoracyjnością oraz pewnością ręki — Rubensa; rozmachem — Michała Anioła, a nastrojem grozy — Riberę...".

Urodzony w 1840 roku, a więc w 18 lat po **Baudelairze,** w smutnej mansardzie przy ulicy Arbalète, jako syn urzędnika w prefekturze policji August Rodin, do 10 roku życia uczęszczał do szkoły zakonnej, gdzie w czasie lekcji zabawiał się rysowaniem, kopiując ilustracje z gazet podkradanych w miejscowym sklepiku...

Od 1864 roku jego towarzyszką życia stała się Rose, córka winogrodnika, szwaczka z zawodu — „moja Mignon", jak powiadał Rodin. Miał z nią syna, którego nigdy nie uznał. Rose często służyła mu za modelkę. Poślubił ją w 1917 r. — w roku śmierci ich obojga...

Z Camillą spotkali się w 1882. Rodin — 42 lata, ona — 18. Przez 16 lat kochali się, kłócili i... tworzyli razem. W 1898 zerwali ze sobą. W 1913 Camille zamknięto w domu wariatów; zmarła tam w 1943. Daix pisze: „W ciągu ostatnich dwudziestu lat, jakie mu pozostały, dwudziestu lat pełni intelektualnej, Rodin nigdy już nie poważy się na dzieło, które miałoby zuchwałość „Balzaka", nie zdobędzie się na tę transcendencję (czy transgresję), porywającą go poza własną sztukę, poza zwykłe, stawiane sobie zadania, poza epokę. Utrata Camille złamała w nim siłę, dzięki której przedtem mógł nie przyjmować do wiadomości klęski, ani się z nią nie godzić".

Które z nich miało więcej szczęścia?

ANDRZEJ GRUN

Poczta literacka

Od dłuższego już czasu leżą na redakcyjnym biurku wiersze p. Zbigniewa K. z Wrocławia oraz szkic p. Grzegorza M. z Pabianic.

Pan Zbigniew dołączył do wierszy interesującą grafikę. Wprawdzie zastrzega się, iż nie jest warunkiem koniecznym traktowanie tych wytworów spod znaku różnych sztuk łącznie, ale — jak pisze — byłoby mu przyjemnie, gdyby grafiki „ilustrowały" kiedyś jego (drukowane oczywiście) wiersze. Panie Zbigniewie, to co uważam za interesujące w pańskich grafikach (fantasmagorycznych, kapryśnych, nieokreślonych) jest, niestety, „grzechem" pańskiej poezji. Brak w niej spójnego pomysłu, konceptu poetyckiego. Zwykło się takie teksty nazywać uczenie „ekscentrycznymi", ale ekscentryczność musi być mocno motywowana jakimś nadrzędnym celem, pozwalającym przecież jakoś tekst „oswoić", zaaprobować go, przyjąć. Pańska „rozbiegana" wyobraźnia może być wszakże i dobrym znakiem na przyszłość: być może z tej magmy metaforycznej wykrystalizuje się w końcu tekst „uporządkowany". Zatrzymam pańskie grafiki mając nadzieję, że w następnej przesyłce będą wiersze, dla których może już znajdzie się miejsce na szpalcie „Odgłosów".

PIOTR GROBLIŃSKI

jestem jeszcze młody
mam wkopane w ziemię nogi
naród nasz po polu
rozrzucony myślący proch
wielki człowiek z kosą
ścina głowy zlane rosą
zrobić nic nie można
ściętych głów narasta stos
jestem trawą — myślę

patrzę w lustro na nasz kraj
oczy zadłużone we śnie
widzę młodzieniec inteligentnie
spogląda ironiczny nasz kraj

patrzę w lustro lecz ktoś
zasłania mi światło

Pisarz i pieniądze

W tym tytule zawiera się odwieczny dylemat ludzi pióra. „Mądrość nigdy nie była skazana na biedę" — mówił rzymski poeta i filozof **Seneka.** Rzeczywiście, mając w pamięci ludzi pióra, którzy opływali w dostatki można by przyznać staremu mędrcowi rację. Wiadomo np., że dochody **Goethego** można było śmiało porównać z dochodami wielkiego kupca lub bankiera. Książę poetów był nie tylko najwyższym urzędnikiem państwowym w Weimarze, ale także najlepiej płatnym autorem w swoim wydawnictwie, choć nie należał do autorów bestsellerów. Współczesny Goethemu **Walter Scott** w ciągu trzech lat zarobił na swych poczytnych powieściach tyle, co Goethe przez całe życie...

Takie przykłady można by mnożyć, lecz znacznie więcej jest tych spośród ludzi pióra, którzy przez całe swoje twórcze życie głodowali. „Ci, którzy mają do czynienia z literaturą bogacą się, a ci, którzy ją robią głodują" — pisał pod koniec ubiegłego stulecia **Theodor Fontane.** Konkurencja była znaczna. W 1882 r. naliczono w Niemczech 19,380 pisarzy (związek pisarzy zachodnioniemieckich liczy dzisiaj 2,450 zarejestrowanych członków). Tylko część autorów żyła z pisania książek. Pisarz miał do wyboru: albo przestawić swą produkcję literacką na aktualność i publikować w środkach masowego przekazu, albo wykonywać inny zawód..

A jak to wygląda dzisiaj? Znany autor **Peter Reuhmkorf** twierdzi, że nie utrzymałby się, gdyby nie pensja jego żony, która pracuje na państwowej posadzie. Przewodniczący związku pisarzy w Północnej Nadrenii—Westfalii jest z zawodu... policjantem. Tak więc zarówno dawniej jak i dziś **„Geniusz i pieniądze"** bulwersował świat, o którym pisze w książce pod takim tytułem (Genie und Geld. Vom Auskommen deutscher Schriftsteller) **Karl Corino.**

Na zachodnim rynku księgarskim jeszcze jedna książka ukazuje urzekająco świat ludzi pióra. Urzekająco dlatego, że jest to w gruncie rzeczy biografia kobiety, która choć sama nie pisała (z wyjątkiem pamiętników) lecz weszła na trwałe do historii literatury. Chodzi o **Sylvię Beach** założycielkę i kierowniczkę księgarni i wypożyczalni książek „Shakespeare and Company". Zaprzyjaźniona z nie mniej legendarną **Adrianne Monnier,** otworzyła w 1919 r. naprzeciwko jej księgarni własną, w której wkrótce zaczęli się spotykać pisarze francuscy, irlandzcy, angielscy i amerykańscy, wśród nich **— Joyce, Valery, Gide, Larbaud, Eliot, Hemingway i Pound.** Jej największą zasługą jest to, że spopularyzowała współczesną literaturę eksperymentalną. Najsłynniejszym jej podopiecznym był zapewne **James Joyce,** który jej niezłomnemu uporowi zawdzięcza wydanie przez nią w 1922 r. powieści **„Ulisses".** W latach dwudziestych i trzydziestych księgarnia Sylvii Beach była międzynarodowym ośrodkiem intelektualnym, czemu położyła kres dopiero okupacja niemiecka. Autorem biografii Sylvii Beach **jest Noel R. Fitch.**

M. B.

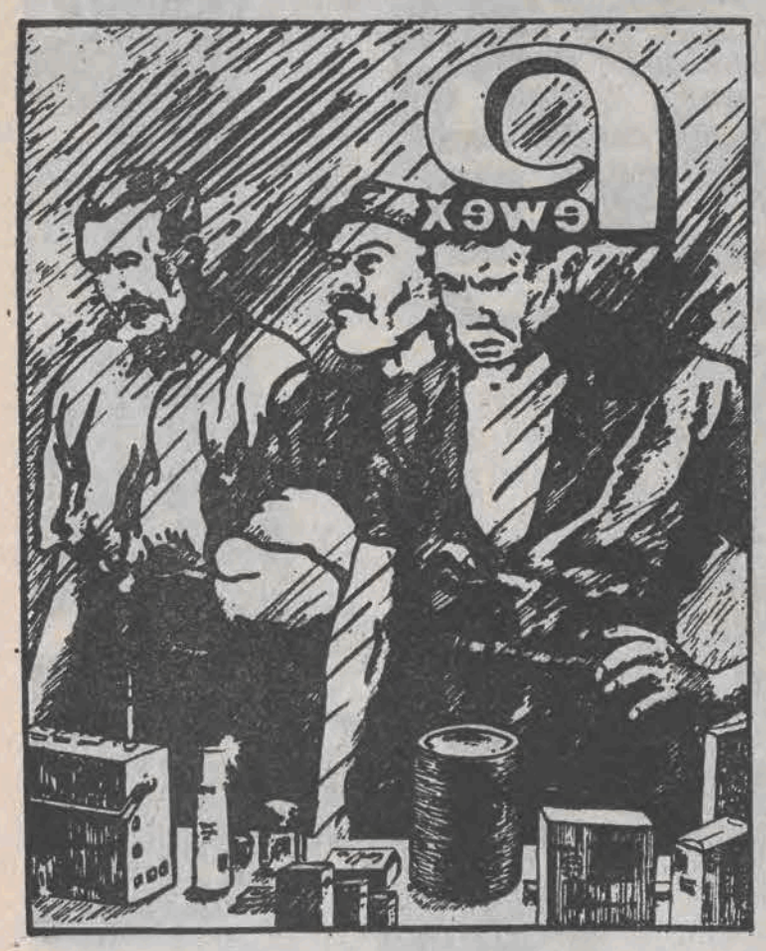

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

SPOTKANIA BALETOWE

Wacław Niżyński — wybitny polski tancerz i choreograf, w ostatnich latach zaborów zasłynął w świecie jako gwiazdor rosyjskiego baletu. Zbliża się właśnie setna rocznica urodzin wielkiego rodaka. Do jubileuszu przygotowują się nasze trzy czołowe zespoły baletowe — warszawski, łódzki i poznański. Na tę okazję przygotowują specjalne wieczory premierowe przypominając w nich role i balety Wacława Niżyńskiego, m.in. Polski Teatr Tańca w Poznaniu — „Wieczór Diagilewowski", którego premiera odbędzie się w czasie X Łódzkich Spotkań Baletowych (24 i 25 maja), zaś warszawski zespół zaprezentuje „Miniatury" poświęcone W. Niżyńskiemu.

Organizowane, jak zawsze, przez nasz Teatr Wielki Spotkania Baletowe odbędą się od 20 maja do 11 czerwca. Obok polskich zespołów (a także interesujących debiutantów choreograficznych — np. **Marii Wójcickiej, Czesława Bilskiego i Romana Komassy),** swój udział zapowiedziały czołowe zespoły baletowe. Wśród zagranicznych zespołów zobaczymy **„Elisa Monte Dance Company"** ze Stanów Zjednoczonych, **„Betsheva Dance Company"** z Izraela, **Balet Narodowy Kuby z Alicją Alonso, Balet berlińskiej Staatsoper, Teatr Wielki Opery i Baletu z Kijowa,** a Polska Agencja Artystyczna zapowiedziała także ewentualny przyjazd Baletu z Ankary. Słowem — okazji do przeżycia wielkich wzruszeń artystycznych nie zabraknie.

1 czerwca przewiduje się sesję naukową, tym razem pod hasłem „Wacław Niżyński, życie, dorobek artystyczny, symbol sztuki baletowej".

I na koniec warto odnotować, iż na dzień 29 kwietnia przypada Międzynarodowy Dzień Tańca. Z tej okazji Teatr Wielki w Łodzi przygotowuje specjalny program, który powtórzony zostanie 30 kwietnia.

JERZY ABRATOWSKI

Ze znacznym opóźnieniem dotarła do kraju wiadomość o śmierci naszego wybitnego kompozytora — **Jerzego Abratowskiego,** który od ponad 20 lat przebywał w Stanach Zjednoczonych. W latach sześćdziesiątych był on jednym z najpopularniejszych twórców licznych przebojów, że wymienimy modne przez wiele lat utwory **„Kto gra walczyka", „Szafirowa romanza"** czy **„Zgubiłem dzień".** Szczególną popularnością cieszyły się piosenki Abratowskiego w znakomitym wykonaniu jego przedwcześnie i tragicznie zmarłej żony — **Ludmiły Jakubczak, „Gdy mi ciebie zabraknie,** czy **„Szeptem do mnie mów"...**

Jerzy Abratowski został zastrzelony w miejscowości Palm Springs, jako mimowolny świadek napadu rabunkowego na bank. W chwili śmierci miał 59 lat. Jego żona, Ludmiła Jakubczak, zginęła tragicznie w wypadku samochodowym wracając z mężem (i Ireną Santor) z koncertu transmitowanego przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny.

„WIELKI SKOK"

„W języku chińskiego muzealnictwa ta wystawa może być nazwana Wielkim Skokiem Dokądś. Po dwóch tygodniach prezentacji, przerywanych dwukrotnym czasowym zamknięciem, galeria narodowa w Pekinie zakończyła pierwszy duży pokaz chińskiej sztuki awangardowej. Abstrakcyjne, happeningowe i o łatwym do odczytania przesłaniu politycznym dzieła artystów, przyciągnęły około 50 tys. zwiedzających. Dzieła te nie uwzględniały zalecenia Mao, że sztuka powinna służyć narodowi. W jednym z happeningów artysta z **Seczuanu, Zhang Nianchao,** siedział bez ruchu na stogu siana wypełnionym prawdziwymi jajkami. Na szyi miał tabliczkę z napisem: **Okres inkubacji. Odrzuca się wszystkie teorie, by nie nękały następnych pokoleń. Oczekiwanie, oczekiwanie, oczekiwanie..."**

(wg „Time")

MROŻEK O SOBIE

„Prawdę mówiąc, nie mam żadnego wykształcenia — powiedział nasz sławny pisarz, Sławomir Mrożek w rozmowie z Irene Sadowska-Guillon dla francuskiego pisma „Acteurs". — Mój pobyt w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie trwał najwyżej trzy tygodnie, nie więcej. Co do reszty, kształciłem się sam... Mój brak zainteresowania odnosił się przede wszystkim do sztywnego i upolitycznionego sposobu wykładania sztuk pięknych. Były to lata przyspieszonej i szalonej stalinizacji we wszy-

„West Side Story" - z importu

„Jest eksperymentatorem i showmanem pisarzem i kompozytorem pianistą i dyrygentem pedagogiem i mecenasem sztuki propagatorem jazzu i opery — jest amerykański ale i międzynarodowy". Tak o **Leonardzie Bernsteinie** napisał **S. Schmidt-Joos.** Niewątpliwie jako kompozytor należy Bernstein do tych, niezbyt licznych twórców współczesnych, którzy potrafili zjednać dla własnej muzyki rzeszę zwolenników, okupując wszakże popularność pewnym eklektyzmem języka. Widoczne są w jego utworach wpływy **Mahlera i Hindemitha, Coplanda i Szostakiewicza,** wyraźne jest oddziaływanie jazzu (m.in. **S. Kentona**) i muzyki południowoamerykańskiej. Autor **„West Side Story"** powiedział kiedyś o sobie: „Jestem poważnym kompozytorem, który próbuje pisać songi. **Gershwin** poszedł normalniejszą drogą: zaczął od małych form i dorósł do wielkich".

„West Side Story" jest chronologicznie czwartym i najsłynniejszym musicalem Bernsteina. To klasyczne już w swym gatunku dzieło zaprezentował w dniach od 1 do 6 kwietnia na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego zespół **Stadttheater Heilbronn** (RFN). W wydrukowanym w Łodzi programie znalazło się dokonane ad hoc tłumaczenie fragmentu przełożonej przecież solidnie już 15 lat temu na język polski książki **B. Gruna „Dzieje operetki".** Z tego nowego, „selektywnego" tłumaczenia wynika np., że Bernstein skomponował tylko 3 musicale.

Wspomnę — co istotne — że w przeciwieństwie do **„Wonderful Town"** Bernsteina, „West Side Story" nigdy nie była wystawiana przez polski teatr. Powodem wydają się zarówno dolarowe tantiemy, jak i wymagania artystyczne (ten drugi powód akcentuje w swej książce o musicalu **A. Marianowicz**). Bowiem właśnie od nowojorskiej prapremiery „West Side Story" (1957) owe wymagania w dziedzinie musicalu wzrosły. Dawniejszego aktora-śpiewaka zastąpił mianowicie aktor-śpiewak-tancerz. Wykształcony też został nowy typ reżysera-choreografa. Był nim Jerome Robbins, który wespół z Robertem Wisem dokonał później znakomitej adaptacji filmowej dzieła.

Libretto **Arthura Laurentsa** łączy — jak wiadomo — wątki Szekspirowskiej tragedii **„Romeo i Julia"** z realiami współczesnej metropolii: konkurencyjnością i walkami młodocianych band oraz antagonizmami rasowymi. Główni bohaterowie i tym razem wywodzą się z wrogich obozów. Marija należy do portorykańskiej grupy „Rekinów", a jej ukochany, Tony, to były herszt bandy amerykańskich wyrostków — „Rakiet".

Opracowującej reżysersko i choreograficznie niemiecki spektakl, Heldze Grau, udało się stworzyć wizję w pełni przekonującą z punktu widzenia zastosowanych środków wyrazu artystycznego. Podkreślić trzeba autentyzm zarysowanych wyrazistą kreską, może tylko jakby nieco zbyt „rozkrzyczanych" postaci młodych ulicz ników i dorosłych. Dalej — wartość narracji i m.in. świetne rozegranie wokalno-tanecznych ansambli **(„Amerika", „Bleib kühl"** czy burleski **„Ja, Herr Inspektor").** Tu doprawdy znać było wytrawną rękę następczyni Robbinsa! Oczywiście niewiele dałoby się zdziałać bez odpowiednich wykonawców (Robbins kompletował ich przez 8 miesięcy). Artyści z Heilbronn, będący w istocie aktorami typu dramatycznego, ujawnili wszelako uniwersalne przygotowanie i wyszkolenie. Dobre, a niekiedy pierwszorzędne aktorstwo (ujmująca wdziękiem Marija — **Renee Knapp,** żarliwy Tony — **Alexander Kurzwernhart,** ognista Anita — **Tamara Rohloff,** brutalny Bernardo — **Ralph Schwachmayer)** łączyło się z imponującym — z naszego punktu widzenia — utanecznieniem i wzorową muzykalnością. Jasne, że gdyby do śpiewu przyłożyć kryteria profesjonalne, dałoby się np. sporo zarzucić ustawieniu głosu i wibracji Tony'ego, a nawet co nieco najwyższym rejestrom czystego i dźwięcznego sopranu Marii. Ogólnie jednak stroną muzyczną nie stwarzała niedosytów. Duża w tym zasługa kierownika muzycznego i dyrygenta — **Nicolasa Kemmera** a także „łodzian: tzn. tworzących orkiestrę instrumentalistów, głównie z radiowego zespołu **H. Debicha,** jak i śpiewającej epizodycznie z orkiestrowego kanału sopranistki **Teresy May-Czyżowskiej.**

Ciepłe słowa należą się ponadto scenografowi **Thomasowi Pekny'emu** za funkcjonalne i „stwarzające klimat" dekoracje. Odpowiedzialny za dźwięk **Heinz Weihe** dał pokaz bezbednie klarownego nagłośnienia z pomocą mikrofonów bezprzewodowych. Ja osobiście jednak wolę w teatrze muzycznym dźwięk nie amplifikowany. Nawet, jeśli nie słucham tradycyjnej opery ani operetki.

W sumie za pierwszą w naszym kraju, jakże udaną prezentację „West Side Story" wypada teatrowi z Heilbronn pięknie podziękować.

JANUSZ JANYST

Jazz w cieniu bluesa

Słowa, jakimi powitał wrocławską publiczność, zgromadzoną w Hali Ludowej, prezes PSJ **Tomasz Tłuczkiewicz** na otwarcie **XXV Festiwalu „Jazz nad Odrą"** okazały się w kontekście całej imprezy prorocze. Zapowiadając występ popularnej w latach 70 angielskiej grupy rockowej **„Uriah Heep"** opowiedział o jej perypetiach na moskiewskim lotnisku (zespół przyleciał do Polski na jeden koncert w trakcie tournee po Związku Radzieckim), kończąc prezentację słowami: „co się źle zaczyna, zwykle dobrze się kończy". No i ostatniego festiwalowego dnia wybuchła prawdziwa bomba: spóźnienie na samolot skutecznie uniemożliwiło występ głównej jazzowej gwieździe festiwalu zespołowi amerykańskiego kornecisty **Nata Adderleya** z programem poświęconym pamięci jego słynniejszego brata **Juliana „Cannonballa" Adderleya.** Był to największy zawód dla jazzowej publiczności i porażka organizatorów tegorocznej imprezy.

Dotychczasowe festiwale w nadodrzańskim grodzie miały charakter konkursowy, stawiając sobie za cel promocję młodych muzyków i zespołów jazzowych. W tym roku organizatorzy odeszli od wypracowanej formuły i zorganizowali festiwal prawdziwych i wątpliwych gwiazd. Spore zastrzeżenia budziły proporcje różnych gatunków muzyki na tym dotychczas stricte jazzowym przeglądzie. Tym razem był to festiwal (przynajmniej na głównej scenie w Hali Ludowej) bluesowo-rockowy z elementami jazzu. Na całym świecie panuje obecnie moda na „sprzedaż wiązaną" muzyki. Aby jazz zaczął się lepiej sprzedawać, do udziału w jazzowych imprezach zaprasza się kapele rockowe i bluesmanów. W przypadku „Jazzu nad Odrą" ten sposób na „zrobienie kasy" okazał się raczej zawodny. Owszem, pierwszy rockowy dzień festiwalu miał sporą frekwencję, publiczność wypełniła halę dość szczelnie, na pozostałych koncertach było już znacznie gorzej, około 3/4 miejsc na sali świeciło pustką. Osobną sprawą jest sens organizacji koncertów jazzowych w wielkiej, hangarowatej hali, gdzie nawet zespoły rockowe miały problemy z właściwym nagłośnieniem.

Mimo pewnej kontrowersyjności samej formuły festiwalu i udziału w nim wykonawców, którzy z jazzem niewiele mają wspólnego, trzeba przyznać, że główne gwiazdy nie zawiodły oczekiwań. Pierwszego dnia wystąpił oczekiwany z dużym zainteresowaniem zwłaszcza przez starszą część publiczności, pamiętającą jego nagrania z lat siedemdziesiątych, zespół **„Uriah Heep".** Spotkaniu z tą legendarną brytyjską grupą towarzyszyły pewne obawy co do jej obecnej „formy". Okazały się one jednak całkowicie nieuzasadnione. Zespół w nieco tylko odmłodzonym składzie — wokalista **Bernie Shaw** i „klawiszowiec" **Phil Lanzon** — dał koncert na prawdziwie profesjonalnym poziomie, poprzedzony prawie godzinną staranną próbą. Starsze nagrania były natychmiast rozpoznawane przez publiczność, która zachęcana przez dynamicznego wokalistę — zastrzyk świeżej krwi w zespole — włączała się do wspólnej zabawy.

Drugi i częściowo trzeci dzień imprezy upłynął pod znakiem bluesa. Przedstawiciele rodzimego bluesa **(„Easy Rider")** stanęli w muzyczne szranki ze światowymi zawodowcami w tej dziedzinie — zespołem **Luthera Allisona.** Każdy kto był obecny na koncercie, nie miał chyba wątpliwości, kto z tej batalii wyszedł zwycięsko. Luther Allison udowodnił że nie przypadkiem uznawany jest za najlepszego bluesowego gitarzystę w Europie (od 1977 roku nagrywa i występuje w Paryżu). Francuscy muzycy towarzyszący liderowi wprowadzają do rozegranej, pulsującej rytmem funky muzyki pierwiastek europejski, charakterystyczny dla białego bluesa. Allison mistrzowsko prowadzi muzyczny dialog nie tylko z muzykami na scenie, rewelacyjnie nawiązuje również kontakt z publicznością rozkołysaną w tanecznym rytmie pod scena.

Luther Allison z saksofonistą Sulaimanem Hakimem

Foto. Wiktor Sawiuk

Zjawiskiem niepowtarzalnym, nie spotykanym na naszej muzycznej scenie był występ amerykańskiego gitarzysty **Jamesa „Blooda" Ulmera** w formacji **„The Blues Experience".** Muzyk, który przeszedł w swojej karierze kolejne stopnie wtajemniczenia od rhythm and bluesa, przez loft, harmolodic po free i punk jazz, zaproponował tym razem powrót do źródeł, czyli tradycji rhythmandbluesowej. Ulmer swą wibracyjną uduchowioną grą niczym tajemniczy murzyński szaman wprawił w hipnotyczny trans wszystkich obecnych na sali.

Nieobecność zespołu **Nata Adderleya** pozbawiła wprawdzie naszych krajowych uczestników konkurencji, nie wpłynęła jednak na ich kondycję. Cieszą stałe postępy muzyków z zespołów **„Walk Away"** i **„Young Power"** Zwłaszcza gra tego ostatniego (wraz z liderem zwycięzcy w ankiecie „Jazz Forum" w 4 kategoriach) nabrała większej logiki, przejrzystości, została wzbogacona ciekawym układem choreograficznym, co przy pięknych aranżacjach **Krzysztofa Popka** dało doskonały efekt. Niezwykle urokliwą atmosferę stworzył swym występem **Stanisław Sojka,** natomiast radziecki gitarzysta **Aleksander Lubczenko** w swym krótkim recitalu dał prawdziwy popis wirtuozerii.

Zbigniew Namysłowski z zespołem **Evana Svensona** przyjął na siebie ciężar zastąpienia nieobecnej gwiazdy i trzeba przyznać, że zrobił to z dużym powodzeniem. Subtelne, pastelowe brzmienie gitary Svensona w połączeniu z wyrafinowaną grą najlepszego polskiego alcisty nieodparcie nasuwało skojarzenia z cudownym światem dźwięków **Pata Metheny i Jana Garbarka.** Występ Svensona z Namysłowskim był ostatnim akordem na głównej festiwalowej scenie.

W czasie festiwalu życie jazzowe toczyło się również w klubach studenckich: „Pałacyk" i „Rura". Na imprezach towarzyszących występowały zespoły, dla których zabrakło miejsca na głównej festiwalowej scenie. Niewątpliwie bardziej sprzyjające warunki do słuchania muzyki panowały w elitarnym „Pałacyku", gdzie obowiązywały karty wstępu i zaproszenia, natomiast w ogólnie dostępnej zatłoczonej „Rurze" muzyka schodziła na dalszy plan, stanowiąc zaledwie dodatek do napojów wyskokowych.

Na krótką choćby wzmiankę zasługuje koncert w filharmonii, zorganizowany z okazji 10-lecia działalności estradowej zespołu **„Spirituals Singers Band"** z udziałem zaproszonych gości: **Ewy Bem, Andrzeja Pluszcza i Piotra Schulza.**

W sumie jak na jedną imprezę było w czym wybierać i mimo pewnych zastrzeżeń i wątpliwości organizatorom należą się słowa uznania za podjęcie gigantycznego trudu zorganizowania festiwalu, który skalą i kosztami dorównywał niemalże tegorocznemu **„Jazz Jamboree".**

MARIOLA KNAGA

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

stkich dziedzinach, także w sztuce. Wyobrażałem sobie Akademię jako ostoję swobodnej ekspresji, a odkryłem koszary. Zdecydowałem się więc opuścić uczelnię, zwłaszcza że nadarzyła się możliwość opublikowania moich rysunków i zarabiania w ten sposób na życie...

Zaczynałem jako rysownik w krakowskich dziennikach i tygodnikach. Publikowałem rysunki humorystyczne, rodzaj komiksów, odnoszące się do aktualnych tematów politycznych i społecznych. Później po trochu pisałem małe formy literackie, ale nadal była to satyra... W latach 1955—56 krytyka zdecydowała o mojej specjalizacji: zaszufladkowała mnie jako autora krótkich nowel satyrycznych...

Gdy jest się młodym, czyta się wszystko i byle co. Niełatwo było wtedy w Polsce zdobyć pozycje współczesnej literatury światowej. Oczywiście przeczytałem całego Czechowa. Później, gdy czytałem już po angielsku, rzuciłem się na klasyków angielskich i amerykańskich, którzy na zawsze pozostaną mistrzami czarnego humoru...

Kiedy napisałem swoją pierwszą sztukę teatralną w 1958 roku, byłem już autorem trzech zbiorów opowiadań, które przyniosły mi zresztą nagrodę literacką w 1957 roku. Była to epoka Odwilży. Nastąpiło rozluźnienie cenzury i otwarcie, tak niezbędne, na współczesną kulturę Zachodu, od której Polska została odcięta. Kafka, na przykład, był przed 1956 rokiem zakazany. Mój zwrot ku teatrowi w tym czasie to wynik zbiegu okoliczności. Przed 1956 rokiem teatr polski był martwy, grano tylko klasykę zgodną z panującą ideologią oraz sztuki socrealistyczne dziś już zupełnie zapomniane z tego prostego powodu, że były obrzydliwe. Tak samo zresztą jak przedstawienia tego okresu — sztywne, konwencjonalne.

A zatem, w 1956 roku teatr był ziemią dziewiczą, wszystko należało dopiero wymyśleć. Czułem, że miałem coś do powiedzenia i że byłem już dostatecznie dojrzały — miałem prawie trzydzieści lat — aby napisać sztukę..."

UCZENI POLSKIEGO POCHODZENIA

W lipcu br. odbędzie się III Kongres Uczonych Polskiego Pochodzenia. „Do dziś zdecydowało się przyjechać 243 uczonych z 23 krajów — powiedział dyrektor Biura Organizacyjnego **Ryszard Juchniewicz.** — Po raz pierwszy gośćmi Kongresu będą uczeni polskiego pochodzenia ze Związku Radzieckiego. Ewenementem jest to, że na 26 osób, do których wysłaliśmy zaproszenia, zgłosili się na kongres wszyscy, a później jeszcze 7 osób. Wśród nich m.in.: **Sergiej P. Kapica i Andrzej P. Kapica.** Będą również m.in. tacy profesorowie jak: socjolog **Zygmunt Bauman** z Londynu, reprezentant nauk medycznych — **Hilary Koprowski** z USA, socjolog **Jerzy Smolicz** z Australii. Wysłaliśmy również zaproszenie do **Bronisława Baczki, Stanisława Barańczaka, Włodzimierza Brusa, Feliksa Grossa, Jana Kotta, Leszka Kołakowskiego, Czesława Miłosza,** ale dotąd nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Sądzę, że wobec wielu osób o znaczących, nośnych nazwiskach popełniono w przeszłości wiele nietaktów i może również stąd bierze się ich milczenie. Wiemy, że niektórzy mówią tak: dopóki nie będzie oficjalnego odwołania tego, co o nas powiedziano — nie przyjedziemy".

(„Przekrój")

Galeria pisarzy

Rys. Sławomir Arabski

NA KAROLA STRYJSKIEGO

Zamienił stryjek —
Siekierkę na... kijek.
A Stryjski swe sukcesa —
Na stołek:
Prezesa.

ROMAN GORZELSKI

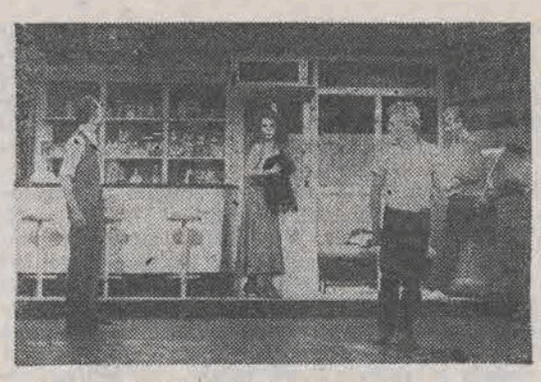

„West Side Story". Scena w drugstorze

Foto: Otto Zehnder

Kronika

„O UŚMIECH DLA DZIECKA" — pod takim hasłem odbył się w Chicago wielki koncert — maraton, zorganizowany pod auspicjami Związku Narodowego Polskiego. Koncert trwał ponad 4 godziny, a wzięło w nim udział wielu artystów, wśród nich: **Barbara Denys, Ryszard Krzyżanowski, Jan Tadeusz Stanisławski, Stan Borys, Józef Homik, Stefan Wicik, Jan Wojewódka, Waldemar Kocoń, zespół „No To Co"** i inni. Zebrano ponad 20 tys. dol. na fundusz pomocy dzieciom i szpitalom w Polsce. 130 tys. dol. zebrano na ten sam cel podczas 14-godzinnego programu radiowego emitowanego wcześniej przez rozgłośnię należącą do ZNP.

CZTERNASTU CZŁONKÓW dawnego i obecnego Związku Artystów Scen Polskich było inicjatorami spotkania w Teatrze Polskim w Warszawie 159 reprezentantów 113 instytucji artystycznych, którzy uchwalili, że należy zwołać Nadzwyczajny Zjazd ZASP w końcu października br. Uznano przy tym za konieczną jedność organizacyjną środowiska ludzi teatru.

AMBASADOROWIE POLSKIEJ SZTUKI na świecie — za taką rolę naszych wybitnych artystów minister spraw zagranicznych wyróżnił w tym roku dyplomami, a więc: **Macieja Englerta, Władysława Hasiora, Jerzego Katlewicza, Krzysztofa Kieślowskiego, Andrzeja Kuśniewicza, Janusza Głejniczaka, Jerzego Stuhra, prof. Jerzego Toeplitza oraz Muzeum Literatury, Muzeum Narodowe w Warszawie i Zespół Tańca Ludowego UMCS w Lublinie.**

RZĄDOWEMU CENTRUM BADANIA OPINII SPOŁECZNEJ i Ośrodkowi Badań Opinii Publicznej przy Radiokomitecie przybył nowy konkurencyjny ośrodek — Zespół Badań Opinii Społecznej NSZZ „Solidarność".

OSTATNI FILM Z CYKLU TELEWIZYJNEGO „DEKALOGU" przypomina przesłanie dziesiątego przykazania. Cenna kolekcja znaczków pozostawiona w spadku przez ojca staje się przyczyną niezgody między dwoma synami. Autorami scenariusza są **Krzysztof Kieślowski** i mecenas **Krzysztof Piesiewicz.** W rolach głównych zobaczymy: **Jerzego Stuhra, Zbigniewa Zamachowskiego, Krystynę Jandę, Henryka Bistę i Jerzego Łukaszewicza.**

„...POLSKA TELEWIZJA odegrała bardzo pozytywną rolę w obalaniu antypolskich uprzedzeń i stereotypów na Litwie. TVP jest szczególnie dobrze odbierana na Litwie kowieńskiej, gdzie mieszkają prawie sami Litwini. Oglądają dosyć ciekawą telewizję i widzą, że Polacy mają dziesięć tysięcy ważniejszych spraw, niż szkodzenie sprawie litewskiej. Raczej przeciwnie — z polskiej prasy, radia i TV bije sympatia do tego niewielkiego narodu" — powiedział dla tygodnika „Ład" **Walery Tankiewicz,** działacz narodowy w Wilnie.

POSTAWA CZŁONKÓW SZWEDZKIEJ AKADEMII przyznających literacką Nagrodę Nobla — którzy uznali, że nie powinni zajmować stanowiska w związku z aferą wokół „Szatańskich wersetów" Rushdiego — spotkała się z ostrą krytyką. W związku z tym Akademia zebrała się ponownie wydając salomonowy wyrok — 13 członków Akademii potępiło wyrok wydany na brytyjskiego pisarza, lecz Akademia jako całość wypowiedziała się tylko przeciwko „ograniczaniu wolności słowa".

POZNAŃSKI ODDZIAŁ STOWARZYSZENIA AUTORÓW POLSKICH ustanowił **nagrodę im. Edwarda Raczyńskiego,** przyznawaną wybitnym twórcom różnych dyscyplin za wkład w pogłębianie i upowszechnianie wiedzy o Wielkopolsce i o wielkich ludziach związanych z tym regionem. Nagrodę za rok 1988 otrzymali **Bogumiła i Marceli Kosmanowie** za książkę **„Sylwetki Wielkopolan"** wydaną przez Wydawnictwo Poznańskie.

DOROCZNĄ NAGRODĘ IM. ANDRZEJA MUNKA za najlepszy debiut filmowy w dziedzinie reżyserii, jury przyznało za obraz „Kornblumenblau" **LESZKOWI WOSIEWICZOWI,** zrealizowany w Studiu im. Karola Irzykowskiego. Nagrodę za zdjęcia roku 1988 przyznaną po raz pierwszy, otrzymał **Paweł Edelman** (film pt. „KWK »Wujek«" powstały w łódzkiej WFO). Uroczyste wręczenie nagród im. Andrzeja Munka oraz promocyjny pokaz filmu Leszka Wosiewicza odbędzie się 15 bm. w kinie ŁDK.

WZNIESIONY W 1933 ROKU POMNIK NIEPODLEGŁOŚCI w Pabianicach przetrwał zaledwie sześć lat. Po dziędziesięciu latach dzięki staraniom Społecznego Komitetu Odbudowy Pomnika Niepodległości, jego wierna kopia odsłonięta zostanie 11 listopada br. Autorem pierwowzoru był **Mieczysław Lubelski** — twórca łódzkiego pomnika Tadeusza Kościuszki na pl. Wolności, zaś odtwórcami są **Władysław i Tomasz Kowalczykowie.**

W MUZEUM MARTYROLOGII I WALKI w Radogoszczu otwarta została wystawa pt. **„Łodzianie w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie".** Zaprezentowano na niej fotogramy, dokumenty, odznaczenia łodzian walczących na bojowych szlakach II wojny światowej na Zachodzie.

ROZSTRZYGNIĘTY ZOSTAŁ Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. **Feliksa Rajczaka.** Ze 137 zestawów nadesłanych prac jury pod przewodnictwem **Ziemowita Skibińskiego** przyznało dwie pierwsze nagrody (po 50 tys. zł): **Grażynie Woźniak** z Rudy Śląskiej i **Jerzemu Wolińskiemu** z Warszawy. Trzecie nagrody otrzymali: **Mirosław Bohenek** z Bielska Białej, **Czesław M. Szczepaniak** z Warszawy, **Marek Kośmider** z Poznania, zaś nagrodę specjalną — **Dariusz Wiśniewski** z Szymanowic Łowickich. Wyróżnienia przypadły: **Kazimierzowi J. Węgrzynowi** z Wisły, **Ryszardowi Biberstajnowi** z Wrocławia i **Joannie Rzeszotek** z Torunia.

ZET

W Kazachstanie u początku lat czterdziestych (6)

Ostatni rok wojny

EUGENIUSZ IWANICKI

Wojna trwała i coraz puściej robiło się w szkole, na wieczorynkach, nad rzeką. Już szesnastoletni chłopcy stawali przed komisją poborową. Zaczęło brakować nafty i ludzie przypomnieli sobie o „kopciłkach": do metalowej baniczki nalewało się naftę lub tłuszcz, z konopi skręcało się knot — i lampka była gotowa. Lekcje odrabiali jedynie ci, którzy mieli jakikolwiek papier. W większości stosowano prostą zasadę: tekst przeczytany w szkole nie był już potrzebny, więc na nim odrabiało się zadania pisemne. W ten sposób książka stawała się jednocześnie zeszytem. Ojciec — ponieważ polował i mógł dostarczyć mięso — miał dobre układy z naczelnikiem poczty, od którego otrzymywał czasami parę numerów gazety „Leninskoje Znamia". Z tej gazety robił mi zeszyty, zazdrość i zawiść kolegów z klasy. W 1946 roku wracając do Polski przywiozłem ze sobą „Opowiadania" Konstantego Paustowskiego, które służyły mi do ćwiczeń z języka rosyjskiego. Nawet nosiłem się z zamiarem wysłać je autorowi, lecz wskutek częstych przeprowadzek, ów zeszyt—książka mi zaginęła.

Atrament wyrabiało się dwoma sposobami: latem — zielony z liści kartofli, zimą — czarny z sadzy wymieszanej z mlekiem.

Z tamtych, prawie zamierzchłych czasów, zapamiętałem dwie ciekawe rzeczy: pierwsza — to podręcznik historii ZSRR, w którym kazano nam zamazać stronice poświęcone Bucharinowi, Zinowjewowi i Kamieniewowi, druga — to zwykły zeszyt, jakie były dostępne w kooperatywie tuż przed wojną i w pierwszych jeszcze latach wojny. Otóż na okładce zeszytu był rysunek przedstawiający Aleksandra Puszkina siedzącego pod rozłożystym dębem. Obok siedział kot. Była to ilustracja słynnego wstępu do poematu Puszkina „Rusłan i Ludmiła". Tam kot opowiada poecie zadziwiające baśnie, które poeta potem przekazywał innym. Natomiast cała niezwykłość tej okładki polegała na czym innym: Puszkin był ubrany — zgodnie z modą XIX wieku — w spodnie z lampasem. I na tym lampasie, ledwo dostrzegalnie, było napisane: **„Dałoj s WKP(b)"** — precz z WKP(b)! Kiedy byłem w Kazachstanie, takich zeszytów już nie sprzedawano, ale w niektórych domach można było jeszcze znaleźć okładki z wizerunkiem Puszkina, kota i owym napisem.

Współżycie z rdzenną ludnością, jaką stanowili Kazachy, układało się nam dobrze, szczególnie ojciec dość szybko zaprzyjaźnił się z myśliwymi z pobliskich aułów. Rosjanie ostrzegali, że z Kazachami nie ma żartów, że to naród podstępny i fałszywy, że przyjaźń z nimi, to to samo, co przyjaźń ze żmiją. Nie była to prawda. Ojciec często nocował w aułach i nigdy nie zdarzyło się, by nastawano na jego życie. Natomiast jakże często Kazachy przynosili nam masło lub baraninę. Zapewne z tamtych czasów mam wstręt do tych produktów. Baranina — żeby nie wiem jak była przyprawiona — cuchnie mi jurtą, a masło przypomina tamto, kazachskie masło. Kazachy bowiem mieli swoisty pogląd na sprawy higieny: śmietanę zlewali w skórzane worki, w których topiły się setki, a może tysiące much. Nikt tych much nie wyrzucał. I masło było potem w czarne, drobne cętki. Nie mogłem go jeść. A baranina? Kiedyś w aule Kiszył byłem z ojcem bo akurat odbyło się polowanie na żurawie i myśliwi zdobyli sporo trofeów. Na tę okazję przygotowano ucztę. Zarżnięto młodego barana, wypatroszono, ale już nie obmyto, mięsa nie wypłukano, natomast solidnie je posolono i obłożono jakąś pachnącą trawą. Całość oblepiono ciastem. Wyszła z tego spora piramida. Pieczono w piecu. Oczekiwanie skracano piciem kumysu i opowiadaniem przedziwnych myśliwskich historii które przypominały opowieści z zamierzchłej przeszłości, choć tak naprawdę działy się całkiem niedawno. Kumys nalewano ze skórzanych bukłaków, był złocisto-zielonkawy, dość ostry, ale wspaniały. Niestety, Kazachy przygotowują go — jak zresztą wszystko — nie troszcząc się nawet o podstawowe zasady czystości.

Kiedy piramidę przyrumienioną, pachnącą — różowy, wielki stożek upieczonego chleba — wyjęto, mężczyźni zasiedli wokół splatając na wschodni sposób nogi, jak mówią tam, „kałaczykom". Kobiety i dzieci tuż za nimi. Gospodarz ściął wierzchołek, odkrywając wnętrze piramidy wypełnione po brzegi baranim tłuszczem. Parząc rękę, wyciągnął kawał pieczonego mięsa i podał ojcu, jako najdostojniejszemu gościowi. Potem zanurzał rękę jeszcze wielokrotnie i baraniną obdzielał pozostałych. Siedziałem z tyłu i słyszałem jak mlaskali, jak okrzykami wyrażali swoje uznanie i zachwyt nad tak smakowitą potrawą. Widziałem także, jak połykali gorące kawałki, oblizywali spływający po rękach aż po łokcie tłuszcz jak na koniec pili ten tłuszcz z owej chlebowej piramidy, jak wycierali ręce o włosy, o ubrania i przyrzekłem sobie, że nigdy, ale to nigdy nie wezmę baraniny do ust. Minęło prawie pół wieku i przyrzeczenia dotrzymałem.

Kobiety i dzieci otrzymywały to, co zostawało.

Potem było długie „czajepitje", trwające kilka godzin. Samowar nastawiano bez przerwy. Na biesiadników biły, jak to się mówi, dziesiąte poty. Nasze wyobrażenie owych dziesiątych potów nie ma odniesienia do rzeczywistości. Ale tam... Proszę sobie wyobrazić ciepły wiosenny dzień, nawet bardzo ciepły, gorącą baraninę, niezwykle gorącą herbatę (rosyjski „kipiatok"), a do tego Kazachów ubranych w ciepłe watowane spodnie i takież kaftany, okutanych w kożuchy i w puszyste lisie czapy. Tam nie pije się herbaty dlatego, że się ma pragnienie. Herbata to rytuał, to ceremonia, to niemal misterium. Ile się wypija podczas jednego posiedzenia? Parenaście „czaszek" czyli głębokich filiżanek. Picie herbaty, to akt nie tylko towarzyski, ale często i polityczny. Spokój, siorbanie z „pijałek", przymykanie oczu, rozkoszowanie się i od czasu do czasu wypowiadanie kilku słów. Te słowa są ważkie, może nawet najważniejsze nie tylko dla tego, kto je wypowiada, ale i dla tego, kto je wysłuchuje. Podczas takiego „czajepitja" załatwia się sprawy najistotniejsze, ustala się zasady przyszłych polowań, połowów, omawia się kojarzenie małżeństw, a nawet — co tu ukrywać — napadów rabunkowych.

O latach spędzonych w Kazachstanie mógłbym napisać epopeję, gdzie jedna przygoda goniłaby drugą, gdzie obok zdarzeń banalnych choć ciekawych, byłyby przypadki wręcz fantastyczne i nieprawdopodobne. Mógłbym... Nim to się stanie, ograniczę się do kilku spraw charakterystycznych dla owych głodnych i chłodnych lat.

Wiosna 1945 roku stała się dla mnie najbardziej pamiętną porą roku. Gdzieś pod koniec kwietnia, a może wcześniej, lód na Iszymie stał się brudnożółty, wybrzuszył się, stracił dotychczasową połyskliwość. Na wysokich brzegach dzień i noc czatowali jeźdźcy na koniach. Ruszanie lodów na rzekach syberyjskich, to nie żarty, to nie jakiś tam drobny wylew wód, czy spiętrzenie kry przy moście. Ruszanie lodu — to śmierć dla każdego, kto tego nie przewidział w porę. Pamiętam, że w owych dniach nie chodziliśmy do szkoły: obsiadłszy wzgórze, na którym leżała nasza wieś, czekaliśmy. Wieczorami cała ludność wylegała by popatrzyć czy czasem nie idzie wielka woda. W ciemności nic nie było widać, jedynie chwiały się w dole pochodnie w rękach tych, co czatowali wzdłuż brzegów.

Aż którejś nocy stało się: początkowo z przeraźliwym krzykiem pomknęli jeźdźcy, by ostrzec ludzi z Aleksandrówki i z Karatału. Następnie doleciał do nas oddalony pomruk, właściwie jednostajny szum niepodobny do żadnego zasłyszanego dotąd. Tysiące ludzi tkwiło na wzniesieniu górującym jakieś sześćdziesiąt metrów nad łąką leżącą pomiędzy wsią, a rzeką. Spoglądaliśmy na południe. Noc była ciemna, niskie chmury zwisały nad ziemią. I nagle krzyk:

— Tam! Tam! Patrzcie!

Z południa w naszą stronę pędziła pionowa ściana wody Wydawało się, że ciemne niebo zostało połączone z czarną ziemią walącą się na nas srebrzystostalową zasłonę. Zanim uprzytomniłem sobie, że to woda, już powietrze wypełnił grzmot, którego siły nie potrafię z niczym porównać. Może tak wybucha wulkan lub tysiąc bomb? Nie wiem, gdyż nigdy nie widziałem wulkanów ani bomb. Żywioł runął z wysokości zatapiając w mgnieniu oka łąkę, rzekę pokrytą lodem i to wszystko, co było za rzeką. W obliczu takiej potęgi człowiek czuje się bezbronną drobiną i odczuwa atawistyczny strach przed czymś niezrozumiałym, wszechpotężnym i nieokiełznanym. Ludzie z krzykiem cofnęli się w stronę wsi, ale woda nie wdarła się na wzniesienie, a jej skłębiony, wściekły nurt ograniczył się do wyrzucenia ku nam miliardów chłodnych kąśliwych kropel.

Siedzieliśmy do rana, by o świcie przekonać się, że Iszym stał się morzem. Woda sięgała horyzontu. Auł Karatał tkwił w tym oceanie niczym malutka, zagubiona wysepka. Bure fale jakby się nieco uspokoiły, i można było widzieć, jak gdzieś daleko, gdzie sterczały nad wodą skąpe wierzchołki przybrzeżnych drzew, przepływają domy, obory, całe zagrody, jak na tych domach, uczepieni dachów tkwią ludzie i dają rozpaczliwe znaki... Niestety, nikt im nie mógł pomóc. Jeśli mieli szczęście i dopłynęli do mostu w Pietropawłowsku (120 km od Ilinki) gdzie z armat kruszono lód, to być może byli uratowani. Ale o takim szczęściu nie słyszałem. Jedynie mały Białorusin, Tiszka, sierota i „biezprizornik" (ojca aresztowali w trzydziestym dziewiątym, matka zmarła już tu), nieświadom potęgi i grozy, śpiewał rozdzierająco:

Chaim, Chaim,
Ty nakaży maim,
Szto ja sieu na kryhu
I pajechau u Ryhu!

Na wiosnę 1945 roku miało miejsce jeszcze jedno niezwykłe wydarzenie: któregoś dnia na drodze pojawiły się przedziwne pojazdy. Były to amerykańskie Studebekery i Fordy. Radzieckie połutorki i triochtonki mające drewnianą obudowę wyglądały przy tych kolosach żałośnie i mizernie. Kolumna samochodów z jakichś powodów zatrzymała się w Ilince, a myśmy znów mieli dzień wolny od zajęć w szkole. Lekcje są co dzień, a tyle i takich samochodów może drugi raz w życiu już się nie zobaczy. Samochody były amerykańskie, a szoferzy rosyjscy. To zderzenie miało znaczny wpływ na eksploatację i żywot tych kolosów. Nikt na dobrą sprawę nie wiedział jak się z nimi obchodzić, jak manewrować na wąskich polnych drogach. Wyjeżdżając z placu sprzed sielsowietu doszczętnie zniszczono ogrodzenie, jeden z Fordów zarył się na amen w rowie i nie pomogły woły sprowadzone z naszej brygady (była najbliżej). Ale szoferzy nic sobie z tego nie robili. Byli podpici, weseli, oglądali się za dziewczętami i za samogonem. Na plandekach wozów zawieszono hasła: *„Smiert' niemieckim zachwatczykom"*, *„Za Rodinu, za Stalina"* oraz słynne powiedzenie Josifa Wissarionowicza, że *„Nasze dieło prawoje, wrag budit razbit, pabieda budiet za nami"*. Trzeba tu uczciwie przyznać, że nikt w Ilince nie wątpił w zwycięstwo, a Hitlera — tak jak miatieżnika Pugaczowa — będą wozić po całej Rosji w specjalnej klatce i pokazywać ludziom.

Samochody jechały na front. Nie wiem, z jakiego portu je zabrano, teraz miały dotrzeć do Pietropawłowska i dalszą drogę odbyć kleją. Czy dojechały? Ten, który ugrzązł w rowie, stał tam jeszcze wiosną 1946 roku, kiedy to odjeżdżaliśmy do Polski. Był już co prawda bez plandeki, bez kół i bez wszystkiego, co dało się odkręcić, unieść i wynieść.

W jednym z poprzednich odcinków tych wspomnień, mimochodem zaznaczyłem, że ojciec dość biegle opanował sztukę pędzenia bimbru. Teraz, kiedy parę dziesiątków szoferów postanowiło się zabawić, umiejętności ojca okazały się bardzo przydatne. Akurat dojrzał zacier i od rana buzował ogień pod kotłem. Wódka ściekała do wiadra. Mężczyźni pili kubkiem: kto chciał ten podchodził, czerpał, wypijał. Zagryzano słoniną i cebulą. Słonina była ukradziona z magazynu w naszej brygadzie, cebula nasza. Pieniądze rzucano do drewnianego cebrzyka ustawionego przy drzwiach. Pamiętam, że owego dnia po raz pierwszy w życiu upiłem się do nieprzytomności. A było to tak: ojciec, jak na dobrego fachowca przystało, zbierał jedynie najmocniejszy bimber, natomiast to, co szło na końcu, kazał zlewać w stojące na podworzu beczki. Potem z tych zlewek kobiety robiły jakieś „nastojki" wisniowe, jagodowe czy śliwkowe. Wraz z kolegami musieliśmy odwalać tę czarną robotę, choć woleliśmy być razem z wesołymi szoferami. Gdy tak taszczyłem wiadro z mętnym żółtym płynem w stronę beczki, Fiedia Prusakow powiedział:

— A może się nadaje?

Jego brat, Wania, który często wracał z pracy podpity, poparł Fiedię.

— Skosztujemy, nie otrujemy się.

Skosztowaliśmy. Było to wstrętne i cuchnące. Ale pić się dało. Mój organizm bronił się i protestował. Zanim tamci dwaj napili się do woli, ja już byłem gotów. Ojciec później wytargał mnie za uszy, ale pierwszy krok miałem za sobą. Niestety, nie uczyniłem dalszych kroków na tej drodze i nie zostałem wyznawcą Bachusa. Należę raczej do ludzi, których się nie zaprasza tam, gdzie będzie serwowany alkohol. Mówię o tym ze smutkiem, bo trzeźwe życie — jak twierdzą ludzie bywali — choć jest spokojne, za to jakże przeraźliwie nudne.

Ten rok, ostatni rok wojny, obdarzył Ilinkę wszystkimi możliwymi plagami. Front żądał chleba, a tu nie dość, że stare maszyny rolnicze rozsypywały się doszczętnie, że woły padały jak nigdy przedtem, to duma kołchozu, konie, dostały jakichś parchów czy innej francy, bo zaczęły tracić sierść, łysiały w zastraszający sposób, co dla bąków i much było rajem na ziemi. Nie pomogły nacierania naftą, smarowania startym prochem zmieszanym z jakimś zielskiem. Konie traciły siły, nikły w oczach. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jeśli zabraknie koni, kołchoz upadnie. Śmierć koni — to śmierć Ilinki.

Z Jawlenki przyjechał zootechnik i długo medytował, oglądając wzdęte, fioletowo szare grzbiety i brzuchy końskie, potem czegoś tam szukał w książce, w końcu zawyrokował:

— Trzeba będzie okadzać.

Natychmiast przystąpiono do budowy komór gazowych. Były to drewniane budki mogące pomieścić każdego konia. Jedynie głowa zwierzęcia pozostawała na zewnątrz. W takiej budce ustawiano wiadro z kawałkami siarki i ją zapalano. Siarka tliła się niebieskawym, pełgającym płomieniem wydzielając ostrą, zatykającą oddech woń. Konia pozostawiano na kilka godzin w tych oparach. Później, już po wyprowadzeniu, nacierano całą skórę roztartą na proszek siarką. Najbardziej praktyczną stroną tych weterynaryjnych zabiegów był fakt, że cała wioska zaopatrzyła się w siarkę, z której później robiliśmy zapałki. Co prawda przy ich zapalaniu (zajmowały się od płomienia) ostry smród wykrzywiał nas, za to taka zapałka nie gasła nawet na wietrze i ogień można było przenosić z jednej chałupy do drugiej. A konie? Konie po dawnemu łysiały, na ich skórze tworzyły się jątrzące rany, w tych ranach gzy i muchy składały jajeczka, z których wylęgały się białe robaki. Koniuch Wowka wlewał do tych ran karbol i klął na czym świat stoi przywołując Boga i Matkę Boską.

Wiosna roku 1945 była naprawdę niezwykła. Zaraz na początku maja nastał okres intensywnych burz, a pożary stały się czymś niemal codziennym. Płonęło wszystko: lasy, domy, step. Wieża strażnicza stojąca obok selsowietu od dawna przestała służyć strażakom i ktoś na jednej z desek wyrył kozikiem: *„Kałancza staraja, stałby gniłyje, skoro upadiot"*. Dlatego o pożarze stepu dowiadywaliśmy się wieczorami, kiedy horyzont rozświetlał się intensywną łuną. Wówczas ktoś dosiadał na oklep konia i pędził w noc, by przekonać się, jak daleko jest ogień od Ilinki. Jeśli był blisko, cała wieś wylegała z łopatami i kopała rów przeciwpożarowy.

9 maja 1945 roku przewodniczący selsowietu nakazał bić w dzwony (te dzwony, to rzecz umowna, były to bowiem kawałki żelaza zawieszone na drucie i przy uderzeniu w nie prętem wydawały dźwięk podobny do dzwonu). Przed budynkiem urzędu zjawili się ci, co akurat byli we wsi, bo większość wyjechała w pole jeszcze w kwietniu. Przewodniczący trzymał w rękach czerwony sztandar i portret towarzysza Stalina.

— Ludzie radzieccy — powiedział jakoś ochryple. — Wojna się skończyła!

Podniósł się niebywały wrzask.

— Ludzie — powiedział znów przewodniczący. — Wszystko już wiecie, więc wracajcie do roboty.

Wówczas wydarzyło się coś, czego nikt się nie spodziewał. Koniuch Wowka Lebiediew, który od chwili zwolnienia go z frontu, to jest od trzech lat, chodził na drewnianej podpórce, nagle ją odrzucił, wyprostował nogę i zaczął tańczyć kozaka. Inwalida wojenny ozdrowiał w jednej sekundzie. I to był jeden z cudów, jaki zdarzyło mi się widzieć w Północnym Kazachstanie. Lecz to już temat na zupełnie inną opowieść.

KONIEC

Panorama

CSRS

KARDYNAŁ Frantiszek Tomaszek — prymas Czech i Moraw — jak podał tygodnik „Katolike Noviny" wystosował protest do Filmu Czechosłowackiego przeciw zamiarowi kupna filmu „Ostatnie kuszenie Chrystusa". Zdaniem karynała Frantiszka Tomaszka film jest nieprawdziwy, a momentami przedstawia postać Chrystusa w sposób bluźnierczy. Według kardynała Frantiszka Tomaszka może w CSRS, podczas wyświetlania filmu, dojść do demonstracji, jakie miały miejsce w innych krajach Europy.

TELEWIZJA CSRS uruchomiła w miejscowości Votice silny nadajnik, który poprawił jakość odbioru telewizji czechosłowackiej, ale pozbawił mieszkańców Pragi możliwości oglądania I programu Telewizji Polskiej i utrudnił odbiór II programu TVP oraz telewizji NRD.

KOREAŃSKA REPUBLIKA LUDOWO-DEMOKRATYCZNA

PRZEDSTAWICIEL Koreańskiego Stowarzyszenia Stosunków z Zagranicą — Kang Dzong Il oświadczył dziennikarzom zagranicznym, że KRL-D nie będzie wzorem innych państw reformować swojej gospodarki czy systemu politycznego. Postępuje ona zgodnie z nakazami Kim Ir Sena. Nie będzie też oceniała, czy inni postępują dobrze, czy źle wprowadzając reformy. Gospodarka KRL-D — jak twierdzą dyplomaci zagraniczni akredytowani w Phenianie — jest wysoce wyizolowana i scentralizowana. Nie ma zupełnie prywatnej inicjatywy. Ulice Phenianu są czyste, a na ścianach domów widnieją plakaty wzywające do wytężonej pracy. Na placach budowy grają orkiestry dęte. Również z głośników umieszczonych na ciężarówkach rozlega się muzyka.

Zdaniem dyplomatów towary produkowane w KRL-D są niskiej jakości, eksportuje się głównie surowce dla zdobycia walut. Mimo różnych nacisków ze strony Chin i ZSRR i ich sojuszników, aby KRL-D weszła na drogę reform, nie ma takiej możliwości dopóki żyje i kieruje 76-letni przywódca Kim Ir Sen.

NRD

CENTRALNY dziennik partyjny „Neues Deutschland" zamieścił pod koniec marca 1989 roku całostronicowy artykuł Harry Nicka z Akademii Nauk Społecznych przy KC NSPJ, w którym autor broni zalet tradycyjnego, dogmatycznego socjalizmu. Jego zdaniem przeciwstawianie planu i rynku, to ulubiony chwyt ideologów burżuazyjnych w oczernianiu socjalizmu. Zdaniem Harry Nicka przyszłość socjalizmu leży nie we wprowadzaniu mechanizmów rynkowych, ale w znalezieniu nowych sił napędowych we własnych wartościach. Socjalizm powinien — jak pouczał Włodzimierz Lenin — „na swoją modłę i swoimi metodami" oddziaływać na zwiększenie wydajności pracy.

RUMUNIA

MIĘDZYNARODOWY INSTYTUT PRASY zwrócił się do Nicolae Ceausescu z apelem o zwolnienie aresztowanych dziennikarzy rumuńskich: Petre Mihai Bacanu i Antona Uncu z „Romania Libera". Aresztowano ich w styczniu 1989 roku wraz z Mihai Creanga z „Romania Pitoreasca" i linotypistą wydawnictwa „Scinteia". Oskarża się ich o propagandę przeciw socjalistycznemu państwu, za co w Rumunii grozi kara więzienia do 15 lat.

Zagraniczne agencje informują, że 62-letni poeta Dan Desliu ogłosił strajk głodowy, protestując w ten sposób przeciw przeprowadzonej 17 marca 1989 roku rewizji w jego mieszkaniu. Był to skutek wystosowania listu do Nicolae Ceausescu protestującego przeciw naruszaniu praw człowieka. A także donoszą o zwolnieniu z pracy w „Romania Literara" poety Mircea Dinescu, który opublikował wywiad we francuskim piśmie „Liberation". Jako powód zwolnienia podano, że „utrzymuje nieoficjalne kontakty z cudzoziemcami, w tym z dyplomatami".

WĘGIERSKA REPUBLIKA LUDOWA

RADIO WĘGIERSKIE nadało 2 kwietnia 1989 roku przemówienie kardynała Jozsefa Mindszentyego wygłoszone 3 listopada 1956 roku. Przemówienie, to określane było do tej pory jako kontrrewolucyjne, ale w momencie, gdy je kardynał wygłaszał uważane było za pokojowe i konstruktywne. Obserwatorzy zwracają uwagę, że wiele myśli zawartych w tym przemówieniu powtarzają dziś polityczni przywódcy Węgier, w tym działacze WSPR.

Kardynał Jozsef Mindszenty przebywał w więzieniu od 1948 do 1956 roku, a pod koniec 1956 roku schronił się w Ambasadzie USA w Budapeszcie, gdzie przebywał do 1971 roku. Resztę życia spędził w Wiedniu. Umarł w 1975 roku. Minister stanu w MSZ oświadczył w Watykanie, że istnieje możliwość ponownego rozpatrzenia sprawy, w wyniku której kardynał Jozsef Mindszenty został skazany w 1948 roku.

ZSRR

BRACIA Arkadij i Boris Strugaccy ogłosili na łamach „Ogońka" protest przeciwko wydanemu w styczniu 1989 roku „Rozporządzeniu o trybie dopuszczania i przebywania przedstawicieli środków masowego przekazu w miejscach prowadzenia działań zapewniających zachowanie porządku publicznego". Ich zdaniem jest to rozporządzenie ograniczające wolność słowa. Dziwią się, że poparł je Związek Dziennikarzy ZSRR.

NA STAŁE Z ZSRR wyjechało w pierwszym kwartale 1989 roku 8 735 osób pochodzenia żydowskiego. Jest to najwyższy poziom emigracji Żydów z ZSRR od 10 lat.

Opracował:
W. BOROWY

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

16

Ponadto trzeba by się zastanowić nad ofertą tego emeryta powsinogi, który kilka razy dziennie zmienia strój i odęty jak kwoka przemierza w tę i z powrotem podwórko. Ich parterowe mieszkania graniczą ze sobą przez ścianę, a powsinodze zmarła niedawno kobita, więc gdyby mu dać pół miliona, chętnie odstąpiłby im jeden pokój. Zdrojewski wyrąbałby mur i zainstalował drzwi, dzięki czemu dziecko miałoby przyzwoite warunki rozwojowe, zaś karmiącej matce nie warzyłoby się z nerwów mleko. Cyca przy czeladniku, to ona ssać nie pozwoli, już i tak ten funfel podgląda ją na każdym kroku.

W tej sytuacji pieniądze były Gustawowi istotnie potrzebne, natomiast duże pieniądze, te, o których wspomniał Bernard, mogłyby w ogóle rozwiązać wszelkie problemy życiowe szewca. A motór nowy to by się nie przydał? A gdyby tak iść na całego i kupić samochód?

Kopyto palił papierosa za papierosem i oddawał się marzeniom w swojej chatce na terenie ogródków działkowych. Grzał go ten szmal od Bernarda, jak by nie brać — dwieście tysięcy, lecz dwieście tysięcy, a piętnaście milionów, to ogromna różnica. Warto siąść do stołu o taką stawkę, chociaż jednym z partnerów będzie tu więzienie lub śmierć.

Gustaw odczuwał lekkie wyrzuty sumienia, że już na początku zlekceważył rady i wskazówki Bernarda, który polecił mu wyszukać na obrzeżach Łodzi jakieś ciche i bezpieczne, nie rzucające się specjalnie w oczy miejsce na postój. Nie mógł to być w żadnym wypadku parking strzeżony; raczej skwer pod fabryką lub betonowy plac wśród bloków, gdzie pojazd nie zwróciłby niczyjej uwagi. Całą sobotę krążył Gustaw po mieście i nie znalazł żadnego odpowiedniego postoju, gwarantującego pojazdowi względną anonimowość i jakie takie bezpieczeństwo. Przyczyną tych niepowodzeń było silne i niezłomne przekonanie szewca, iż wbrew temu, co mówił Bernard, najlepiej szukać zawsze blisko domu i że takie miejsce już jest — pewne, wymarzone, nie do wykrycia, aczkolwiek Bernard nie zaakceptowałby go pod żadnym względem.

Kopyto nie spał dobrze tej nocy. Rano, zgodnie z tym, co przykazał mu Bernard, powinien wsiąść w pociąg i pojechać do Warszawy, tymczasem Gustaw, włożywszy na siebie sweter, ciepłą kurtkę i buty z długą cholewką, wziął z dworca taksówkę i udał się do Tuszynka. Był trzeźwy, nie ruszył wina, dotrzymał w tej mierze przyrzeczeń. Te dwieście tysięcy nie dawały mu jednak spokoju; przyzwyczaił się do nich i polubił je serdecznie, toteż usilnie szukał sposobu, aby ich nie wydawać i nie tracić.

W ręku niósł Gustaw zniszczoną torbę na ekspres. Przespacerował się z nią wzdłuż szeregu niskich domków o wylizanych brązową farbą drzwiach i zielonych parapetach. Psy ujadały na niego przez siatkę, lecz ludzie nie zwracali na tę zbiorową psią histerię żadnej uwagi; ludzie odsypiali jeszcze sobotni ochlaj, a ci, co wypili najwięcej i trzeszczało im w głowie, maszerowali już z wielu stron do narożnego, położonego blisko szosy bistra z czerwonej cegły, gdzie można było pokrzepić nadwątlone zdrowie piwem i lemoniadą.

Słońce stało już nad ścianą lasu, rosa dosychała na trawie, w drzewach świergoliły ptaki; pogranicze województwa łódzkiego i piotrkowskiego przeżywało swój pogodny niedzielny ranek z ufnością w przyszłość wielkiego narodu; kilkudziesięciu mężczyzn w różnym wieku oblegało bistro od wewnątrz i od zewnątrz żłopiąc prosto z butelek, które piały w niebo jak trąby reprezentacyjnej orkiestry wojskowej.

Niektórzy panowie przyjechali na tę miłą wiosenną sesję rowerami i motocyklami, Gustaw odniósł się jednak do tych pojazdów sceptycznie. Ruszył z papierosem w zębach w głąb osiedla, minął prywatną restaurację, dostępną wieczorami dla prawdziwie bogatego towarzystwa, pooglądał sobie trochę ogródki, garaże i szopy, po czym, zniechęcony, wrócił w okolice bistra, aby zmieszać się z czeredą niedzielnych opojów.

Nie znalazł tego, czego szukał, i był zły. Instynkt sprawił mu przykrą niespodziankę. Nawalił! Bernard rozliczy go z nie wykonanych zadań i skreśli ze swoich planów, nie mówiąc już o dwustu tysiącach, które trzeb będzie natychmiast oddać. Żałował, że nie pojechał jednak do Warszawy pociągiem. Teraz już na taki manewr jest za późno.

Obserwował nie bez zazdrości parę, która zboczyła z szosy i przystanęła nie opodal bistra na imponującym Harleyu Davisonie. Był to egzemplarz z lat czterdziestych, pięknie odrestaurowany, czyli, mówiąc językiem fachowców, zrobiony na oryginał. Prowadził chłopak, a z tyłu, na wysokim siodełku spoczywała dziewczyna. Chłopak miał na sobie czarny skórzany kombinezon, wysokie, niewątpliwie zagraniczne buty o potężnych spodach, biało-czerwony, okręcony wokół szyi szal, długie rękawice i kask. Dziewczyna też była w kasku, w modnej ocieplanej kurtce z beżowego weluru, obciślej, pękającej na biodrach spódnicy, w wełnianych podkolanówkach i pantoflach na płaskim obcasie. Obydwa kaski kłóciły się najwyraźniej, aby opaść wreszcie i ukazać pospólstwu twarze o zdrowych i urodziwych, wykrzywionych jednak gniewem rysach.

Para musiała być w tych stronach znana, gdyż w otaczającej Gustawa szpanie łobuzów nastąpiło znaczne ożywienie. Padały mało pochlebne uwagi pod adresem chłopca, pochodzącego prawdopodobnie z zamożnej badylarskiej rodziny, co do dziewczęcia zaś, to mogło wywodzić się ono z domu podlejszej kondycji, bowiem szpana używała na nim ile wlezie.

— Panią odstawia, zapomniała, jak łaziła ze mną w las — stwierdził przesterowanym nieco tonem niski łobuz o perkatym nosie.

— Łaziła albo nie łaziła — zauważył kąśliwie inny łobuz — Wiadomo, że waliła się z Józkiem i Heniutą, ale ty, Wacek, nie masz świadków.

— Nie mam świadków? Nie mam?! — zachrypiał z oburzenia i wściekłości perkaty osobnik. — Zapytajta mojej siostry, to wam powie!

— Siostrze można wcisnąć każdy bajer — włączył się układnie do sporu trzeci nicpoń. — Szkoda nawet gadać, Wacek, nie byłeś z nią nawet w lesie na grzybach.

— Ludzie kochani! — Perkaty młócił pięścią swoje chuderlawe piersi, a w jego upokorzonych, głęboko dotkniętych oczyskach szkliło się od łez. — Wysmyczyłem ją co najmniej dziesięć razy; nie wierzyta, to patrzta, co powie, jak jej to rąbnę prosto z mostu w twarz!

Zrobił przed siebie kilka zamaszystych kroków i przystanął zaskoczony, gdyż dziewczyna, wymachując kaskiem, biegła mu jakby na przeciw. Wargi Perkatego rozjechały się w niepewnym uśmiechu prezentując uzębienie, w którym próchnica poczyniła już znaczne postępy. Wyciągnął ręce zamierzając niby chwycić ją w objęcia, ale wyminęła go w ostatniej chwili i weszła do bistra, aby wypłynąć znowu po kilkunastu sekundach na świeży luft. Obydwie dłonie miała teraz zajęte — w jednej był kask, w drugiej butelka oranżady. Wzięła pewny kurs na Harleya Davisona, ale podpuszczony przez szpanę Wacuś zastawił jej drogę i jąkając się z wrażenia wydukał:

— Czcześć Krycha!

— Cześć! — Dziewczyna obcięła go błyskiem źrenicy, z czego mogłoby ewentualnie wynikać, że twarz Perkatego nie jest jej zupełnie obca.

Chciała odejść, lecz łobuzy otoczyły ją ciasnym kręgiem.

— No jak będzie, Wacek? — judził z obleśną miną ten, który stał obok szewca.

— Z czym? — Perkaty myślał, że już dostatecznie udowodnił swą duchową i fizyczną bliskość z panną, koledzy byli jednak odmiennego zdania.

— Miałeś ją odpytać!

— Mogę pytać!

— Więc pytaj!

— Powiedz no im — zwrócił się Perkaty do dziewczyny — jak to było.

— Co było?

— Wszystko.

— Jakie: wszystko?

— Między nami.

— Idź żesz ty, łapciuchu jeden! — Dziewczyna pchnęła go kaskiem i próbowała opuścić szpanę, ubawioną na pozór, w gruncie rzeczy jednak podnieconą w namacalnej obecności tego sterczącego biustu, tych wspaniałych bioder i tych krągłych lekko krzywych nóg.

Każdy z osobna miałby się przed nią na baczności, bowiem nawet jeśli kiedyś była w dole, dawno już wygrzebała się z niego na wysokie szczeble dobrobytu — pachniała, jak nie pachniały inne dziewczyny, miała na wargach inną szminkę, a na powiekach innych tusz.

W grupie przecież nie brakło draniom odwagi, podkręconej przez piwo i nie dopalone jeszcze resztki wczorajszego samogonu.

— Ale z Heniutą się grzałaś?

— I z Józkiem tyż!

— Proszę mnie puścić!

— Nikt cię nie trzyma!

Dotykali ją z przodu i z tyłu. Któryś pocałował świeży, pokryty kropelkami potu kark. Tłuścioch o zmarszczonym z pożądania czole doszukał się piersi, a jakiś popędliwy, korzystając z okazji niedorostek podciągnął do góry spódnicę.

Broniła się; tłukła po łbach butelką i kaskiem, wrzasnęła wreszcie:

— Pietrek, Pietrek!

Chłopak zeskoczył z Harleya i runął na odsiecz. Kochał swoją dziewczynę wiedząc, że i ona go kocha. Kłótnie nie miały tu nic do rzeczy — byli sobie przeznaczeni, wcześniej czy później groził im ślub.

Gustaw drgnął patrząc na porzucony motocykl, a potem upadł nieomal, gdyż chłopak, biorąc go za jednego z łobuzów, przyłożył mu w szczękę. Szalał! Prał z obydwu rąk jak maszyna; twarda pięść trafiła Perkatego prosto w zęby i poczyniła w nich spustoszenie. Dwóch innych też odpluło zębami i krwią, ale był tam starszy wiekiem, podobny trochę do Gustawa rębajło, który nadział dosłownie chłopaka na hak swojej potężnej, wystrzelonej z dołu graby.

Nikt nie zwracał uwagi na szewca sunącego chyłkiem w stronę motoru. Wciąż trwała ostra i bezpardonowa walka z udziałem rozwścieczonej jak lwica dziewczyny, która drapała, gryzła, wierzgała, dusiła, wyrywała garściami włosy z nastroszonych łbów, pacnęła wreszcie na chodnik obok swego kawalera, aby zasłonić go własnym ciałem, jako że szpana zamierzała uruchomić obcasy.

— Ratunku, na pomoc! — krzyczała, podczas gdy palec półprzytomnego chłopca celował gdzieś nisko nad ziemią, a rozkwaszone usta szeptały:

— Tam, tam.

— Co, Piotruś?! Najdroższy, kochany!

— Motor.

— Ludzie, oni go zabiją!

Gustaw kopnął starter i wskoczył na siodełko. Harley detonował całą mocą silnika i oderwał się od piaszczystej drogi wzniecając za sobą tumany kurzu. Pruł w kierunku przeciwnym do szosy i niebawem zdematerializował się w powietrzu tak, jakby go nigdy w ogóle nie było, jakby stanowił tylko osnowę czyjegoś zuchwałego marzenia.

Chłopak wstał blady z bólu i wyczerpania. Drogi skórzany kombinezon naderwany był u kołnierza, u wszycia obydwu rękawów i wzdłuż lewej nogawki. Dziewczyna patrzyła na to i płakała, natomiast zmaltretowany potomek badylarza myślał tylko o Harleyu Davisonie.

Kombinezon nie miał tu żadnego znaczenia, ważny był jedynie motocykl i zemsta nad szpaną, która opuściła plac boju w zawrotnym tempie. Pójdą siedzieć! Kolegium, to mało: proces! Chłopak żywił niezłomne przekonanie, że łobuzy sprowokowały awanturę wyłącznie po to, żeby mu ukraść motor. Żartów im się zachciało! Ale on ich oduczy żartów! Po dwa — trzy lata dostaną, gdyż była to regularna napaść, regularne pobicie i regularna grabież!.

W duszy wszelako chłopak nie rozpaczał specjalnie, przekonany, że Harley znajdzie się zaraz w rowie najbliższej przecznicy albo w lesie pod drzewem. Jak go uszkodzili, jeśli w ogóle można uszkodzić takiego smoka, który brał udział w drugiej wojnie światowej, to zapłacą — za każdą rysę, za każde, najmniejsze nawet wgniecenie!

— Gdzie tu jest telefon?

— Nie wiem, Pietrek, można spróbować w restauracji.

Trębacz oderwał od ust butelkę i powiedział:

— Nieczynna.

Reszta orkiestry obserwowała parę z mieszaniną satysfakcji i współczucia.

— Kto chce świadczyć? — rzucił chłopak przez zęby.

Orkiestra nie chciała świadczyć; orkiestra odwróciła się bokiem i trąbiła w drugą stronę, aby nie psuć sobie stosunków ze szpaną i jej rodzicami. Jednakże właściciel bistra miał w tej kwestii inną kalkulację. Właściciel bistra szanował ludzi bogatych, więc huknął od drzwi:

— Ja będę świadczył, panie Piotrku!

— Napaść?

— Napaść!

— Pobicie?

— Pobicie!

— Grabież?

— Grabież! A telefon znajdziesz pan w czwartym domu po lewo, u Nowaka.

Wsparty o ramię narzeczonej chłopiec pokuśtykał do Nowaka, który był wziętym i cenionym w okolicy stolarzem.

— Ajajaj! — zajodłował z wymuszonym smutkiem znakomity rzemieślnik. — Słyszałem już o pańskim nieszczęściu, słyszałem! Kawy, herbaty?

— Nie. Mogę zadzwonić?

— Jasne! — Wskazał aparat w holu, gdzie nie było ani boazerii, ani nawet drewnianego wieszaka, za to rozpościerał się ohydnie od sufitu pokaźny zaciek. — Dzwoń pan, niech zrobią wreszcie z tą żulią spokój!

Chłopak wybrał domowy numer milicjanta i powiedział z naciskiem:

— Pan musi natychmiast przyjechać do bistra, panie Grzelak.

— Kto mówi? — zapytał udręczony głos po drugiej stronie przewodu.

— Piotr Słowikowski.

— Co się stało?

— Napaść, pobicie, grabież i znieważenie mojej dziewczyny.

Milicjant milczał chwilę, ale ta chwila starczyła, aby posłał do wszystkich diabłów swój niewdzięczny zawód i swój parszywy los. W niedzielę, kurwa jego mać! I to po weselu!

— Jadę!

— No to ja się bardzo cieszę, że pan jedzie! Tata też się napewno ucieszy!

W momencie, kiedy syn badylarza relacjonował milicjantowi pod bistrem szczegóły dramatu, Gustaw wpadł z piotrkowskiej drogi na Gierkówkę i odbił w lewo.

To nie był motocykl. To była burza! To było prawdziwe szaleństwo! Harley połykał kilometry z nienasyconą żarłocznością, reagując na każde drgnienie ręki niczym rasowy wierzchowiec. Wyprzedzał z dziecinną łatwością mercedesy, mazdy, volva i polonezy. Liczył już czterdzieści kilka lat (o Harleyu mowa, nie o jego rówieśniku Gustawie), nikt nie mógł jednak sprostać mu w brawurze i gracji.

Szewc był raczej przeżuwaczem życia niż smakoszem, ale tym razem rozpierała go pycha i radość. Rwać tak na krańce świata, byle dalej! Oby się to nigdy nie skończyło! Chłód dopiero ostudził jego sportowe ambicje. Mimo upalnego dnia wiatr przeszył go do szpiku kości. Wyhamował w stolicy, minął Wolę i Śródmieście, skręcił w Marszałkowską i ruszył na Żoliborz. Niebawem stanął w pobliżu giełdy samochodów na Bemowie.

Nadszedł przykry moment pożegnania. Harley był tylko środkiem transportu, niczym więcej; Gustaw musiał go porzucić w którejś z bocznych uliczek, a potem dokonać na giełdzie właściwego zakupu. Wszystko jednak buntowało się w nim; żal było Harleya, żal było również dwustu tysięcy. Przyzwyczaić się do czegoś, to jest straszna rzecz, a Gustaw miał tę brzydką przywarę, że przyzwyczajał się do dóbr materialnych w oka mgnieniu.

Trzeba jednak to zrobić, trzeba! A głos wewnętrzny protestował; nie trzeba!

Jak to: nie?

Bo nie!

Ale tam! Maszyna jest spalona. Łapsy pewnie już jej szukają. Lepiej cisnąć ją do rowu i odejść w porę niż siedzieć.

Tocząc ze sobą ten dramatyczny bój Gustaw zdjął z głowy swój własny, zniszczony kask, który założył przed Piotrkowem, i wepchnął go do swojej własnej, zniszczonej torby.

Trudno!

Głupek z ciebie!

Wcale nie głupek!

Taki motór!

Ni ma rady.

Prawda, podniesiona noga zawisła w górze. Już chciał zsiąść, ale nie zsiadł. Przyglądał się z uwagą motocykliście, który opuścił tłoczny plac giełdowy i nadjeżdżał wolno prawą stroną drogi, aby zrównać się po chwili z Gustawem.

C.D.N.

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

— Zamierzacie panowie powołać Zespoły Filmowe grupujące twórców krótkiego metrażu, jakie okoliczności skłoniły panów do podjęcia takiej decyzji?

— Wytwórnia Filmów Oświatowych od dawna nie jest przystosowana do zmieniających się warunków gospodarowania w naszym kraju — mówi Władysław Wasilewski. — Do schyłku lat siedemdziesiątych było to przyzwoicie działające przedsiębiorstwo. Obecnie dyktat wykonawczy dotkliwie zyskał przewagę nad stroną programową produkcji filmowej, która z roku na rok słabnie. Coraz częściej projekty filmów ambitnych upadają (np. dogorywający serial telewizyjny o pomnikach kultury polskiej czy serial o sylwetkach przedstawicieli nauki polskiej) na korzyść produkcji byle jakiej, nikomu niepotrzebnej. O takim stanie rzeczy tę sytuację. Redaktorzy telewizyjni wzbogacą swoje programy o ciekawy materiał ilustracyjny, zaś nasi koledzy zafunkcjonują w świadomości widzów, a przy okazji zostanie odrzucony „filmowy szmelc".

— Jakie mają mieć oblicze zespoły, jak mają funkcjonować? — pytam Władysława Wasilewskiego.

— Obecnie jesteśmy w podobnej sytuacji, jak koledzy z fabuły, którzy występują do Komitetu Kinematografii o pozwolenie na samodzielność finansową. Hoffman, Chmielewski, Morgenstern i Majewski chcą się wyzwolić spod kurateli dyrektora Przedsiębiorstwa Producentów Filmowych, który ma konto w banku i rozdziela pieniądze na poszczególne zespoły filmowe. Chcą być niezależnymi producentami mającymi do dyspozycji fundusz filmowy, którym będą samodzielnie rozporządzali. My dążymy do podobnego modelu i w tym sensie podobnie jak fabularzyści wyprzedzamy nową ustawę o kinematografii. Mamy nadzieję, że Komitet Kinematografii zgodnie z duchem czasu poprze proponowaną przez kolegów koncepcję i Sejm zatwierdzi poprawki w czasie sesji wiosennej. Dzięki temu naszą działalność moglibyśmy zacząć w nowej formule.

— Czy nie obawia się pan, że forma Zespołów Filmowych jest przestarzała?

— Dla fabularzystów pewnie tak jest, ale dla nas to nowość. Zależy nam, aby w naszych zespołach wytworzyć taką przestrzeń myślową, taki klimat, aby ludzie należący do naszego grona działali w poczuciu, że pozostali koledzy są głęboko zainteresowani ich realizacjami filmowymi. Liczymy na to, że ten zespół będzie czymś więcej niż zwyczajnym biurem z szefem i sekretarką — jak to ma miejsce w fabule — gdzie reżyser składając scenariusz otrzymuje honorarium. Chcielibyśmy wytworzyć atmosferę wzajemnej dyskusji, która nie kończy się „biciem piany" tylko zaowocuje twórczym działaniem. To jest konieczny mikroklimat dla twórczej pracy reżysera. Zależy nam na skupieniu wokół zespołów ludzi nieetatowo związanych, którzy swoim odmiennym sposobem widzenia świata, swoją postawą, wiedzą mogą przyczynić się do urozmaichomienia wyobraźni naszych kolegów... Dobrze byłoby znaleźć także miejsce dla eksperymentu filmowego...

— Czy inne wytwórnie filmów krótkometrażowych także podjęły podobne działania? — pytam Zygmunta Skoniecznego.

— My jesteśmy pierwsi, być może inne wytwórnie nie znajdują się w tak trudnym położeniu. Nasi reżyserzy bardzo silnie odczuli, że ich zainteresowania, ich poszukiwania wcale nie są brane pod uwagę. Produkcja filmowa coraz częściej zostaje wymuszona względami ekonomicznymi, w imię dobra całej załogi. Coraz częściej byliśmy spychani na margines, podczas gdy zastępowali nas ludzie „jednorazowi", zewnętrzni wobec WFO, dla niej wygodniejsi... Poczuliśmy się zagrożeni.

— Ile ma być zespołów i jaka będzie specyfika każdego z nich?

— Myślimy o trzech. Zespoły będą o profilu takim, o jakim jest wytwórnia, to znaczy z nastawieniem edukcyjno-oświatowym, z możliwością i koniecznością zachowania współczesnego języka filmowego i wszystkiego tego, co decyduje o żywym kontakcie z widzem. Do tej pory produkcja filmowa wytwórni dzielona była na poszczególne specjalizacje w ramach określonych redakcji (np. pula filmów o sztuce, pula filmów społeczno-politycznych, instruktażowych, przyrodniczych itd.). Uważam, że ten podział był sztuczny. Teraz filmy powinno dzielić się wokół tematów lub problemów. Mój zespół — powiada Skonieczny — będzie podejmował problematykę życia wsi, a zatem będą się tutaj skupiały wszystkie filmy ukazujące krajobraz, etnografię, ludzi wsi itd.

Grupuję zatem wokół siebie reżyserów, którzy przejawiają zainteresowania: przyrodą, socjologią wsi etnografią i tych którzy służyli bardzo określonym tematom związanym z wsią (np. leśnictwem, rybołówstwem). Wydaje mi się, że dzięki temu, także film użytkowy nabierze pewnej szlachetności, nie tylko w treści, ale także w formie. Możliwości samokształceniowe, dyskusje wzajemne w łonie zespołu będą eliminowały produkcję o niskiej jakości, przynajmniej takie są oczekiwania. Zespół W. Wasilewskiego ma łączyć wspólną troskę o ochronę naturalnego środowiska człowieka, szeroko rozumianego. Nie tylko jako środowiska przyrodniczego, fizycznego, ale także przestrzeni myślowej i moralnej. Jest to bardzo pojemne ujęcie problematyki filmów o profilu oświatowo-edukacyjnym, integrujące reżyserów podejmujących realizacje tematów z wielu dziedzin.

O trzecim zespole najlepiej, gdyby jego przedstawiciel się wypowiedział, ale oni są na etapie dopiero dogadywania się.

— Kiedy jest szansa, że Zespoły Filmowe rozpoczną swoją uzdrowicielską działalność?

— Chcielibyśmy jak najszybciej, ale... — mówi Wasilewski. — Cierpliwie czekamy na przychylną opinię.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

„Zgodnie z duchem czasu"

Rozmowa z reż. filmowymi WŁADYSŁAWEM WASILEWSKIM i ZYGMUNTEM SKONIECZNYM.

A może do kina?

Zanim ten film wszedł na ekrany było o nim aż nadto głośno. **„Piłkarski poker" Janusza Zaorskiego,** to film o którym się mówi, szczególnie — i to w różnej tonacji — w światku piłkarskim. Były piłkarz, który stał się sfrustrowanym sędzią piłkarskim, postanawia dać nauczkę skorumpowanym działaczom. Za co? Za doprowadzenie ligi piłkarskiej do... komercjalizacji.

W filmie występują: **Janusz Gajos, Małgorzata Pieczyńska, Marian Opania, Mariusz Dmochowski, Jan Englert, Edward Lubaszenko, Mariusz Benoit.** Już ta bodaj wyliczanka znaczących nazwisk gwarantuje dobrą zabawę.

Fakty ◆ Plotki ◆ Anegdotki

✶ Ostatnie dni przyniosły dwa premierowe pokazy filmowe. 11 bm. w kinie „Wisła" w Łodzi odbyła się uroczysta premiera filmu **Zbigniewa Kuźmińskiego pt. „Desperacja"** z udziałem realizatorów. Premierze towarzyszą pokazy filmów tego reżysera. Odbywają się w kinie „Gdynia" non-stop — od godz. 9.00 do 22.00. Na dzień 13 bm. zapowiedziano w kinie „Bałtyk" uroczystą premierę głośnego już w kraju filmu **„Piłkarski poker"** z udziałem realizatorów. Tej premierze także towarzyszył przegląd filmów reżysera **Janusza Zaorskiego,** który odbył się w kinie „Młoda Gwardia".

✶ W ub.r. wyprodukowaliśmy w Polsce 30 filmów fabularnych i 448 krótkometrażowych, rok wcześniej — 35 fabularnych i 515 krótkometrażowych. Liczba kin spadła w Polsce o 133. Nasza kinematografia była obecna na 300 filmowych imprezach międzynarodowych i zdobyła liczne laury.

✶ Na Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym w Monte Carlo „Złotą Nimfę" przyznano (w kategorii seriali) **„Pociągowi Lenina" Damiano Damianiego.** Główną rolę odtwarza aktor brytyjski **Ben Kingsley** (pamiętny z roli Gandhiego). Dużym wydarzeniem na tym festiwalu był pokaz filmu kanadyjsko-włoskiego, pt. **„Przed sklepem jubilera", wg utworu Karola Wojtyły z Burtem Lancasterem, Danielem Olbrychskim i Olivią Hussey w rolach głównych.**

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

13 kwietnia — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

20 kwietnia — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

RELACJA Z REPORTERSKIEGO DYŻURU W DNIU 6 KWIETNIA 1989 R.

Zadzwonił do mnie Czytelnik z pretensjami, że nasz telefon: 36-77-70 „jest czasowo wyłączony". Pewien starszy pan zadzwonił kiedyś do redakcji z pretensjami, że „panienki w centrali specjalnie wyłączają telefony, żeby mieć mniej roboty, a same w tym czasie piją herbatę". I jakoś nie mógł zrozumieć, że centrale mamy automatyczne, które herbaty nie pijają. — No, dobrze — powiedział starszy pan — to dlaczego mówią mi w słuchawce, że „nie ma takiego numeru", skoro wiem, że jest?

No, właśnie! Może wojewódzka dyrekcja przedsiębiorstwa „Poczta Polska, Telegraf i Telefon" nam to zechce wreszcie wytłumaczyć, a my to przekażemy Czytelnikom, aby więcej nie było nieporozumień.

Pan **Tadeusz Milczarek** podzielił się ze mną licznymi uwagami na temat naszego marnotrawstwa. Na przykład wszelkie opakowania po kosmetykach są wyrzucane, bo nikt tego nie skupuje. Nie skupuje się niektórych rodzajów butelek. Pan Tadeusz Milczarek jest emerytem i na przykład nie stać go na kupno pół litra spirytusu. A spirytus potrzebny jest też do celów leczniczych. Kupuje więc w butelkach po 100 gram, a tych butelek nikt później nie chce. Pan Tadeusz Milczarek obliczył, że gdyby ktoś kupił 5 butelek spirytusu po 100 gram, to zapłaciłby za pół litra drożej niż w jednym opakowaniu. Zdaniem naszego Czytelnika producent w ten sposób powiększa swój zysk. Ze swej strony mogę tylko dodać, że przez lata wielu dziennikarzy sporo pieniędzy już zarobiło pisząc o surowcach wtórnych, z mizernym — jak widać — skutkiem. Pewnie młodsze pokolenie dziennikarzy też na tym sporo zarobi. Niestety!

Pani **X** (wszystkie dane tylko do wiadomości redakcji) dziwi się bardzo, że w Łodzi jest tylu ludzi w różny sposób uprzywilejowanych. Widzi to po kolejkach w sklepie mięsnym. Z jednej strony stoją „normalni", czyli bez przywilejów. Z drugiej ci z przywilejami. Przed świętami jedna pani miała aż 6 kartek uprzywilejowanych. Skąd to się bierze? — zastanawia się pani X i ma brzydkie podejrzenia. Moim zdaniem wszystko to się skończy wraz ze zniesieniem kartek. Poczekajmy.

Pani X zwraca też uwagę na zbytnie szafowanie różnymi tytułami. Oto na przykład DH „Magda" jest sklepem wzorcowym. Ale co to za sklep, w którym nie można kupić torby foliowej, gdy jest potrzebna, wielka lada chłodnicza stoi pusta, nie ma w niej żadnych mrożonek, a masło i ser trzeba kupować w osobnym stoisku i dwa razy stać w kolejce. Raz kupując masło lub ser, dwa — przed wyjściem ze sklepu.

Zdaniem pani X wielu kierowców popełnia poważny błąd zbyt późno sygnalizując skręt w lewo lub prawo. Sygnalizuje też niebezpieczne dla pieszych skrzyżowanie Łagiewnickiej z Okólną, gdyż przechodzą tam często dzieci. Opisała też 20-metrowy odcinek na Okólnej, gdzie krzaki włażą na jezdnię i mimo próśb nikt ich nie przyciął. Piesi nie mają, gdzie się chronić przed rozpędzonymi samochodami. A na dodatek nie pali się tam w nocy żadna lampa.

Pani **Małgorzata Pawelska** narzeka na brak lodowisk. Dzieci mogą korzystać ze ślizgawki tylko podczas ferii zimowych. W Hali Sportowej nie ma nawet godziny, kiedy dzieci mogłyby poślizgać się na lodzie. Kupuje im się łyżwy, uczą się jeżdżenia na łyżwach i szybko z nich wyrastają. Rozumiem, że pani Małgorzata Pawelska jest za budową w Łodzi sztucznych lodowisk. Ja też. Tylko że z tego zupełnie nic nie wynika. A może sportowe władze miasta zastanowią się nad tym? Może jakiś sposób by się jednak znalazł, bo Hala Sportowa bardziej nam się robi halą targową niż sportową.

Pan RD (dane tylko do wiadomości redakcji) zwraca uwagę na arogancję urzędników. Wiele podobnych uwag spotyka się w listach od Czytelników. Jego zdaniem, gdyby zorganizowano w Polsce konkurs na najbrudniejsze miasto, to wygrałaby ten konkurs Łódź. Milicja powinna surowo karać za zaśmiecanie miasta, ale milicji jakoś na ulicach nie widać. Było już postanowione, że samochody dostawcze, które przywożą do sklepów towar miały nie parkować na chodnikach. Ale oczywiście parkują.

Pan RD zastanawia się też, czy znajdzie się jakiś dyrektor fabryki, który ujawni, ilu pracowników administracji przesunął do produkcji i zastanawia się dalej, czy dowożono by tylu pracowników, spoza Łodzi, gdyby za transport mieli płacić sami dyrektorzy. Moim zdaniem pan RD myśli zbyt abstrakcyjnie. Ale niech z nim polemizują dyrektorzy.

Pan **Andrzej Dutkiewicz** pyta, czy „Odgłosy" przymierzają się do druku „Szatańskich wersetów", a jeśli nie, to czy ze względu na strach? Zostałam upoważniona do wyjaśnienia, że posiadamy polskie tłumaczenie fragmentów „Szatańskich wersetów", ale nie będziemy ich publikowali. Nie ze strachu wszakże, chociaż dobro tłumacza też jest nam drogie. Po prostu dla polskiego Czytelnika nie ma w tym nic interesującego, ani bulwersującego. To jest zdanie kierownictwa, z którym niekoniecznie się muszę godzić.

Pan **Jerzy B.** — mieszkaniec Retkini (dane w moim posiadaniu) protestuje przeciw temu, co dzieje się wokół stadionu ŁKS w dni, kiedy jest tam giełda. Służby porządkowe nakazują wówczas parkowanie na chodnikach i trawnikach. Robi się bałagan i niszczy się otoczenie stadionu. Pan Jerzy B. rozumie, że ŁKS musi zarabiać pieniądze, bo wszyscy muszą, ale jest też granica kosztów tego zarabiania. Zdaniem pana Jerzego B. granica ta w przypadku stadionu ŁKS została przekroczona. Byłoby dobrze, aby służby porządkowe miasta przyjrzały się bliżej tej sytuacji!

Pan **Marian Paszkowski** sporo przeżył i chciałby się swoimi przeżyciami podzielić z Czytelnikami „Odgłosów". Zaprosiłam więc pana Mariana Paszkowskiego na rozmowę do redakcji. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Przy okazji uwaga natury ogólniejszej. Ostatnio modne są wspomnienia z lat wojny. To bardzo dobrze, ale nie wszyscy, którzy wtedy mieli różne przeżycia potrafią je odpowiednio przekazać, tak aby mogło to zainteresować innych. Powstają z tego powodu nieporozumienia i rozgoryczenia. Niepotrzebnie. Nie wszyscy wszystko wszystkim muszą opowiadać. Nie wszyscy potrafią. Takie jest życie.

BOGDA MADEJ

EKORNO, EMA-EKOMA, ETOB, ZEKOM
Główni udziałowcy Sp. z o.o.
PRZEDSIĘBIORSTWO INNOWACJI ORGANIZACYJNO-TECHNICZNYCH
INFORG
OFERUJĄ:
★ SPRZĘT INFORMATYCZNY
★ OPROGRAMOWANIE
★ WDROŻENIA
najniższe ceny!
Naszym Klientom zapewniamy:
☆ Najlepszych specjalistów,
☆ Najwyższą jakość i skuteczność instalowanych systemów,
☆ Wieloletnie gwarancje i serwis.
PRZEDSIĘBIORSTWO INNOWACJI ORGANIZACYJNO-TECHNICZNYCH Sp. z o.o.
Łódź, al. Mickiewicza 20
tel. 36-45-12; 36-72-11 w. 166
telex: 886625 ekorno inforg
Komfort informatyczny dla użytkowników

· polemiki · listy · opinie · polemiki · listy · opinie ·

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

LIST OTWARTY DO PREZYDENTA MIASTA ŁODZI

Zarząd Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich Okręg — Łódź zwraca się do Pana, Panie Prezydencie o pomoc w sprawie dramatycznej sytuacji lokalowej Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi.

Minęły ponad dwa miesiące od wydania nakazu o zamknięciu części obiektu Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego, co spowodowało w rezultacie konieczność niezbędnych przemieszczeń zbiorów bibliotecznych oraz przygotowanie do przeniesienia poza bibliotekę kilkudziesięciu tysięcy książek i czasopism. Zbiory przeznaczone do wywozu znalazły się tymczasowo w jedynym odpowiednim do składowania pomieszczeniu tj. w czytelni ogólnej, w związku z czym i ona została również wyłączona z użytkowania dla czytelników.

Kłopoty lokalowe ma także pracownia poligraficzna i introligatornia Biblioteki, choć zdawać się mogło, że można było powiększyć ich powierzchnię użytkową (zgodnie z wymogami Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej) o sąsiadujący budynek, o który, jak wiadomo, Biblioteka bezskutecznie występowała do władz miasta.

Biblioteka im. L. Waryńskiego od lat 70 jest siedzibą wojewódzkich władz naszej organizacji, ale nie tylko z tego powodu los Biblioteki jest nam szczególnie bliski. Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich w pełni docenia rolę tej biblioteki zarówno w życiu naszego miasta jak i w bibliotekarstwie polskim.

Przejęta przez miasto od Towarzystwa Biblioteki Publicznej w 1922 r. utworzyła w tymże roku dwie pierwsze w Polsce biblioteki publiczne dla dzieci i młodzieży i wkrótce stała się naukowym i naczelnym ogniwem trójstopniowej sieci miejskiej, do której weszły także i wypożyczalnie książek dla dorosłych. Sieć ta licząca przed wybuchem wojny 10 bibliotek i wyróżniająca się pionierskimi formami pracy z czytelnikiem, była wzorem dla wielu miast w czasie II Rzeczypospolitej. Jej uzdolniony organizator, pierwszy zawodowo pracujący bibliotekarz łódzki i wieloletni przewodniczący naszego stowarzyszenia JAN AUGUSTYNIAK ukształtował też nowoczesną strukturę Miejskiej Biblioteki Publicznej z księgozbiorem informacyjnym, specjalizacją w zakresie nauk społecznych, działem cimeliów i bibliotekoznawczym oraz zbiorem publikacji regionalnych dotyczących Łodzi i jej okolic.

Gdy zabiegi o budowę gmachu bibliotecznego przyniosły pomyślne wyniki i miał on powstać dzięki półmilionowej dotacji Związku Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskim i funduszom miejskim na zakup placu — powstał Społeczny Komitet Budowy Biblioteki Publicznej. Na zlecenie Komitetu został rozpisany w 1937 roku konkurs na projekt gmachu, który przewidywał 150 miejsc w czytelni i magazyn na 300 000 tomów (księgozbiór liczył wówczas 65 000 tomów). Zupełną nowość na ówczesne czasy stanowił załącznik do programu konkursu w postaci pracy J. AUGUSTYNIAKA „Nowoczesne budownictwo biblioteczne", prezentującej postulaty przyszłego użytkownika. Na wykończenie i wyposażenie gmachu, który wybuch wojny zastał w stanie surowym, złożyły się już w Polsce Ludowej fundusze Ministerstwa Oświaty i Zarządu Miejskiego.

W związku z jubileuszem 50-lecia MBP — 19 stycznia 1968 roku została oddana Bibliotece przez władze miejskie nowa inwestycja: wolno stojący magazyn na 100 000 tomów. Księgozbiór Biblioteki dochodził wówczas do 200 000 tomów. Przez następne 20 lat zbiory przekroczyły pół miliona woluminów i jednostek inwentarzowych. W związku z tym zostały wykorzystane wszystkie rezerwy magazynowe. Dobudowa czytelni (1967), uzyskanie ulegającego stopniowej dekapitalizacji gmachu po b. Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej przy ulicy Curie-Skłodowskiej 28 i budynku przy ulicy Gdańskiej 100 dostarczyły powierzchni użytkowej, niezbędnej dla nowych zadań i nowych agend Biblioteki. Wymienić tu należy: objęcie przez Dział Instrukcyjno-Metodyczny opieką merytoryczną sieci bibliotek publicznych woj. łódzkiego, prowadzenie centralnego zakupu i opracowania nowych nabytków dla większości bibliotek terenowych, utworzenie Pracowni Regionalnej Pracowni Reprograficznej (foto- i kserokopie), Pracowni Poligraficznej. Konieczność wyodrębnienia czytelni zbiorów specjalnych, muzykaliów, zwiększenie sali konferencyjnej, pomieszczenia dla katalogów (to ostatnie powiększono poprzez zamknięcie jednej z czytelni), wypożyczalni lektur studenckich — to wszystko wymaga wciąż nowych powierzchni użytkowych.

Zabezpieczenia odpowiednich warunków lokalowych wymaga aktualna wielkość i jakość zbiorów bibliotecznych, ale też i pozycja Biblioteki, posiadającej od 1968 roku formalny status biblioteki naukowej, własny oryginalny dorobek wydawniczy, zaś jej pracownicy legitymują się poważnymi osiągnięciami naukowymi i publicystycznymi. Biblioteka jest ważnym ośrodkiem kształcenia bibliotekarzy i praktyk studenckich, organizatorem wielu sesji naukowych, często o charakterze ogólnopolskim i międzynarodowym.

Tymczasem niemożność uzyskania odpowiadających celom bibliotecznym dodatkowych lokali, katastrofalne pękanie stropów budynków bibliotecznych stawia pod znakiem zapytania dalszą owocną i bogatą działalność zasłużonej książnicy łódzkiej.

Przed kilku laty wydawało się, że zwalniany wówczas przeciwległy stylowy pałacyk, w którym mieszczą się dziś zbiory Muzeum Ruchu Młodzieżowego, zostanie przyznany Bibliotece, poprawiając chociaż częściowo jej sytuację, tym bardziej, że jej kierownictwo od lat zabiega o przyznanie obiektu na cele biblioteczne.

Przedstawiwszy szeroko problemy Biblioteki, Zarząd Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich Okręg Łódź prosi Pana Prezydenta o decyzję przyznania odpowiednich funduszów na remont zagrożonego budynku oraz spowodowanie szybkiego przydziału lokalu na księgozbiór archiwalnego egzemplarza obowiązkowego oraz introligatornię i pracownię poligraficzną. Rozwiązałoby to problem do czasu podjęcia decyzji o rozbudowie istniejącego obiektu lub budowie nowego gmachu Biblioteki.

Za Zarząd:
dr JAN JANIAK — wiceprezes
mgr LUCYNA SUŁKOWSKA — wiceprezes
mgr IZABELA NAGÓRSKA — członek honorowy SBP

„TEN, KTÓRY UKRADŁ TELEWIZOR WŁASNEJ ŻONIE"

Artykuł Andrzeja Gębarowskiego „Ten, który ukradł telewizor własnej żonie" wywołał sporo różnych reakcji. Otrzymaliśmy listy w tej sprawie z najrozmaitszymi żądaniami. Chcemy obecnie ustosunkować się do tej sprawy. Mamy nadzieję, że ostatecznie. Polemik bowiem nie można ciągnąć w nieskończoność.
Na początek publikujemy list „drugiej strony .

„Ta, której ukradziono telewizor"

W numerze 5 (1609) z 29 stycznia 1989 r., ukazał się artykuł A. Gębarowskiego zatytułowany „Ten, który ukradł telewizor własnej żonie" Bohaterem jest młody, zdolny, przedsiębiorczy architekt-społecznik, powszechnie lubiany i szanowany, który na skutek oskarżenia własnej żony i innych niecnych machinacji staje się prześladowany przez wymiar sprawiedliwości.

Tymczasem ten przedsiębiorczy architekt, gdy po kilku latach małżeństwa uznał, że obowiązki męża i ojca 5-letniego syna zaczynają mu ciążyć, postanowił uwolnić się od nich. Co więcej, postanowieniu temu towarzyszyła chęć zawładnięcia całym wspólnym dorobkiem. Zrezygnował jedynie z 5-letniego syna. Uznał, że tenże i troska o jego wychowanie, będzie dla mnie — jego matki — dostatecznym ekwiwalentem. Przyjął, że sprawiedliwy podział, to taki, w którym jedna strona przejmie obowiązki, druga zaś korzyści i to uzyskane w drodze samowoli i bezprawia.

Dążenie do sprzeciwienia się takiej postawie i do zapewnienia sobie i dziecku uczciwego udziału we wspólnym dorobku, wystąpienie o ochronę swych praw do odpowiednich i powołanych do tego organów państwowych oraz uzyskanie od nich pomocy, uznane zostało za godne publicznego potępienia.

Autor artykułu być może nie wiedział, że jego przedsiębiorczy bohater, już wiele miesięcy przed podjęciem sprawy rozwodowej, starannie się do niej przygotowywał: zlikwidował konto w banku PKO, usunął spod dostępu żony trzy samochody, magnetowid, wiele kaset video (także z bajeczkami dla dziecka), i wszystkie przedmioty, które uznał za wartościowe lub do których „jest przywiązany". Zapowiedział, że zabierze absolutnie wszystko. Gdy po wyniesieniu telewizora spotkał się z interwencją prokuratora, który przerwał te radosne poczynania, jego poczucie krzywdy stało się tak dotkliwe, że zwrócił się o pomoc do prasy.

Na utrzymanie dziecka deklaruje żałosną kwotę 8 a ostatnio 15 tys. złotych, stanowiącą znikomy procent jego wydatków na własne rozrywki, w tym na jeden z najkosztowniejszych sportów — rajdy samochodowe. Prawa do większej części mieszkania zastrzega sobie, lecz z oburzeniem odżegnuje się od swego udziału w kosztach utrzymania tego mieszkania (nawet czynszu).

Ze spotkań w prokuraturze zapamiętał tylko zdziwienie i życzliwość pani prokurator, zapomniał jednak, że mimo tak szeroko opisanej przychylności wniosła ona jednak akt oskarżenia, więc oceniła, że sprawa kwalifikuje się do rozpatrzenia przez sąd. Autor artykułu także znał te okoliczności. Był w sądzie. Widocznie fakty nie pasowały do założonej koncepcji publikacji.

Nie wdając się w dalsze szczegóły tej bolesnej dla mnie sprawy, muszę stwierdzić, że tak jak Piotr S. jest skrzywdzonym, prześladowanym „przedsiębiorczym, zdolnym architektem-społecznikiem i wzorowym ojcem", tak autor artykułu „wnikliwym publicystą", który pod osąd społeczny przedstawił „istotny" wycinek sprawy.

I jeszcze jedno, już po publikacji w dniu 1 III 89 r. zatelefonował do mnie do pracy mój już były mąż. Wśród wielu wulgarnych słów usłyszałam, że jeśli odważę się opublikować cokolwiek, to są już przygotowane dalsze artykuły, które „Odgłosy" zamieszczą. Wykrzykiwał również, że będę żałowała, bo on postara się, by ucierpiało na tym nasze dziecko.

Nieprzemyślane lub tendencyjne wkraczanie przez publicystę w sferę życia rodzinnego i osobistego rodzi różne skutki. Wychowania dziecka z pewnością to nie ułatwi.

I.S.

PS. Proszę o opublikowanie odpowiedzi na tej samej stronie, równorzędną czcionką i pod widocznym tytułem (bez wprowadzania zmian).

Nadszedł też list od innej osoby wspomnianej w artykule Andrzeja Gębarowskiego. Oto jego treść:

W okresie ostatnich 2 tygodni, szereg osób zwróciło się do mnie z informacją, że jestem dość szeroko „opisany" w numerze 5 (1609), „Odgłosów" z 29 stycznia 1989 r., w felietonie Andrzeja Gębarowskiego p.t. „Ten, który ukradł telewizor własnej żonie".

Zapoznałem się z treścią tego felietonu i stwierdzam że:

— bez mojej zgody podano informacje dotyczące mej prywatnej sfery życia z równoczesnym insynuowaniem cech, czy postępowania w sposób kłamliwy i uwłaczający mi. Nie jest usprawiedliwieniem powoływanie się na źródło informacji. Stanowi to świadomą pomoc w rozpowszechnianiu tych oszczerstw.

— Autor przed publikacją spotkał się ze mną i w trakcie rozmowy wyraźnie powiadomiłem go, że nie wyrażam zgody na łączenie mnie z tą osobistą sprawą, toczącą się między małżonkami S., jak i na opublikowanie jakichkolwiek części naszej rozmowy.

— Autor był w sądzie w dniu rozprawy karnej. Rozprawa odbywała się jawnie i z jej przebiegiem Autor był dokładnie zapoznany. Wiedział także, iż sąd wezwał mnie w charakterze świadka, a więc musiał zdawać sobie sprawę, że zamieszczenie podobnych informacji o uczestnikach procesu nie może mieć miejsca.

— Autorowi zwróciłem także uwagę, że sprawa dotyczy prywatnej sfery życia małżonków S. i ewentualne publikowanie jakichkolwiek informacji na ten temat wymaga zgody obojga zainteresowanych, a jeśli coś w tej sprawie jest istotnym problemem, to jest nim wychowanie dziecka małżonków S., 6-letniego chłopca, który w wyniku publikacji i dalszego zadrażniania stosunków między rodzicami, najbardziej w tym konflikcie ucierpi. Potwierdziły to wydarzenia po publikacji.

W związku z powyższym, proszę o skierowanie sprawy do właściwego sądu dziennikarskiego, celem wszczęcia postępowania dyscyplinarnego przeciwko autorowi i redaktorowi odpowiedzialnemu za dopuszczenie do tej publikacji.

Przy okazji pragnę zwrócić uwagę, że w numerze II(1615) „Odgłosów", znajduje się notka adresowana do pana M. Kaczmarka, iż jego list nie zostanie opublikowany, ponieważ naruszałby tajemnicę innych ludzi i nosi znamiona zniesławienia a więc zgodnie z „Prawem Prasowym" nie kwalifikuje się do publikacji.

Pan Kaczmarek przesłał mi odpis listu. Dotyczy on tej samej sprawy, lecz przedstawionej rzetelnie. Pogląd Redakcji wyrażony w notce, który podzielam potwierdza w pełni, że działanie red. Gębarowskiego było tendencyjne, rażąco narusza „Prawo Prasowe" i dobra osobiste przedstawionych w felietonie osób. Oczekuję na opublikowanie stanowiska Redakcji w tej sprawie z zachowaniem § 32 ust. 5 „Prawa Prasowego", oraz o poinformowaniu czytelników o decyzji sądu dziennikarskiego, gdy taka zapadnie.

Wobec oczywistego naruszenia przez autora i redakcję przepisów art. 14 i 15 „Prawa Prasowego" występuję także o wszczęcie postępowania z art. 49 Prawa Prasowego.

R.M.

Otrzymałem też list od pani R.W., która w artykule Andrzeja Gębarowskiego nie występuje, a jest jedynie oburzona na niecne praktyki redakcji.
Chciałbym teraz ustosunkować się do tych listów.

1.

Nie kwestionuję i nie kwestionowałem prawa pani I. S. do obrony. Jeśli trwało to tak długo, nim jej list się ukazał, to ze względu na to, że publikowany wyżej tekst pani I. S. długo i wielostronnie był uzgadniany. Pierwsza jego wersja stanowczo nie nadawała się do druku. Pomińmy milczeniem przyczyny tego faktu.

Jeśli chodzi o tekst pani I.S., to chciałbym wyjaśnić jedynie dwie kwestie: — po pierwsze — Andrzej Gębarowski istotnie był tego dnia w sądzie — to jest w gmachu sądu — ale nie był na rozprawie. Na rozprawie był zupełnie inny dziennikarz, który nie ma nic wspólnego ani z Andrzejem Gębarowskim, ani z „Odgłosami"; — po drugie — nie ma żadnych artykułów w „Odgłosach", które w jakikolwiek sposób były związane z Piotrem S. Wszelkie sugerowanie nam stronniczości i jakichkolwiek „układów" zawieranych z Piotrem S. jest pomówieniem. Nie pierwszym i nie ostatnim zresztą.

Każde wkraczanie w życie prywatne w jakikolwiek sposób i z jakichkolwiek pobudek jest przykre i może mieć różne uboczne, często niekorzystne skutki. Nie może to jednak ograniczyć swobody krytyki. Dlatego w „Odgłosach" szczególnie uważnie przestrzegamy prawa przysługującego każdemu do obrony jego spraw. Nawet, jeśli się z tym kimś nie zgadzamy.

2.

Nie będę się ustosunkowywał do zarzutów postawionych przez pana R.M. wobec Andrzeja Gębarowskiego. Osobie wymienionej w artykule w niezbyt korzystnym świetle tym bardziej przysługuje prawo do obrony. W jaki sposób się broni, to już jej sprawa.

Muszę natomiast wyrazić głębokie zdziwienie kilkoma sformułowaniami R.M. Prosi on „o skierowanie sprawy do właściwego sądu dziennikarskiego, celem wszczęcia postępowania dyscyplinarnego przeciw autorowi i redaktorowi odpowiedzialnemu" Kto ma to zrobić? List jest adresowany do mnie. Czyżbym ja miał kierować sprawę przeciw sobie? Czyste nieporozumienie. Jeśli autor listu uznaje taką potrzebę, to musi zrobić to sam. Innego sposobu nie ma.

Cieszy mnie fakt, że R.M. podziela nasz pogląd, iż listu W. Kaczmarka nie należało drukować, chociaż różnimy się w kwalifikacji tego listu. A przecież trudno byłoby zaprzeczyć, że istnieje zasadnicza różnica w tym, co napisali Andrzej Gębarowski i W. Kaczmarek. Zdaniem R.M. artykuł A. Gębarowskiego zawiera oszczerstwa, gdyż dotyka spraw ludzi mu bliskich, natomiast W. Kaczmarek „przedstawia rzetelnie". A przecież R.M., który zna list W. Kaczmarka nie może zaprzeczyć, że ten w sposób bezpardonowy wkracza w życie osobiste ludzi niegdyś mu przyjaznych. Nam nie wolno na taki subiektywizm. Nas musi obowiązywać obiektywizm i tak właśnie postąpił Andrzej Gębarowski.

R.M. artykuł A. Gębarowskiego uparcie nazywa felietonem. Jeśli ma to być złośliwość to jest chybiona i świadczy jedynie o ignorancji autora listu.

3.

Pani R.W. nie jest osobą bezpośrednio związaną z artykułem Andrzeja Gębarowskiego. Składa tylko na moje ręce protest „przeciwko żonglowaniu prawem i jej dowolnej interpretacji oraz nadużywaniu prasy dla załatwiania spraw prywatnych (a może porachunków?)". **Protest związany jest z odmową publikacji M. Kaczmarka. Pani R.W. przyznaje jednak:** „nie wiem, o czym pisał pan Kaczmarek". **Jeśli się nie wie, to najlepiej głosu nie zabierać.**

Ja natomiast wiem, że list pani R.W. i list pana R.M. były nadane tego samego dnia, na tej samej poczcie, o tej samej godzinie i noszą kolejne numery rejestracyjne, gdyż są to listy polecone. Bardzo dziwny przypadek!!!?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POMOC POTRZEBNA NATYCHMIAST!

Mieszkam w budynku, w którym od 1980 r. ROM nie przeprowadził żadnego poważniejszego remontu, a nasze interwencje zbywał obietnicami. Czas płynął, budynek przeistoczył się w ruinę. W 1984 r. pojawiły się osoby z administracji, zlustrowały stan budynku i orzekły, że nie ma już żadnego sensu remontować i trzeba wyprowadzić lokatorów, bo budynek grozi (strop) zawaleniem. Lokatorzy młodzi z dziećmi otrzymali bloki komunalne, a nam powiedziano, że musimy czekać na ekspertyzę z Warszawy, co dalej z tym fantem zrobić. Jest nas dwie rodziny Trzy osoby niepełnosprawne. A wolne lokale ROM zlecił brygadzie swojej zdewastować, powyrywano okna, podłogi a po roku ta sama brygada wstawiła okna, kiedy już te lokale zrobiły się zawilgocone itd. W tym czasie nadal chodziliśmy do ROM z prośbami, żeby choć trochę poratowano dach, bo woda się leje do korytarza, a instalacja jest stara i w każdej chwili grozi nam pożar lub zawalenie stropu. W 1988 r. strop się zawalił i cudem uniknąłem kalectwa lub śmierci. Pani administrator pocieszyła mnie, że to tylko belki, deski a nie betonowa płyta. W 1988 roku zjawia się ekspert i wydaje decyzję. Budynek natychmiast do rozbiórki. W czerwcu przychodzi ekspertyza pisemna, ale nie ma komu wydać decyzji, itd. A my mieszkamy nadal w tej ruinie i albo zostaniemy przygnieceni stropem, albo budynek się spali z powodu złej instalacji.

JERZY KAMIŃSKI
(Zduńska Wola)

„POŁUTORKA" — CIĘŻARÓWKA ZIS

Nawiązując do publikowanych wspomnień Eugeniusza Iwanickiego p.t.: „Jak zostałem wrogiem towarzysza Stalina" pozwalam sobie gwoli ścisłości podać, że kilkakrotnie przez autora przywoływana „połutonka" — lekka ciężarówka marki ZIS — to w rzeczy samej „połutorka" — tak ją zwano, jako, że miała nośność półtorej tony.

Rzecz mało istotna, sądzę jednak, że ponieważ owa ciężarówka wryła się w pamięć wielu rodaków i tych z wywózek, a także żołnierzy Ludowego Wojska, na tyle, by stać się symbolem niejako „tamtych dni" trzeba przywołać jej właściwe określenie.

JÓZEF MALCEN

ZAWIADAMIAMY — POLECAMY — PROPONUJEMY

UWAGA, LUDZIE CHORZY NA CUKRZYCĘ! Od 1982 roku działa w Polsce STOWARZYSZENIE CHORYCH NA CUKRZYCĘ w PRL. Zarząd Główny ma siedzibę w Bydgoszczy. W Łodzi działa **Łódzki Oddział** Stowarzyszenia Chorych na Cukrzycę w PRL. Wszelkie niezbędne informacje na ten temat można uzyskać w **Zarządzie Wojewódzkim: ŁÓDŹ, ul. Stefana Jaracza 11, pokój 316, tel. 32-51-72.** Dyżury pełni się w poniedziałki, środy i czwartki.

KONKURS NA WSPOMNIENIA POLAKÓW, którzy w czasie drugiej wojny byli w ZSRR, na Syberii, na Dalekim Wschodzie. Wysokie nagrody. Wspomnienia należy nadsyłać do **30 września 1989 roku pod adresem: Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Zarząd Główny, ul. Szewska 36, 50-139 WROCŁAW.** Dodatkowe informacje pod telefonem: Wrocław 44-38-32 lub 44-46-13.

UWAGA, MŁODZI! Centrum Kultury Młodych w Łodzi organizuje konkurs literacki „Debiuty" dla poetów i prozaików Tylko utwory nie drukowane. Tylko z województwa łódzkiego. Dla poetów zestaw 5 wierszy, dla prozaików tekst do 6 stron maszynopisu. Na kopercie napisać: „Debiuty — 89". Prace nadsyłać do **15 maja 1989 roku pod adresem: Centrum Kultury Młodych w Łodzi, 93-021 ŁÓDŹ, ul. Lokatorska 13.**

W PAŹDZIERNIKU 1989 ROKU odbędzie się w Łodzi zjazd Greków-absolwentów UŁ oraz nauczycieli i uczniów z emigracji greckiej z 1947 roku. Zgłoszenia i wszelkie informacje **do 15 kwietnia 1989 roku w ZW Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej,** Łódź, ul. Kanowa 14.

INCOM INSTYTUT INNOWACYJNO WDROŻENIOWY

W ŁODZI, PLAC ZWYCIĘSTWA 13

zawiadamia, że począwszy **od II kwartału 1989 r.** uruchamia

PRODUKCJĘ ZAWORÓW GRZEJNIKOWYCH:

★ 1/2 cala — **do sieci ciśnieniowych, z możliwością kryzowania**
☆ 3/4 cala — **do sieci grawitacyjnych z podwójną regulacją — możliwość regulacji przepływu w sposób ręczny lub samoczynny głowicą termostatyczną.**

Dostawy według kolejności zamówień mogą być realizowane w kompletach ze śrubunkiem przyłączeniowym.
Zamówienia należy kierować pod adresem:

Instytut Innowacyjno-Wdrożeniowy „INCOM"
90-436 Łódź, al. Kościuszki 93.

Informacja telefoniczna pod numerem **74-24-28, 51-31-86.**

1431/K

Markus

UZUM „MARKUS" SA,
wspólnie ze
ZGIERSKIM KLUBEM SPORTOWYM
„WŁÓKNIARZ"
ZAPRASZAJĄ
na
◄ AUTO-BAZAR ►
zorganizowany w
Zgierzu, ul. Buczka 3/5
w każdą sobotę, w godz. 9—15. Prowadzimy giełdę samochodową i sprzedaż artykułów przemysłowych z bazarem. 1535/k

ZAPRASZAJĄ
wszystkich Klientów
DO NASZEGO KOMISU CZĘŚCI SAMOCHODOWYCH
w Łodzi, przy ul. Piaski 4 w godz. 9—16, tel. 87-90-00.
Komis prowadzi
POŚREDNICTWO SPRZEDAŻY SAMOCHODÓW. 1534/k

Markus

Uspołecznione Zakłady Usług Marketingowych
Lodz ul Kraszewskiego 22

PRZEDSIĘBIORSTWO USŁUGOWO-HANDLOWE „DORMET"

Sp. z o.o. w Radomiu, ul. Czwartaków 6

Sklep metalowy nr. 1

POSIADA W SPRZEDAŻY

- **ŚRUBY RÓŻNE**
- **NAKRĘTKI OD M-3 DO M-30**
- **PODKŁADKI ZWYKŁE**
- **GWOŹDZIE**
- **WKRĘTY DO DREWNA**
- **WKRĘTY DO METALU**
- **ZŁĄCZKI HYDRAULICZNE MOSIĘŻNE: KOLANKA, TROJNIKI i MUFKI 3/3 i 1/2.**

Zamówienie prosimy składać pod ww. adresem lub telefonicznie pod nr 31-26-87.

1433/k

PRZEDSTAWICIELSTWO ŁÓDZKIE Sp. Zakładu Ubezpieczeń „WESTA"

zawiadamia PT Klientów, że z dniem 3 kwietnia 1989 r.

U R U C H O M I O N O
NOWY LOKAL NASZEJ FIRMY
Z ulicy Nowotki 8 — na ulicę Piotrkowską 204 a

przeniesiono dyrekcję i dział akwizycyjny (zawieranie umów ubezpieczeniowych) naszego zakładu.

Jednocześnie informujemy, że pod poprzednim adresem, przy ulicy Nowotki 8, tel. 32-56-61, pozostał dział likwidacji szkód.

Zapraszamy do naszego nowego lokalu, gdzie będą się Państwo mogli zapoznać z wieloma atrakcyjnymi formami ubezpieczeń z których wiele po raz pierwszy wprowadziła właśnie „WESTA".

ul. NOWOTKI 8, tel. 32-56-61
ul. PIOTRKOWSKA 204 a

1533/k

PAMIETAJ !

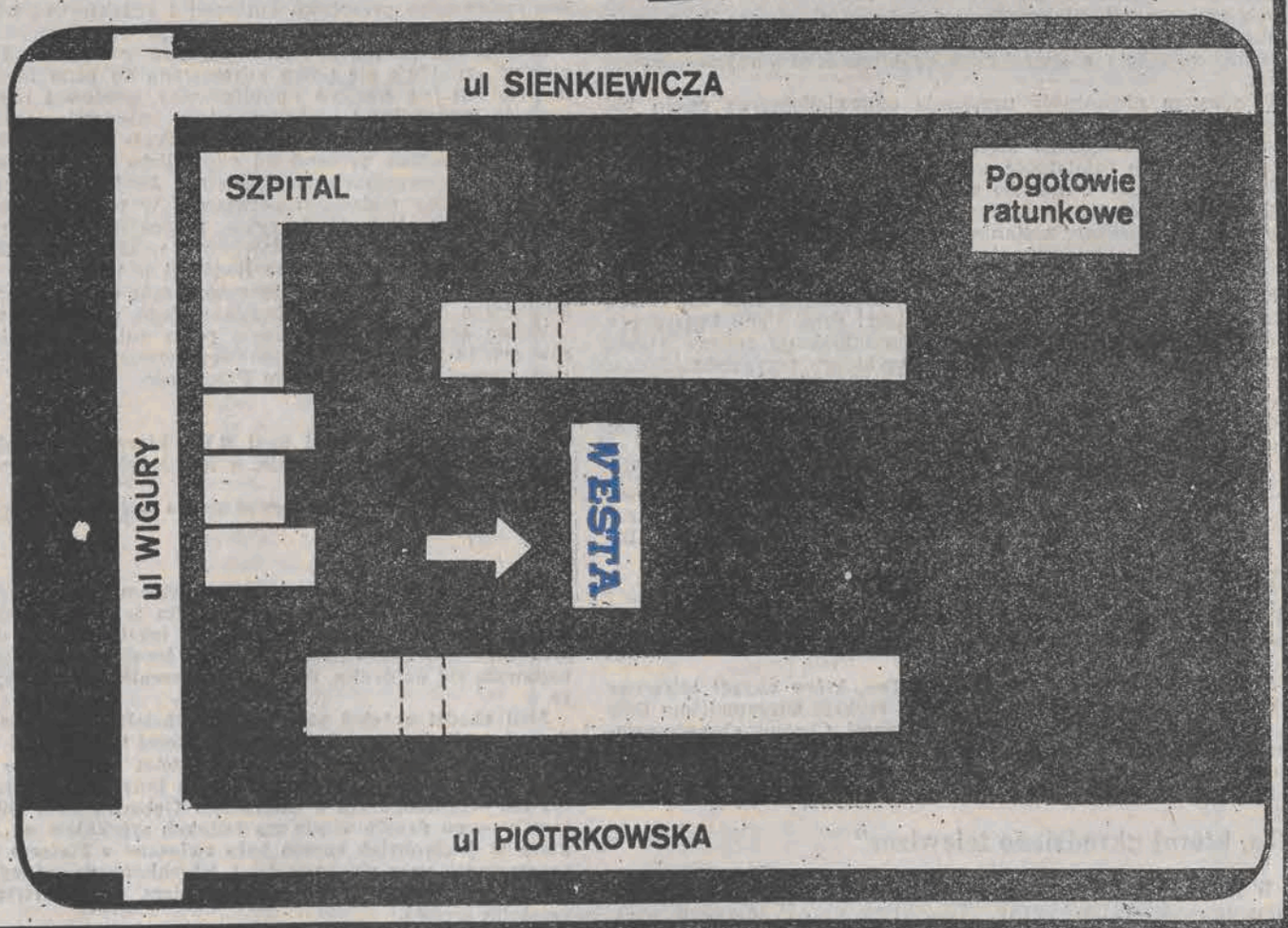

Nie spodziewał się zapewne nikomu nie znany kapitan Klaudiusz Józef Rouget de Lisle, że skomponowana przezeń w nocy z 25 na 26 kwietnia 1792 r. piosenka—szlagier stanie się po latach (od 1879) oficjalnym hymnem Francji. Powstała nie w Marsylii, lecz w Strasburgu, nazajutrz po rozpoczęciu wojny z Prusami i Austrią, początkowo jako pieśń bojowa żołnierzy armii Renu pt. „Chant du guerre de l'armée du Rhin", potem już jako „La Marseillaise" (Marsylianka), wniesiona do Paryża 30 lipca 1972 r. przez batalion ochotników marsylskich. Śpiewali ją rewolucjoniści na całym świecie, wcześnie ją też drukował warszawski „Tygodnik Polski" pt. „Marsz marsylczyków" w 1820 r.

Podobnego szczęścia dostąpił i nasze Józef Wybicki, ułożywszy między 16 a 19 lipca 1797 r. w Reggio „Pieśń legionów polskich we Włoszech", która pełniąc przez blisko 130 lat rolę hymnu narodowego, stała się nim oficjalnie w 1927 r.

Oszałamiająca kariera obydwu piosenek żołnierskich sprawiła, że ich twórcy nie pozostali bezimienni w przeciwieństwie do wielu autorów powszechnie znanych pieśni i piosenek, których nazwiska uległy zapomnieniu. Wprawdzie Stanisław Wasylewski pisał kiedyś, że „najwyższą popularność osiąga poeta w chwili, gdy staje się bezimiennym, gdy powszechność jego utworu wykwitnie wysoko i swym listowiem zakryje doszczętnie jego imię". Wprawdzie nazwiska autorów poniższych wierszy—szlagierów są znane, ale tylko specjalistom — historykom literatury i muzykologom. Mało kto dziś pamięta, że dawniej tradycyjnie rozpoczynano dzień „Modlitwą poranną" (Kiedy ranne wstają zorze), a kończono „Modlitwą wieczorną" (Wszystkie nasze dzienne sprawy), a przecież autorem ich był Franciszek Karpiński, twórca nie tylko popularnego do dziś szlagieru „Laura i Filon" (Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły), ale i wspaniałej pieśni kościelno-patriotycznej, a zarazem poetycko znakomitej kolędy „Bóg się rodzi, moc truchleje". O góralu, któremu żal było odchodzić od stron ojczystych, napisał urokliwy wiersz „robiący stucki Michał Bałucki", nie podejrzewający, że jego utwór stanie się nieodłącznym śpiewem naszych spotkań przy kieliszku. „Prząśniczkę", której akordy rozpoczynają program Łódzkich Wiadomości Dnia, napisał przyjaciel Mickiewicza Jan Czeczot, a w rok później (1846) muzykę skomponował Stanisław Moniuszko.

Z różnych szuflad

Szlagiery z dawnych lat

Dość długo pozostawał tylko okolicznościowym tekstem religijnym „Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego" Alojzego Felińskiego (Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki), zanim po inauguracyjnym wykonaniu 3 sierpnia 1816 r. podczas imienin Najjaśniejszej Cesarzowej Marii Teodorówny stał się po powstaniu styczniowym najpopularniejszą pieśnią religijno-patriotyczną, szczęśliwie konkurującą z „Mazurkiem Dąbrowskiego'.

Jedną z najbardziej znanych pieśni patriotycznych była dziesiąta z cyklu „Skarg Jeremiego", popularna szczególnie podczas powstania warszawskiego, dzięki transmisjom radia londyńskiego, melodia „Chorału" skomponowana przez Ignacego Nikorowicza, o którym mówiono, że „nietęgi gospodarz, ale ślicznie gra na fortepianie" do słów Kornela Ujejskiego. O Nikorowiczu Ujejski powiedział w 1893 r. (w trzy lata po śmierci kompozytora): *„Tak mało naród wie o nim, a przecież ta muzyka silniej, bo szczerzej od słów działała. A trzeba i to wiedzieć, że nie moje słowa natchnęły Nikorowicza, ale jego utwór muzyczny mnie natchnął..."* Dziś już nie tylko naród, ale i wybitni znawcy przedmiotu, jakimi niewątpliwie są panowie Marek Sart i Szymon Kobyliński, zapomnieli o Nikorowiczu do tego stopnia, że nazwali go Nikiforowiczem (może dlatego, że zapamiętali znanego malarza-prymitywistę Nikifora, zwanego Krynickim).

Francuzowi Kazimierzowi Delavigne zawdzięczamy „Warszawiankę" (La Varsovienne), spolszczył ją Karol Sienkiewicz, muzykę skomponował Karol Kurpiński. Odniosła ogromny sukces na scenie Teatru Narodowego w Warszawie 5 kwietnia 1831 r. Niemiec Juliusz Mosen rozpowszechnił w Lipsku zaraz po upadku powstania listopadowego swoją kompozycję „Die letzten Zehn vom vierten Regiment", znaną jako „Pułk czwarty" (Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę) w przekładzie Jana Nepomucena Kamińskiego, tego samego, co to w zabawce dramatycznej ze śpiewkami „Zabobon czyli Krakowiacy i Górale" zapewniał, że „Polak nie sługa nie zna, co to pany". Hallerczycy przynieśli do kraju francuską „Madelon", a kościuszkowcy „Okę" ze słowami Leona Pasternaka i melodią gdzieś znad Wełtawy, przywleczoną do Kiwerc, niby relikt z czasów cesarsko-królewskiej monarchii austriackiej.

Autorem licznych śpiewanek patriotycznych, do dziś popularnych, był Wincenty Pol, mogący nosić miano tekściarza. Jego autorstwa były piosenki „Krakusy" (Grzmią pod Stoczkiem armaty), „Pieśń ułanów" (Nie masz pana nad ułana), „Mazur" (Piękna nasza Polska cała) gdy „Sygnał", znany też jako „Pieśń z obozu Jeziorańskiego" (W krwawym polu ptaszę). Franciszek Kowalski utrwalił się w pamięci pokoleń nie jako tłumacz Moliera, lecz jako twórca głośnego „Ułana na widecie" (Tam na błoniu błyszczy kwiecie). Muzykę do wiersza skomponował też Niemiec, galicyjski hrabia Wenzel Robert Gallenberg. O tym, że „taki los wypadł nam, dzisiaj tu, jutro tam" pisał Józef Przerwa Tetmajer, a o tym „jak to na wojence ładnie" Władysław Tarnowski, piszący pod pseudonimem Ernest Buława. Na Pawiaku ułożył „Mazura kajdaniarskiego" więzień Ludwik Waryński, a „Warszawiankę" (Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę) również więzień, tylko że z X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej, Wacław Święcicki.

Do nowszych już czasów — lat wojny i okupacji — odnoszą się wiersze—szlagiery Wacława Bojarskiego „Natalia" (Raz batalion Uderzenia), Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego „Szturmówka" (Ej, po drogach dmie wichura), Edwarda Fiszera „Ania" (Pułk wyruszył w pole), Alberta Harrisa „Jedną drogą dziś wszyscy idziemy" (Od północnych wybrzeży Bałtyku), Mirosława Jezierskiego „Marsz Mokotowa" (Nie grają nam surmy bojowe), Feliksa Konarskiego „Czerwone maki na Monte Cassino", Krystyny Krahelskiej „Hej, chłopcy, bagnet na broń", Stanisława Magierskiego „Kołysanka leśna" (Dziś do ciebie przyjść nie mogę), Józefa Szczepańskiego „Pałacyk Michla", Romana Ślezaka „Rozszumiały się wierzby płaczące", Adama Ważyka „Marsz Pierwszego Korpusu" (Spoza gór i rzek), Michała Zielińskiego „Serce w plecaku" (Z piersi młodej się wyrwało).

Piszę ten felieton po przejrzeniu wydanego niedawno „Śpiewnika 1914—1939 O mój rozmarynie". Wyboru tekstów dokonał i opracował je muzycznie Marek Sart, a zilustrował Szymon Kobyliński. Szkoda, że obaj panowie muzykującego dziedzica ze Zboisk nazwali Nikiforowiczem, a Tadeusza Biernackiego, autora „Pierwszej Brygady", skazali na bezimienność. Tytułowa piosenka „O mój rozmarynie" pochodzi wprawdzie z ludowego podglebia ale przetworzył ją na wojskową piosenkę Wacław Denhoff-Czarnocki.

Znakomita większość tekstów i melodii do nich pozostaje bezimienna, o czym łatwo się przekonać, przeglądając dawne śpiewniki. Najważniejsze, by tekst słowny pozostał własnością społeczną, jeśli nawet czas okryje całunem niepamięci nazwisko poety i kompozytora.

ANDRZEJ KEMPA

1

Wszystko jest możliwe

To nie stało się 1 kwietnia. Owszem, był już kwiecień roku 1989, co łatwo było poznać po spadłym w nocy śniegu. Ze wschodu wiał przenikliwy, zimny wiatr. Gazety donosiły, że powróciła zima. Było to o tyle niewyobrażalne, że ani pod koniec 1988 roku, ani na początku 1989 roku nie było u nas zimy. Jak zatem może powrócić coś, czego nie było? Ale u nas wszystko jest możliwe!

Była zatem środa, 5 kwietnia 1989 roku. Miałem coś do załatwienia w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. Mikołaja Kopernika w Łodzi przy ul. Pabianickiej. Załatwiłem, co miałem do załatwienia i wychodząc ze szpitala spojrzałem na zegar. Była godzina 11.35. Na przystanku autobusowym linii „57" przy ul. Pabianickiej, przy szpitalu stał spory tłum ludzi. Byłem wśród nich. Zdumiałem się też jak i oni, gdy autobus linii „57" nie zatrzymał się na przystanku i pojechał dalej. Okazało się, że właśnie przeniesiono przystanek na ulicę Jurija Gagarina. Tłum poszedł na ten przystanek lekko złorzecząc.

— *Panie!* — mówił chudy w palcie z futrzanym kołnierzem. — *Rano wsiadałem przy Pabianickiej. Teraz tam autobus nie staje. Co się w tym mieście dzieje?*

— *Ano* — rzekł na to młodzian — *porządkują komunikację. Nie wie pan? Komputery będą zakładali, żeby sterowały ruchem ulicznym.*

— *Lepiej by ulice poszerzyli* powiedział niezadowolony.

— *W tym mieście wszystko jest możliwe* — wtrącił brunet z wąsem, bez czapki, pokazując ręką na nadjeżdżający autobus.

W domu było ciepło i przyjemnie. Usiadłem w wygodnym fotelu i zacząłem przeglądać gazety. Wróciłem ze szpitala, powinienem przecież ręce umyć — przypomniało mi Poczucie Obowiązku, a może to był nawet sam Anioł Stróż. Wszystko przecież jest możliwe. Poszedłem do łazienki.

Nie było łazienki. To była dżungla. Tam gdzie powinna być wanna wąż pełzł po grubym drzewie. A tam, gdzie siadywałem na sedesie, siedziała obrzydliwa małpa i szczerzyła zęby. Szybko zamknąłem drzwi. Zgasiłem światło i wróciłem na fotel.

Wróciła żona. Jej Anioł Stróż powinien też kazać umyć ręce. Poczekam. Zobaczę, co zrobi. Ale zrobiła to, co miała zrobić. Umyła ręce i spuściła wodę. Przepraszam — odwrotnie, ale to nie było tak ważne. Łazienka zatem funkcjonuje normalnie.

Zapaliłem światło i otworzyłem drzwi. Dżungli już nie było, ale i łazienki nie było. Była natomiast pustynia. Słońce paliło niemiłosiernie. Postawiłem nogę na piasku. Był rozpalony. Cofnąłem ją czym prędzej i wróciłem na fotel.

— *Skąd tu ten piasek?* — zapytało Moje Szczęście, które powróciło do domu bez dobrego humoru. Dobry humor został „na mieście". Weszła do łazienki, wzięła szufelkę i miotełkę i sprzątnęła piasek, jaki zostawiłem wracając na fotel. Milczałem. Nie mogłem przecież wyjaśnić, skąd się wziął piasek, bo dla niej łazienka była łazienką. A dla mnie... Czym była dla mnie?

— *Słuchaj!* — dobiegł jej głos z kuchni. — *Przynieś mi z łazienki buteleczkę z rozpuszczalnikiem.*

— Już idę! — powiedziałem machinalnie i zdrętwiałem. Co ja teraz zrobię.

Nic się nie stało. Poszedłem do łazienki, która była łazienką, wziąłem buteleczkę z rozpuszczalnikiem i zaniosłem do kuchni. Wróciłem na fotel. Ale zaraz się zerwałem. Skoro już nie ma tych... No, właśnie. Co to było? To i ja mogę umyć ręce.

Otworzyłem drzwi i... ścisnęło mnie chłodem. Przede mną była śnieżna pustynia. Zamknąłem drzwi.

— *Skąd tu nagle ten chłód?* — doleciało zdziwienie z kuchni.

Nic nie powiedziałem, bo co mogłem powiedzieć. Wróciłem na fotel. Sytuacja stawała się niemal dramatyczna. Już nie tylko Anioł Stróż mówił mi, że trzeba pójść do łazienki. A co ja tym razem zastanę w łazience? Mogą być góry, morze, sawanna, tajga, bagna, łąki, jeziora. Świat jest taki piękny i dysponuje takim bogactwem pejzaży. Byłem ciekaw tego, co mogę zastać w łazience i bałem się tego.

Żona znów weszła do łazienki i nic się nie stało. A może pójść do sąsiadów i powiedzieć, że się u nas coś popsuło. Nie. Głupi pomysł. Trzeba wziąć byka za rogi! A może sposobem?

Wstałem powoli. Pochodziłem po mieszkaniu, że ja to niby tak sobie spaceruję i wcale nie mam zamiaru wchodzić do łazienki, i kiedy już mnie się nawet wydawało, że nie mam takiego zamiaru, nagle otworzyłem drzwi i o mało nie krzyknąłem. Przede mną otwierała się ogromna przepaść...

Zamknąłem drzwi i jeszcze raz je otworzyłem. Była łazienka. Wszedłem spokojnie, zrobiłem, com miał tam zrobić i wróciłem na fotel. Życie znów było piękne.

Miał rację ten facet na przystanku. W tym mieście wszystko jest możliwe. Spokojnie zatem pogrążyłem się w lekturze gazet.

ZENON POROWATY

2

Lewym okiem

Dziś panna Andzia...

„Dziś panna Andzia ma wychodne" — śpiewało się w przedwojennej Warszawie. „Ma na kapeluszu piórko, całe o tym wie podwórko". Była to piosenka o warszawskiej służącej, jednej z tych kilkudziesięciu tysięcy, które stanowiły silny akcent międzywojennego folkloru stołecznego. Aż dziw, że biblioteka „Syrenki", która tylu tematom warszawskim poświęciła tak interesujące opracowania, nawet Marian Marek Drozdowski w swojej książce pt. „Warszawiacy i ich miasto w latach drugiej Rzeczypospolitej" nie wspominają ani słowem o warszawskiej służącej. Piosenka o pannie Andzi jest pełna żartobliwej kpiny, to był jedyny ton, jakim posługiwano się, mówiąc o „dziewczynie do wszystkiego". Służąca tańczyła na Bielanach z żołnierzem, który trzymał ją oczywiście za pośladek, mówili do siebie używając takich zwrotów jak: „ma się rozumieć", „naturalnie" — i to było bardzo, bardzo śmieszne.

Służąca to była kuchta, garkotłuk, tłumok, kocmołuch. Nigdy inaczej. Każda była leniwa i brudna, stanowiły jeden z ulubionych tematów tzw. paniuś warszawskich, tych starszych damulek z całkiem niezamożnego nawet mieszczaństwa, bo służąca była wtedy nieomal w każdym, jako tako urządzonym ognisku rodzinnym. Ognisko rodzinne to były dwa pokoje z kuchnią, mąż, żona, troje albo czworo dzieci i w kącie, gdzieś na barłogu, Andzia kocmołuch. Na wsi stosunek do służby miał w sobie wiele paternalizmu. O wiejskiej służbie mówiono i pisano w literaturze bardzo wiele. Czy pisał ktoś o służącej z warszawskiego trzeciego podwórka? Pamiętam jedną taką książkę Wandy Melcer — „Święta kucharka", ale to była rezydentka o kilkudziesięcioletnim stażu w tej samej rodzinie, a więc już na zupełnie specjalnych prawach.

Przeważająca większość służących zmieniała swe miejsca pracy bardzo często. Zawsze i wszędzie każdy zwracał się do nich wyłącznie po imieniu, a one mówiły o swych chlebodawcach: „mój pan", „moja pani", „panicz", „panienka". Między panią, a Andzią łatwo dochodziło do starć na maleńkim metrażu zagraconej i pełnej wiecznych kapuścianych zapachów kuchni. W takim starciu dziewczyna nie miała żadnych szans, nie broniło jej nic, najwyżej jakieś społeczno-charytatywne organizacje w rodzaju Zgromadzenia Świętej Zyty.

Po tygodniowym tak zwanym wymówieniu, albo i bez tego, wychodziła z domu swoich „państwa" z węzełkiem, z którym niegdyś przywędrowała ze wsi, wychodziła donikąd. Nie miała w Warszawie mieszkania, mogła się zatrzymać u jakiejś kuzynki, przyjaciółki, krewnej i co rychlej, natychmiast szukać nowego „obwiązku". Z całego kraju do wielkich miast ciągnęły późną jesienią tysiące takich dziewcząt. Zatrudniały się często także w rodzinach żydowskich, którym religia i obyczaj zakazywał pewnych czynności w piątki i soboty. Nigdy nie zdarzyło się tak, żeby Żydówka służyła w domu nieżydowskim. Prosto z domu swoich ojców trafiała taka dziewuszyna, często nie umiejąca pisać i czytać, pomiędzy ludzi absolutnie obcych, mówiących innym językiem, mających zupełnie inne obyczaje. Umawiała się na tę piętnaście czy dwadzieścia złotych miesięcznie, na to „wychodne" raz w miesiącu, ale jak jej tych pieniędzy nie dano, to do kogo miała iść na skargę? Samotne, zagubione w wielkim mieście wśród obcych ludzi, wdawały się w jakieś bezsensowne romanse, padały ofiarą przedmiejskich elegantów.

W wielu ówczesnych, zamożnych krajach służące domowe nie stanowiły tak poważnego zjawiska jak w Polsce. U nas liczyło się je na setki tysięcy w skali kraju. Żadna z nich — o ile wiem — nie spisała swych pamiętników, bo też nie były to głowy i ręce nawykłe do pisania czegokolwiek. Mieliśmy „Pamiętniki chłopców", „Pamiętniki bezrobotnych" i pamiętniki ludzi najróżniejszych profesji. Nasze piśmiennictwo nie dało jednak wyrazu losom nieszczęśliwej gromady dziewcząt. Bardzo wiele z nich jest przecież jeszcze wśród nas. Ciekawy jestem, czy okres międzywojennej Polski wspominają jako czas niezmiernego dobrobytu, porządku, prawdy, sprawiedliwości — jak to czyni tak wielu tych, którym mijające lata wykrzywiają perspektywę.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Odprawianie czarów

Gdy już nie można inaczej... odprawia się czary. Jedna moja znajoma, poczuwszy się licho poszła najpierw do lekarza, potem była u drugiego, odwiedziła jeszcze kilku, a gdy doszła do wniosku, że medycyna opierająca się na nauce jest bezsilna, bo ona nadal czuje się licho, poszła do... znachorki. Ale i ta nie pomogła, bo sama się właśnie pochorowała. Na grypę! To wcale nie jest dowcip.

Wojciech Łazarek jest trenerem i nikt go nie posądzałby o jakiekolwiek czary, ale przecież to, co robi jakby je przypominało. Najpierw nasi piłkarze ligowi rozegrali dwie kolejki, potem spotkali się w Bydgoszczy, aby po dwóch sparringach rozjechać się do ligowych klubów, zagrać i natychmiast jechać do Spały, bo już 12 kwietnia 1989 roku grać będą z Rumunami i powinni pokazać się z jak najlepszej strony. Ktoś widać jednak uważa, że takie podróżowanie po kraju zmyli Rumunów i ci, zaczarowani w ten dziwny sposób, łatwo się poddadzą naszym wspaniałym futbolistom. Jak będzie zobaczymy w środę, czyli akurat tego dnia, gdy w kioskach RUCHu ukażą się „Odgłosy".

W 1988 roku miałam okazję pisać o pewnym sędzim piłkarskim, który odważył się wypomnieć swoim kolegom w czarnych strojach różne świństwa i nadużycia. Bardzo się na niego wszyscy gniewali, wymyślali mu i grozili, aż w końcu go dopadli. Ale ów odważny sędzia piłkarski powiedział przecież prawdę, o której nawet wróble na dachach ćwierkają. Trzeba było coś z tym zrobić. I zrobiono. Wymyślono czary.

Jest taka gra, którą można nazwać, jak ja tobie, tak ty mnie. Polega ona na tym, że każdy sędzia dostaje kwalifikatora. Kwalifikator — jak sama nazwa wskazuje — kwalifikuje, czyli ocenia. Wystawia stopnie. Na przykład na boisku debiutuje sędzia Marek Ch. z Katowic. Jego kwalifikatorem jest sędzia owiany legendą — Alojzy Jarguz. Stawia debiutantowi 4,75. W szkole uczniaki powiedziałyby czwórka z dwoma plusami. Złośliwcy z „Przeglądu Sportowego" śmieją się, że w katowickim regionie narodził się sędziowski „brylant".

No i rozpoczęła się zabawa Sędzia z Wybrzeża po meczu na Śląsku dał sędziemu z Warszawy 4,5, więc sędzia z Warszawy sędziemu z Wybrzeża w Rzeszowie też 4,5. Jak się który odważy i da 3 to zaraz się na nim zemszczą i ktoś zupełnie niewinny też dostanie 3, albo jeszcze gorzej. Wszyscy więc podciągają noty jak mogą, aby spokój panował w sędziowskim świecie. Szczególnie przed wyborami do Kolegium Sędziów. Ale na to wszystko ludzie patrzą i śmieją się, bo ludzie nie wierzą w czary.

Natomiast wierzą w czary w „Szpilkach". W zasadzie „Szpilki" są pismem satyrycznym, ale uznano tam, że satyra nie musi być do śmiechu, pisują zatem poważne kawałki i to dopiero jest do śmiechu. Nam śmiać się nie kazano — mówią sobie czytelnicy „Szpilek" — i śmieją się. Szczególnie się śmieją z Tomasza Domaniewskiego, który dla śmiechu zastrzega: „przepraszam, ale tym razem nie będzie śmiesznie".

Tomasz Domaniewski przywiązał się widać do tych czasów, w których uważano, że najważniejszym lekarstwem na wszelkie zło i dobro jest... zwołać zebranie, wygłosić referat, wysłuchać dyskusji, podsumować dyskusję i podjąć uchwałę. Reszta zrobi się sama, bo właśnie już odbyto zbiorowe czary. Czarowano w ten sposób rzeczywistość, która nijak nie chciała dać się zaczarować i nie zmieniała się. Co więcej, psuła się nadal. Wraz z nią psuł się sport.

Dla naprawy popsutej rzeczywistości wymyślono „okrągły stół", przy którym zwaśnione strony szukały punktów stycznych, aby móc w wyniku tego działać razem a nie oddzielnie. Punkty znaleziono, stosowne oświadczenia podpisano, a my zobaczymy co będzie dalej. Najpewniejsze jest, że będą wybory do Sejmu i Senatu, a później wybiorą prezydenta. Czy sposoby wymyślone wspólnie przy „okrągłym stole" okażą się skuteczne i skutecznie zachęcą ludzi do działania, czy też dalej będziemy się posługiwać zwykłymi, starymi czarami — zobaczymy niebawem. Jak do tej pory zobaczyliśmy jednego obrażonego felietonistę — Tomasza Domaniewskiego.

O co się obraził Tomasz Domaniewski? Obraził się o to, że nie mówiono o sporcie przy „okrągłym stole", ani przy żadnym podstoliku. Obraził się na dziennikarzy sportowych, że z niezwykłą konsekwencją w tej sprawie milczeli i milczą, a on — nazywając siebie skromnie „amatorem i dyletantem" — wmieszać się musiał, aby powiedzieć wszystkim prawdę. Bohaterstwo to niesłychane.

Za przykładem Tomasza Domaniewskiego powinni pójść inni: kominiarze, szatniarze, drwale, kolejarze, ślusarze, działkowicze, hodowcy kanarków, wędkarze, kajakarze letniskowi, wczasowicze... O nich też nie mówiono. Kiedyś były takie czasy, że jak kogoś w jakimś referacie na ważnej naradzie nie wymieniono, to się zastanawiał nad tym, dlaczego i co ma robić? Wiadomo było, że się naraził.

Ale sprawa jest bardzo prosta. Jeśli uchwały i postanowienia „okrągłego stołu" przyniosą oczekiwane rezultaty w różnych dziedzinach naszego życia, jeśli demokracja z hasła stanie się rzeczywistością i będzie rozwijał się samorząd, to któregoś dnia ludzie działający w sporcie też poczują, że lepiej im się pracuje teraz niż dawniej, choć przy „okrągłym stole" o nich jakoś nie mówiono.

Tomasz Domaniewski wszakże udaje, że tego nie rozumie, aby było śmiesznie. I wszyscy się śmiejemy. I podziwiamy odwagę Tomasza Domaniewskiego, który dla hecy, poważnie upomniał się o miejsce dla sportu. W „Szpilkach" zresztą aby dowcip miał właściwą oprawę.

BOGDA MADEJ

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

George Brown College (11)

Rys. Dariusz Romanowicz

Oni wiedzą, co robią — tłumaczył Tadzio Zapaśnik. — To nie Polska. Ja, bracie, robiłem w tylu zakładach, i na kopalni też. Gdzie nie poszedłem, to było: radź sobie sam. Nawet jak się kolesiów pierwszego dnia pytałem, gdzie stołówka, to nie chcieli powiedzieć. Niby, że nowy musi płacić frycowe. Nikt nowego nie żałuje. Każdy był nowym i pamięta swoje krzywdy, niepewność i strach, to następnemu oddaje. Tak się będzie ciągło, brachu, do usranej śmierci. Tylko, wisz, taka zemsta idiotów nad kolejnym idiotą kosztuje czas i forsę. Poważny właściciel każdego nowego traktuje jak cenną osobę, zanim zaczniesz robotę, musisz wiedzieć wszystko o zakładzie, o jego historii, i o tym, co kiedy i gdzie otwarte, no i jak trafić. Tak samo z językiem. Mogliby nas puścić jak bydło do lasu i gryź korę. A tu, widzisz sam!

Tadzio Zapaśnik pokochał Kanadę od pierwszego wejrzenia. Był rzeczywiście zapaśnikiem w Polsce, był młody i silny. Widać od razu, że uczciwy, jasny, otwarty. Nie miał żadnych oporów. Brał w siebie Kanadę jak sucha gąbka wodę. Wiedział, że to jest kraj, w którym założy rodzinę, wykształci dzieci, w którym umrze.

— Wisz — powiadał nieraz — jak sobie pomyślę, że moje dzieci będą miały w paszporcie miejsce urodzenia „Toronto, Kanada", to aż mnie mrówki po plecach latają. Nie wierzę w cuda, ale to jest cud.

Jan Duch zaczynał pojmować wartość Kanady dla zwykłych ludzi. Zaczęła się nauka angielskiego i codziennie przychodził na dziewiątą rano do budynku college'u imienia Jerzego Brązowego, czyli w oryginale tak, jak mówi tytuł powyżej. W klasie Ducha znajdowało się około dwudziestu osób. Tadzio, pan Stefan i pani Maria to byli Ducha rodacy. Oprócz nich trzech Jugosłowian, paru Chińczyków, matka i syn z Bułgarii, przystojna Węgierka i kilku Greków, reszta z Ameryki Południowej.

Nauka zaczynała się punktualnie i trwała do trzeciej po południu, z przerwami na kawę i półgodzinny lunch. Obecność była sprawdzana, także po każdym powrocie do klasy z przerwy. Rząd kanadyjski płacił bowiem za naukę jak za pracę. Co tydzień kursanci dostawali czeki w wysokości przeciętnej płacy kanadyjskiej. Z tego mieli pokrywać koszty mieszkania i wszystkie inne, byli już na swoim. Owszem, można było nawalić, ale wtedy odtrącali wartość jednego dnia. Można było zadzwonić, że się choruje, sekretarka odnotowywała nieobecność, ale czek w piątek i tak był mniejszy. Wielu początkowo nie wierzyło w taką precyzję szkoły, myśleli, że jak w ich rodzinnych układach, nieobecność da się ukryć, albo usprawiedliwić. Nic z tych rzeczy. To jest praca.

Tak, to była praca. Kurs ustawiony był na prostej zasadzie: każdy miesiąc oznaczał jeden rok uniwersytetu. Przez sześć miesięcy można było nauczyć się więcej, niż niezwykle zdolny i pracowity student mógłby nauczyć się na anglistyce w swoim kraju. Co miesiąc, żeby przejść na następny poziom, trzeba było zdać egzamin. Jeśli się nie zdało, powrót na ten sam poziom, ale do grupy złożonej z tych, co odpadli w innych równoległych klasach, więc poziom nauki automatycznie opadał, i jeśli się drugi raz nie zdało, to won za bramę. Nie można płacić osobom pozbawionym zdolności. Takie osoby są potrzebne przy pracach drogowych, gdzie wystarczy kiwać głową i machać łapami.

Ta absolutna bezwzględność bardzo spodobała się Duchowi. Nie, nie przypominało to w najmniejszym stopniu wojska, przeciwnie. Swoboda, miłe i grzeczne traktowanie kursantów, nauczyciele gotowi do pomocy w każdej chwili, nie okazujący zdenerwowania, ani zmęczenia. Dobrze płatni i znakomicie wyszkoleni nauczyciele, którzy przeszli testy odporności psychicznej na stresy, wynikające z pracy z nieukami i tępakami, wyciągniętymi Bóg wie skąd. Żeby nauczyć Chińczyka po angielsku, trzeba stracić więcej energii, niż żeby wyszkolić gromadę Europejczyków. Zresztą, na odwrót, niech ci z Europy spróbują nauczyć się chińskiego!

Od pierwszej chwili w klasie panuje wyłącznie angielski. Nie ma mowy, żeby nauczyciel wytłumaczył znaczenie słowa po polsku, czy po grecku — on tych języków nie zna. Staje przed klasą, wita się, wskazuje na siebie, powtarza swoje imię, klasa powtarza, potem on pyta o imię każdego z kursantów, potem pokazuje różne części swojego ciała, nazywa je, potem nazwa dnia, rzeczy, pieniędzy portfela, torebki — ludzie uczą się jak dzieci, powoli, na zasadzie zabawy, ponieważ nauczyciel ma opracowane dowcipy słowno-sytuacyjne, które trafiają do każdego, a pointę dowcipu łatwo się zapamiętuje, i w ten sposób osadzają się w mózgu słowa i zbitki znaczeń.

Łatwo się o tym opowiada, ale jest to mordercza praca. Człowiek ma ograniczoną możliwość koncentracji, znawcy powiadają, że Amerykanin pracuje wydajnie zaledwie przez cztery godziny, reszta jest dryfowaniem umysłu i nadrabianiem rutyną, przy znacznie wyłączonej świadomości tego, co się robi. Badania dzieci w szkołach podstawowych wykazały, że prawdziwe skupienie i pełną percepcję materiału dziecko osiąga zaledwie w przeciągu kwadransa, reszta jest w osiemdziesięciu procentach stracona.

Na kursie gorzej, bo za stołami, ustawionymi w podkowę, siedzą ludzie dorośli, których mózgi dawno od nauki odwykły. Zresztą ludzie, którzy przybyli tu przeważnie po to, żeby pracować fizycznie. Ich psychika ukształtowana jest antyabstrakcyjnie, a język to zabawa w symbole, abstrakcja.

Pan Stefan po trzech tygodniach nauki nie potrafił odróżnić „yes" od „no". Wydaje się to nieprawdopodobne. Ale to prawda. Jakże można nie wiedzieć, czy na proste pytanie odpowiedzieć tak, albo nie? Można, jeśli pytanie zadane jest w języku angielskim, którego dźwięk po prostu wyklucza wszelkie zrozumienie. Bóg stworzył pana Stefana Polakiem i próba zmiany tej decyzji jest grzechem.

— Panie Stefanie, to po co pan przyszedł na kurs?

— Bo płacą, panie Duch. Jakby nie płacili, tobym nie przychodził.

— Ale pan wie, że pana wyrzucą za nieuctwo?

— A to niech wyrzucają, ale co zdążę dostać, to moje.

Pan Stefan miał około pięćdziesięciu lat, był z zawodu stolarzem. Przyjechał do szwagra na wizytę. Szwagier kupił stary dom do remontu. Wizyta to lipa, szwagier ściągnął sobie fachowca do wykonywania remontów. Bo ten Stefan znał się na wszystkim. Nie był to głupi facet, w żadnym wypadku. Z naszych śmiechów, kiedy nie umiał odpowiedzieć nauczycielce, on sam się śmiał. On się śmiał z nas, bo miał więcej forsy, niż by się mogło przyśnić. Kiedy wreszcie przed końcem miesiąca go wyrzucili ze względu na patologiczne nieuctwo — nauczycielka powiedziała, że w całej swojej karierze nie spotkała takiego przypadku — to pan Stefan nie mógł wytrzymać, żeby się przed Polakami z klasy nie popisać. Zaprosił wszystkich do siebie.

Mieszkał niedaleko. Ale dom, w którym wypiliśmy kawę, to był pierwszy z jego domów. Miał już trzy. Tak, ten prosty stolarz miał trzy domy na własne nazwisko, i dalsze trzy do spółki ze szwagrem. Przebywał w Kanadzie niespełna osiem miesięcy. Pracował jak szalony, spał po pięć godzin na dobę, remontował — kurs był dla niego odpoczynkiem. Zamiast urlopu. Siedzi sobie, coś mu tam wedle uszu bzykają, a on podrzemuje i jeszcze płacą sto siedemdziesiąt dolców co tydzień.

Szwagier jednak był trochę zły, ponieważ mu zależało, żeby pan Stefan zaczął gadać po tutejszemu. Wówczas można by robić lepsze interesy, byłby bardziej operatywny. Ale cóż. I od razu trzeba powiedzieć, że domy, kupowane wówczas po pięć tysięcy do remontu, z zadatkiem zaledwie setki czy dwóch setek — po remoncie warte były cztery razy tyle. Można było je sprzedać, albo odnająć za kilkaset miesięcznie, to spłacało raty bankowe, a dom wzrastał w cenie. Inflacja w Kanadzie wynosi od trzech do pięciu procent rocznie, ale nieruchomości pędzą w górę jak rakiety kosmiczne. Dzisiaj domy pana Stefana, jeśli ich wcześniej nie sprzedał, byłyby już dawno spłacone, a ich wartość wyniosłaby skromnie szacując po ćwierć miliona. Są to sprawy trudne do pojęcia dla Polaków w kraju. Cały czas dobrobyt, inflacji właściwie nie ma, a tu takie skoki cen nieruchomości. A to przecież bardzo proste. Kanada jest krajem wolnego rynku z ogromnym potencjałem w każdej dziedzinie, z małą ilością mieszkańców. Technika, cywilizacja na najwyższym poziomie. Rozwój miast trudny do pojęcia dla człowieka z Europy. Toronto jest najszybciej rozwijającym się miastem Ameryki Północnej, to już zupełnie inne miasto, niż Toronto, do którego przyjechał Jan Duch. Przyśpieszenie jest tu tak duże, że uparty Polak dotąd szczycący się Nową Hutą, jest po prostu dzieckiem, nie mającym pojęcia o rozwoju miast.

Kiedy Arabowie zrobili ogromne pieniądze na ropie, musieli je gdzieś ulokować. Każdy człowiek, wnoszący ćwierć miliona dolarów otrzymywał wówczas prawo stałego pobytu w Kanadzie, zresztą nieruchomości może kupować każdy, wystarczy mieć za co. Prawnicy szeików wykupywali całe połacie miasta. Akurat zbudowano ogromne, luksusowe budynki apartamentowe nad jeziorem, całą dzielnicę zwaną Harbourfront, gdzie mieszkanie kosztowało początkowo od stu do dwustu tysięcy dolarów. Po ataku arabskich petrodolarów cały ten interes przeżył wstrząs. Arabowie wykupywali apartamenty setkami, wcale ich nie oglądając. Potem odsprzedawali innym Arabom trzykrotnie drożej. Kiedy naiwny Kanadyjczyk, świetnie zarabiający, zgłosił się rok później do agenta, dobry apartament w Harbourfront kosztował już półtora miliona. Wszystkie inne kompanie, budujące domy mieszkalne, podnosiły automatycznie swoje ceny do tego poziomu.

Jeżeli Arab chciał wybudować ogromny ośrodek handlowy na terenach, zabudowanych skromnymi domkami jednorodzinnymi, posyłał agentów do właścicieli, i to była dla tych ludzi szansa życiowa. Domki warte po pięćdziesiąt tysięcy oddawano po dwieście. A za dwieście można było szybko przenieść się do dzielnicy prawie — milionerów. Ale trzeba było to robić szybko, bo kiedy wykupiono jedną dzielnicę, ceny w okolicznych wzrastały natychmiast, mimo że chętnych na nabycie nie było. Ale ceny trwały i czekały na nabywców, którzy zgłoszą się za rok. Bo musieli się zgłosić. Ludzi w Kanadzie przybywa nieustannie. Przemysł budowlany nastawia się na domy droższe, na apartamenty dla koneserów. Zresztą, kto mieszka w apartamencie? Samotni, albo pary yuppies (Young Urban Professional), to znaczy specjaliści w wolnych zawodach, którzy snobują się na niemieckie samochody (Mercedes, BMW i Audi), na podróże dookoła świata i niezależny styl życia, a także zamożni emeryci, którzy po wyhodowaniu dzieci nie mają siły opiekować się zbyt obszernym domem. W apartamencie są otoczeni luksusem i wolni od trosk. Cała reszta populacji kanadyjskiej stara się za wszelką cenę nabyć dom na własność. A domy idą w górę jak rakiety. Po Arabach przyszła kolej na miliarderów z Hongkongu. Wiadomo, że Hongkong to centrum handlu heroiną i innymi drogimi narkotykami. Pieniądze jakie skumulowali bossowie narkotycznej mafii chińskiej, są niewyobrażalne. W końcu stulecia Hongkong zostanie oddany Chinom Ludowym. Bogacze już teraz umieszczają swoje nieziemskie fortuny w innych, bezpiecznych miejscach globu. Atak zaczął się kilka lat temu od zachodnich brzegów Kanady, nad Pacyfikiem. Ceny ziemi i domów w mieście Vancouver wzrosły z dnia na dzień o kilkaset procent. Trend przesunął się nad Atlantyk. Jest to wolny rynek i nikt nie ma prawa ingerować w interesy między ludźmi. Jeżeli zażądasz, człowieku, pół miliarda złotych polskich za swój stary samochód marki Trabant, a ktoś ci zapłaci, to gówno komu do tego. Na tym polega wolny rynek, nie ma w tym żadnej abrakadabry.

Owoż Jan Duch, który zarobił trochę forsy w ciągu następnych lat, nie potrafił inwestować w nieruchomości, uważał, że to hańbiące dla poety. Z pogardą też patrzył na pana Stefana, który zamiast uczyć się i poszerzać horyzonty, ściubił pieniądze. Dzisiaj Duch inaczej myśli o takich, jak pan Stefan. Mają rację, że robią co potrafią, jeśli nie potrafią robić nic innego. Lepsze to niż rozbój.

W George Brown College uczono nie tylko języka. To było tylko narzędzie, dzięki któremu kursanci mieli możliwość poznać życie kanadyjskie i prawa tu rządzące. Kiedy klasa potrafiła już porozumiewać się płynnie z nauczycielką, dyskutowano o pracy, o zarobkach, o sposobach inwestowania, a nawet o zabezpieczaniu emerytury, a to ostatnie wymagało specjalnej wiedzy. Jeżeli kursant po ukończeniu studium miał ochotę uczyć się dalej, mógł zapisać się na kurs księgowości, elektroniki, komputeryzacji, matematyki czy literatury — wszystkie możliwe dziedziny nauki wykładano w tym samym budynku. College bowiem to odpowiednik uniwersytetu, ale także przygotowuje do zawodu na niższych poziomach. I rząd kanadyjski oferował nieustającą pomoc dla chętnych. Tych jednak wśród emigrantów nie było wielu.

Każdy chciał jak najszybciej zarabiać pieniądze. Podczas brania kursu nie wolno było pracować, ponieważ rząd płacił za naukę, kupował całą twoją energię. Nie płacił za uczenie połowy mózgu, nie płacił za uczenie zmęczonego mózgu, bo kiedy mięśnie zmęczone, to i mózg do niczego. Nie, rząd kanadyjski płacił człowiekowi za jego „total ability", całkowitą zdolność wchłaniania materiału. Ale Polacy nie mogli tego pojąć.

Pani Maria była w Polsce nauczycielką. Wysoka, szczupła, nieco nerwowa kobieta. Twierdziła, że była znakomita, jako nauczycielka („pedagog" mówiła o sobie), i jako przykład dawała to, że dzieci ją uwielbiały. Duch nie wierzył, żeby jakiekolwiek dziecko o zdrowych zmysłach mogło uwielbiać swoją nauczycielkę. Chyba dziecko szesnastoletnie płci męskiej, jeśli nauczycielka miała lat dwadzieścia osiem i zgrabne nogi, w połączeniu z odpowiednim sposobem bycia. Pani Maria z trudem pojmowała zawiłości angielskiego. Była lepsza, niż pan Stefan, ale niewiele. Kiedy już umiała powiedzieć, kim była z zawodu, wzbudziło to zainteresowanie klasy. „Teacher", a taka powolna!

Nauczycielka nie traktowała jej inaczej niż wszystkich. Możliwe, że Duch i jeszcze ktoś wzbudzali jej nieco żywsze zainteresowanie, ponieważ mówili i czytali lepiej od pozostałych. Ale było to niezauważalne dla innych, po prostu lubiła podczas przerw zamienić z Duchem kilka słów, powiedzieć coś o muzyce, czy o przeczytanej książce.

Pani Maria jednak twierdziła, że tamta uwzięła się na nią. Wywoływana do odpowiedzi czerwieniła się i jąkała, w końcu nie potrafiła wydusić słowa. Pewnego dnia zasnęła podczas lekcji. Tego było za wiele, nauczycielka ostrzegła ją przed konsekwencjami. Powiedziała:

— Mary, I know that you are working at night. Mario, wiem, że nocami pracujesz. Pamiętaj, że jest to nielegalne, a ponadto marnujesz swoją przyszłość, bez języka nikt nie da sobie rady. Rzuć tę nocną pracę, wtedy twój umysł stanie się jasny i chwytliwy.

— Co ty mi tu, głupia cholero! Taka ważna, że się tu urodziła! A naucz się polskiego, idiotko! Ja bym ci w kość dała, jeszcze lepiej, niż ty mnie! Mądrala!

Podczas przerwy Duch podszedł do pani Marii, żeby wybadać sytuację — nauczycielka prosiła go o to. Nie mogła tolerować w klasie takich wyskoków, pani Maria miała być wyrzucona.

— Panie Duch — powiedziała roztrzęsiona Polka — pan rozumie, pracuję, bo rodzinie w Polsce posłać trzeba, zostawiłam męża i dwoje dzieci. Zmywam nocami gary w polskiej restauracji, potem sprzątam, idę spać o piątej, śpię trzy godziny, i do szkoły.

— A do tej restauracji na którą pani idzie?

— Zaraz po szkole, o czwartej. Obiad jem w robocie, tam jedzenia jest dużo.

— Pani Mario — powiedział Duch — pani się zabija. To nie jest warte wyników. Proszę natychmiast to rzucić.

Nie rzuciła. Za dwa tygodnie nowy atak histerii, z przemęczenia, z braku snu, z presji nerwowej. Wyrzucono ją ze szkoły.

Kilka miesięcy później wpadła pod samochód, który uczynił ją kaleką na całe życie, połamana miednica, nogi, uraz mózgu. Biedna i głupia kobieta nie potrafiła dogadać się z adwokatem, nie potrafiła dobrać sobie odpowiednich obrońców. Powinna była dostać przynajmniej pół miliona dolarów odszkodowania — otrzymała zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy. Duch odwiedził ją kiedyś, mieszkała w norze przy ulicy Sorauren, paliła papierosa jednego za drugim, ręce jej się trzęsły i wyglądała na siedemdziesiąt lat. Nie spotkał jej już więcej.

Tadzio Zapaśnik też pracował nocami. Ale był młody, zdrowy, nie palił i nie pił. Więc nie zasypiał w szkole. Uczył się ledwo-ledwo od początku, więc nauczycielka nie zauważyła zmiany na gorsze. Dumny był z pieniędzy, zarobionych na boku. Płacono gotówką nad ranem.

— Jasiu, zobacz, dwie dychy! A nieraz i trzy się wyciągnie. Wcale nieciężka robota. Chcesz, to cię podam i będziemy robili razem.

— Co to za robota?

— Przy robakach. Znaczy, zbieram robaki.

— Jakie robaki?!

— No, te co na wędkę. Glizdy. Nie przejmuj się, nic strasznego. Można się przyzwyczaić. Niektórzy zbierają w gumowych rękawiczkach, bo są brzydliwi. Ale wtedy nie ma czucia i możesz glizdę uszkodzić.

— Tadziu, czyś ty zwariował? Co to za historia?

— Są plantacje glizd, Jasiu, poza miastem. Całe hektary trawy, właściciel spryskuje końską krwią, którą kupuje w rzeźni, i rozmaitymi proszkami, żeby się glizdy tuczyły. Wieczorem nas zabierają autobusem. Ze czterdziestu chłopaków, i baby też jeżdżą. Zakładamy na czoła latarki na paskach. Każdy się pochyla i świeci sobie pod nogi. Idziemy tyralierą przez te pola przez całą noc, w jednym ręku pojemnik, druga wolna, żeby glizdy łapać. Do pasa przyczepiony drugi pojemnik, jak nie chcesz za każdym nawrotem wracać do baraku.

Duch odetchnął głębiej, przełknął ślinę.

— Naprawdę się nie brzydzisz?

— Skąd! Z początku tak, trochę. Ale przecież łapało się ryby, nie? Łapałeś ryby?

— Łapałem.

— No to robaka na haczyk żeś wciągał.

— Ale tu tyle tych...

— No, to tylko ta różnica. I większe są, niż w Polsce, lepiej karmione. Jak wywalisz z pojemnika na wagę, bo płacą od wagi, rozumiesz, i nadzorca rozrzuca je, i od razu widzi, która zgnieciona, albo martwa, więc jak ważą, to bracie człowiek dumny że tyle towaru nałapał. One idą do dużych skrzyń z ziemią, i do sklepów dla wędkarzy. Jak ludzie jadą na ryby, to sobie kupują pół funta, albo i funt robaków i nie muszą w ziemi grzebać, żeby znaleźć. Na niektórych brzegach to ich zresztą nie ma, bo grunt nie taki. Chodź ze mną, Jasiu, zarobisz se, teraz najlepszy sezon, bo się glizdy pierdolą, to za jednym chwytem masz od razu dwie.

Duch się skręcił od śmiechu. Tadzio się lekko obraził.

— Nie wierzysz, że się pierdolą? Ostatniej nocy same parki łapałem! Siedzi jedna na drugiej, co krok to się rypią! Śmiej się, śmiej! A może się założymy? Pojedziesz ze mną, to się sam przekonasz...

Ale Jan Duch dotąd nie wie, w jaki sposób rozmnażają się glizdy.

C.D.N.